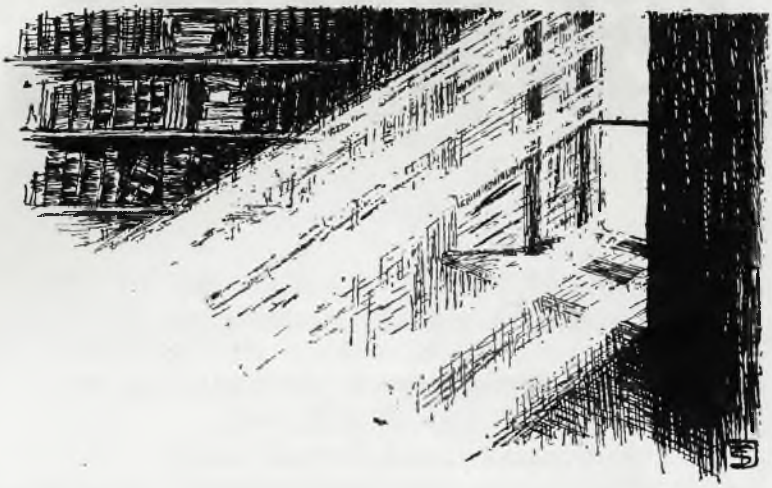

CHIMÆRA
CAL·NOV·MCMII·

TREŚĆ.

TOM VI. ZESZYT 17. — LISTOPAD 1902.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładach chemigraficznych
B. WIERZBICKIEGO i S-ki, oraz KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“
Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — MARYAN KUCHOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 сентября 1903 года.



SZCZĘŚCIE WIOSENNE.

O, cudne przebudzenie z zimowej martwoty!
O, szczęsne przebudzenie w zorzy wiosny złotej!
Dawno już taka święta wiosna mi się śniła...
Czemu dopiero teraz budzi mnie jej siła?

Różowy brzask, przebiegłszy sennym nieba stropem,
Wbiega do izby mojej młodych blasków gwarem
I uderza złocistych swych promieni snopem
Powieki me zakrzepłe złym omdlenia czarem...
Tak dziewczyna, w miłości drżącej, niecierpliwej,
Kochanka uśpionego budzi, jego oczy
Uderzając złotemi pasmami warkoczy,
Aby powstał na pieszczot niespodziane dziwy...

Ranek, tęcz i opalów czarodziej misterny,
W powietrzu dziwnie lekkiem, złotem i błękitnem

Przelewa mgły i światła igraniem niechwytnem,
Jakgdyby w szklanem wnętrzu kryształnej cysterny...

W młodych, świeżych uśmiechach perłowego świtu,
W zbudzonem rozpląsaniu radosnej otuchy,
Zbudziła się spowita w modrych mgieł pieluchy
Pogoda, Pani czysta świętego błękitu.
Odblaskiem czoła swego ciche pola złoci,
Rozradowana łaską swej własnej dobroci,
Rześką beztroską swojej swobodnej ochoty,
Szczęśliwą rozrzutnością swej złotej pieszczoty.

Staw, niespokojny malarz nieba i obłoków,
W kołysanie swej fali powab nieba zwabia,
Podstępnem swem udaniem niebiosa podrabia,
I lśnią w dwóch różnych stronach dwie pełne uroków
Ojczyzny snów polotnych i rozpiętych skrzydeł,
Łudząc ptaki igraszką ułud i mamideł,
Że zawisły w przestworzu cichem nieruchome,
W którą ojczyznę lecieć mają nieświadome...

Weselnem powitaniem wiosny lśnią uśmiechy
Dali. Szczęście pozdrawia je w złotej pogodzie...
Pierś pije zdrową siłę ochotnej uciechy,
Nic nie cięży na marzeń tanecznej swobodzie...
Wypoczętym w zimowym śnie gałęziom krzewów,

Bezlistnym jeszcze, lecz już drżącym niecierpliwem
Przeczuciem zapłodnionych żywotem powiewów,
Obudzonym rozkoszną tęsknotą za żywem
Wybujaniem rozkwitu — śni się już przepyszny
Ciężar kwiecia, co wonną śnieżycą odzieży,
Sypkim puchem im wątłe gałązki upierzy...
Drzewa z martwoty swojej wyrwane zacisznej,
Połechtane krążeniem drogich soków nowem,
Bogaty zapas zimy dobywszy z ukrycia
Piją ziemię i rzeźwe powietrze ze zdrowem
Łakomstwem ust zgłodniałych pełnych piersi życia.

Ledwo łodygi drgnęły szmerem krwi roślinnej,
Rodzącemi się dziwy zaniepokojony
Powiew wiatru się ocknął z swej nudy bezczynnej. —
Cudem życia i pierwszem ciepłem rozmarzony,
Rozleniwiały wilgną wonią ziemi młodej,
Trąca krzewy pijące oszołomne dreszcze
Z ócz słońca; chce z nich strząsnąć niezrodzone jeszcze
Pyły i po błękicie rozsiać nieb i wody,
Roztrwonić tysiąc czarem nabrzmiałych kropelek
Woni — z pustą swawolą dziewcząt, trwonicielek
Swej słodkiej, opieszałej, niebacznej urody...

Wiosna zachwytem nieba wkrąg promieniejąca
I śnieniem wód, młodością prześwietlonych słońca —

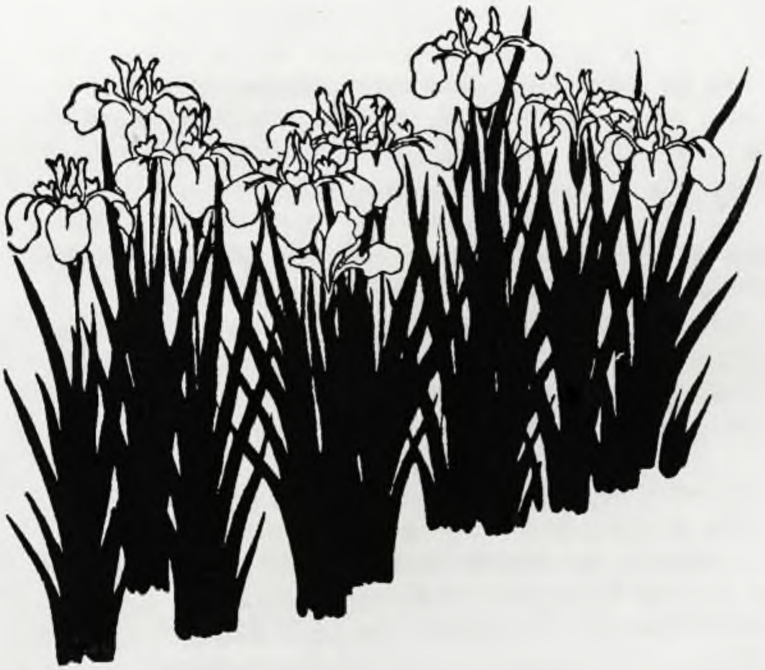
Z zawrotnym nieprzytomnej szczęśliwości czarem
Idzie, by szczodrej łaski przelewnym nadmiarem,
Wspaniałomyślnym zbytkiem swej darzącej krasy
W oddaniu się miłosnem poobdzielać lasy
Nieruchome, zatchnięte milczeniem snu bladem,
Zaczadzone woniami, sytemi rozkładem
Liści, które korzeniom obietnicę żyznej
Karmi dają, w zapachu ostrym swej zgnilizny...
Idzie rozwiać się płodnym tajemnym posiewem
Po polach tchnących tęgim surowym wyziewem,
Co bije z świeżej tłustej skiby w dniach przednowia
Aromatycznem winem wiosennego zdrowia...

Ciepłem słońca moc twórcza wiosny w bruzdy wchodzi...
Przyroda się cudownie odradza i rodzi...
Zdziwienie me ciekawe, niedowierzające,
Podsłuchuje tajemnic, które ziemia czarna
Dreszczem zapłodnień zwierza zasklepionym ziarna
Duszom, zamyka w nasion serca kiełkujące:
Obiecuje rozkosze deszczu, który z nieba
Spadnie, gdy się pieszczotą słońca znuży niwa,
Karmi powieścią złotą o świętych dniach żniwa
I o świeżym zapachu razowego chleba...

Słucham i piję słońca rozkosz, ziemi wonie,
I cały świat radości dobrej noszę w łonie,

A promienie słoneczne, jak złoty rój pszczelny,
Słodycz wnoszą w me serce, jakby w ula wnętrze...
Miodny skarb serca wonie rozlewa najświętsze,
Co zdane skrzydłom wiatrów, szczęśliwych tułaczy,
Napełniają przestworze marzeniem o dzielnej,
Pierwotnej sile ojców siewców i oraczy...

Złotem rozprzestrzenieniem swych skrzydeł w błękicie,
Pod kryształowym sklepu niebieskiego chramem,
Zwisło nade mną w cichym rozkoszy zachwycie
Szczęście me, zadziwione błogo sobą samem...





POŁUDNIE WŁÓCZĘGI.

A toż ty, serce moje, chyba jakieś dziwne
Czary zaklęć masz w sobie, żeś tam — w lęków borze,
Nie zmartwiało!.. Kto mówił ci, że kłośne zboże
Złotą falą opływa gdzieś zagony żniwne?

Gdy mi się w grzmiących ucztach życia wszystkie stłukły
Kruże w kryształnym kruszcu kunsztownie kowane,
Chciałem paść w sny spoczynku, w zmierzchami owiane
Sny grobu... Czy podszepnął ci to dąb, miedz smukły
Strażnik?.. Bo widzę, żeś ty mnie podeszło cudnie
I na spoczynek dało mi łan i południe!..

Gdy nas z domu wypędził ból w oddal bezbrzeży,
Kędyś w nieznane pola na tułactwo wieczne,
Nie wiedział, że wygania nas w łany słoneczne,
Że cud tak blizko leży cierpienia rubieży...
A żeś mnie tu przywiodło, serce, na te łany,
Miejże sen o południu szczęścia nieprzespany!..

A bogdaj-to mieć wiecznie twą niesytą żądzę
Wędrownego tułactwa szczęsliwej włóczęgi!..
Idę po to, by błądzić, więc już nie zabłądzę...
Nie trzeba dróg, bo zewsząd jawne widnokręgi!
O, swobodo! Kij w rękę i sakwa przez plecy,
Nocą sen w polu albo pod drzwiami gospody,
A rano mkną już ptaki gromadnemi wiecy...
Same nam się kierunki ścielą i pochody!..

Płyną klucze wędrowne! Z niemi droga nasza!
Poco nam drogowskazów, poco innych znaków?
Dobre południe, ptaki! Tam w dal nas zaprasza
Beztroska, dar radosny włóczęgów i ptaków!

Lecz teraz tu spocznijmy na złotym popasie
Południa. Toż ten łan się winem słońca pieni,
To zboże kipi żarem ognia w pełni krasie!
Toż to nadmiar i uczta cudowna płomieni!
O, królewskie bogactwo chwili, gdy godzina
Południa z dzwonu słońca leje się z niebiosów
W prześwięte nabożeństwo dojrzewania kłosów,
A niebo świeci jasne, jak dobra nowina!

Spocznijmy tu!.. Wędrowne niech ustaną stopy...
Zanurzmy się w tym lata ogromnym kielichu,
Wezbranym bujnem zbożem! W tych kłosów zatopy
Paść, tarzać się w gorących wybuchach rozkwitu,
W tej rozkoszy, w tem szczęściu otchłannem dosytu,
W tej słonecznej rozpuście zbytku i przepychu!..

O, szczęśliwy po trzykroć, kto wszystko utraci!..
My, włóczęgi bezdomne, nie mamy nic swego,
A jakżeśmy cudownie, bajecznie bogaci!
Bo stokroć bardziej wino smakuje nie nasze,

A my złodzieje lata i słońca złotego!
To nasz zysk, co ukradkiem... gdy ból nie na straży!
Gdy idąc w drogę biodra sakwami opaszę
Pustemi, wiem: nie stracę nic! żadna mi szkoda!
A Bóg wie, co mi w drodze może się nadarzy!
Bo cały świat to jedna cudowna przygoda!

Pijmy, chłońmy i chłońmy, nim mrok wróci z nocą!
Łan, przesycony słońca natężoną mocą,
Zmysłowem, dzikiem latem płomiennie zakwita...
Wkoło pola cudownie prześcigłego żyta
Przepalają się prawie żarem dojrzewania,
A parny upał tryska szałem rozpasania,
Zbytkownem wybujaniem zdrowego nadmiaru...
Lato pławi się w wrzącej, lubieżnej rozkoszy
Omdleń w otwartem polu, gdy huragan skwaru
Płachty płowych płomieni strąca z nieb pustoszy
I rozdrganemi wiry w ławę roztopionych
Niebios, prostopadłemi pociski pożaru
Praży łan zbóż, kąpielą ognia ogłuszonych...

Równie pól i ugorów śpią w słonecznej krasie,
Przy drodze się do słońca śmieje brzoza młoda,
A łopuch i bodiaki, ta łąk szara trzoda,
Skwarem lenistwo swoje pasorzytne pasie...

W dali staw przycichł, lata zdziwiony robotą...
Nawet nie drgnie, by w pracy słońcu nie przeszkodzić,
Co mu wodę raz zmienia w błękit to znów w złoto...
Jeno czasem przez szuwar, co wzrósł, by ogrodzić
Jego brzeg, i ocienia go, jak bujna rzęsa,
Podgląda, jak się szczęście po polach wałęsa...

Tam sad płonie! Jabłonie, grusze... każde drzewo,
Obarczone skier złotych rzęsistą ulewą,
Zwiesza liście zmęczone, pijane i senne...
Sad pod białym ciężarem kwiatów się ugina
I wdycha żądze słońca miłosne, zaplenne,
Po gałęziach owoco-wróżbną biel rozpina,
Kwiatami opowiada bogactwo i dziwa
Gleby, co się pod trawą zieloną ukrywa,
Zdradza soczyste, żyzne ziemi tajemnice...
A ziemia, darnią mając zasłonięte lice,
Kwieciem drzew śni i patrzy w błękity, tęskniąca,
W kwiatach oddając słońcu, co wzięła od słońca...

Oto godzina jasna, kiedy niema cienia,
Co o zmroku wyłazi z za każdego haszcza,
Rozlewa się, rozłazi, rozpełza, rozpłaszcza...
Ale teraz godzina, kiedy niema cienia...
Złote słońce go zewsząd zwycięzko wypiera!
Cień coraz więcej kurczy się, w sobie się zbiera,
Coraz ciaśniejszem kołem drzewa opierścienia
I, wyszukawszy jakąś tajemną szczelinę
Między darnią przypienną, a pnia szarą korą,
Wsiąka cicho pod ziemię, chowa się w głębinę
I ucieka w korzenie drzew, co chłód zeń biorą...

Tutaj spocznijmy... W słońcu prześpijmy południe...
Syćmy się, chłońmy ogień spadający z nieba!

Zapasów lata, słońca, południa nam trzeba,
Bo przyjdzie wieczór mroczny, żar złoty ochłódnie...

Pal, słońce, pal! I blaski swe ciskaj najszybsze,
Aż ból, troska, jak cień ten zniknie, nas się wyprze,
Aby, kiedy nam drogę zajdzie siwa starość,
Dawne groby już miały czas zielenią zarość!
Pal! niech muraw nie depce złość mroków i chłodów!
Po ziołach niech prowadzi ostatni z pochodów!

Teraz jeszcze południe! Nasz zachód nie bliski!
A rozkosz lata chwyta w palące uściski!
Lawiną złotych deszczów szaleją nieb stropy!
Zanurzmy się w tym lata ogromnym kielichu
Wezbranym bujnem zbożem! W tych kłosów zatopy
Paść, tarzać się w gorących wybuchach rozkwitu.
W tej rozkoszy, w tem szczęściu otchłannem dosytu,
W tej słonecznej rozpuście zbytku i przepychu.

O, szczęśliwy potrzykroć, kto wszystko utraci!..
My włóczęgi bezdomne nie mamy nic swego,
A jakżeśmy cudownie, bajecznie bogaci!
Bo stokroć bardziej wino smakuje nie nasze,
A my złodzieje lata i słońca złotego!
To nasz zysk, co ukradkiem... gdy ból nie na straży!
Gdy idąc w drogę biodra sakwami opaszę
Pustemi, wiem: nie stracę nic! żadna mi szkoda!
A Bóg wie, co mi w drodze może się nadarzy!
Nam cały świat to jedna cudowna przygoda!

Leopold Staff.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“

Byłem acz młodym, lecz dojrzałym już przecie człowiekiem, gdy spełniłem nikczemny swój czyn, nie mam tedy wymówki nawet w nierozsądku młodzieńczym! Słuchaj, ty, dręczycielu mój, który-ś spowiedź tę na mnie wymusił, jak się to stało... Tu w Paryżu zetknął mnie traf, czy los, z młodym arystokratą angielskim. Spotkaliśmy się kiedyś w nocy na pustej ulicy, obaj tak zamyśleni, żeśmy, nie widząc jeden drugiego, na siebie wpadli. Oczy nasze spotkały się, i stanęliśmy zdziwieni, przyglądając się sobie nawzajem. Czytaliśmy myśli jeden drugiego jak w księdze otwartej. Nie mogę objaśnić w krótkich słowach tak, abyś mnie pan zrozumiał, jakim sposobem poznałem, że młody ów człowiek był z tych, których

istnienie zawsze przeczuwałem, nawpół zresztą w nie wierząc. Bądź co bądź, byłem w oka mgnieniu pewny, że to adept wiedzy tajemnej! A on? Poznał zapewne, mocą wyższej swej wiedzy i doświadczenia, a więc w niepojęty mi sposób, że ma przed sobą jednego z tych, którzy marzą, aby zostać wtajemniczonymi! Może się to panu wyda bajką lub majaczeniem, jak ogromnej większości ludzi, ale to jest prawda najszczersza. Patrzyliśmy tedy na siebie, aż Anglik zdecydował się pierwszy. Wyjął spokojnie papierosa z torebki i poprosił mię grzecznie o ogień. W ten sposób zaczęliśmy rozmowę. Zaszliśmy potem do poblizkiej kawiarni, jak gdybyśmy obaj przypadkiem tam właśnie zmierzali, i tam powiedział mi Anglik w toku rozmowy, że szuka człowieka bardzo pewnego, którył zgodził się do Anglii z nim pojechać, w cichym, odludnym jego zamku z nim zamieszkać i — krótko mówiąc, miałem wrażenie, że proponuje mi jakieś niewyraźne stanowisko w swym domu, coś pośredniego między sekretarzem i kamerdynerem... Ciemny rumieniec oblał mi twarz. Byłem wówczas zupełnie bez zajęcia, w nędzy ostatecznej prawie, i powiedziałem mu to w ciągu rozmowy, — ale służyć za lokaja, to mi nigdy na myśl nie przyszło, i pierwszym mym odruchem było tedy uczucie wstydu i niechęci. Jakże mógł był w ten sposób mnie zrozumieć? On wszakże patrzał na mnie surowo i badawczo. Przebiegła mi przez głowę myśl, że to jest jakaś próba. Chciał mnie zapewne poznać bliżej, przekonać się, czy jestem godny i zdolny stać się wogóle kiedykolwiek sam adeptem. Pokora i abnegacya należały do pierwszych wymagań od „uczniów,“ to wiedziałem, i bez nich niepodobna było osiągnąć nawet pierwszego stopnia. Choć tedy uczucie burzyło się we mnie i buntowało, przyjąłem. Odjechaliśmy do Anglii.

Rojko umilkł. Potem, ocierając czoło potem okryte

i trzęsąc się całem ciałem, dodał z wysiłkiem: — Tam ujrzałem ją... jego siostrę... Edytę.

Zakrył sobie oczy rękoma i westchnął głęboko; po dłuższej chwili zaczął opowiadać dalej:

— Zatrzymałem się w Londynie przez kilka dni, lord Angus odjechał sam na zamek swój, Angus-Manor, w Anglii zachodniej, a ja podążyłem za nim dopiero po załatwieniu w Londynie tego, co mi polecił. Był późny wieczór, gdym powozem (żadnej kolei nie było tam w pobliżu) dojeżdżał do zamku. Noc była czarodziejska, cała ukwiecona srebrnemi gwiazdami; ogromny park ciemniał przede mną, kępy olbrzymich drzew stały po łąkach, nad któremi unosiły się białe opary, a w oddali stare, chmurne, potężne zamczysko piętrzyło się ku niebu. Ze wszystkich jego okien lały się olśniewające potoki światła. Jakieś tchnienie baśni wionęło z całego tego obrazu. Lord Angus, żyjący zawsze w zupełnem prawie odosobnieniu, obchodził, z obowiązku poniekąd, rodzinną jakąś pamiątkę i sprosił całe sąsiedztwo arystokratyczne. Dowiedziałem się o tem, dojechawszy do zamku. Przywiozłem z Londynu dla lorda Angusa stare rękopisy etyopskie i, stosownie do jego życzenia, poniosłem je zaraz do jego biblioteki, dokąd służba wskazała mi drogę. Biblioteka była, jak cały zamek, oświetlona, i rozglądałem się z zajęciem po wielkiej sali, z prawdziwie artystycznym przyozdobionej smakiem. Wisiało tam kilka starych, znakomitych, prawdopodobnie rodzinnych portretów, pędzla Reynoldsa, jak mi się przynajmniej ze stylu wydawało. Jeden z nich, na pierwszy rzut oka, raził mię jak piorunem zdumiewającą swą pięknością. Była to dama w białej sukni i klejnotach ze szmaragdów, opalów i dyamentów. Drogocenne ozdoby te lśniły na jasno kasztanowatych włosach, na pięknych ramionach, na cudnych piersiach. Oczy miała zielonawe, marzące, a brwi ciemne, z niezrównaną wy-

kreślone delikatnością. Byłem drogą bardzo zmęczony i siadłem w wielkim, wygodnym fotelu, w którym zanurzyłem się prawie. Oczy moje tkwiły jeszcze na portrecie, gdy posłyszałem lekkie kroki. Spojrzałem w stronę, zkąd się zbliżały, i osłupiałem wprost ze zdumienia! Dama, którą zachwycałem się na starym obrazie, wchodziła żywa do biblioteki! Miała na sobie koronkową suknię, o ton tylko cieplejszą niż na portrecie, miała te same szmaragdowe klejnoty na jasno kasztanowatych, złotemi promieniami przesianych włosach, miała te same zielonawe, marzące, czarodziejskie oczy, a nad niemi te same, ciemne, niewysłownie pięknie przez naturę zarysowane brwi! Twarz jej wszakże nie była tak radośnie uśmiechnięta jak na obrazie. Wzburzenie jakieś mąciło jej wyraz, a z wilgotnych oczu wyzierał smutek bolesny. Wsparła głowę przez chwilę o gzems wysokiego kominka, jak gdyby chcąc ochłodzić czoło o zimny marmur, ale wnet obejrzała się żywo, usłyszawszy kroki za sobą. Młody mężczyzna, piękny, wysoki, świetny, wszedł do biblioteki. Pobiegła na jego spotkanie. Śmiały wzrok jego pochłaniał wzruszającą w tym bólu piękność; przyciągnął ją do siebie i przycisnął do serca. Usta jego muskały włos jej złotawy. Nie poruszyła się. W mem wszakże sercu ozwało się coś jakby wściekłość szalona; byłbym zdusił tego człowieka. Ale siedziałem nieruchomo w swym fotelu, pogrzebany w głębokim cieniu, siedziałem tam jak skamieniały, niewidzialny kochankom świadek. Dama odchyliła po chwili głowę od piersi mężczyzny i uwolniła się z jego objęć.

— Edyto, — rzekł cicho, — wezwałaś mię tutaj, co chcesz mi powiedzieć?

— Cóż innego, jak to, o czem wiesz dawno, — odpowiedziała, — że cię kocham. Mówię ci to dziś znowu, bo żegnam się tutaj z tobą. Pożegnanie w obecności ty-

lu świadków, tam, na pokojach, a zwłaszcza w obecności mojego brata będzie tak zimne, tak urzędowe! Byłoby mi to nazbyt, nazbyt bolesnem, gdybym się z tobą tutaj bez świadków pożegnać nie mogła, tutaj, gdzie nie jestem zmuszona kryć łzy, powstrzymać westchnienia i ważyć słowo każde!

Sama rzuciła mu się teraz na piersi i zaszlochała. On starał się uspokoić ją wszelkiemi sposobami. Chwilę bez słów trzymali się w objęciu. Potem, gdy w pobliżu ozwał się jakiś szelest, puścili się spłoszeni.

— Jedź z Bogiem! — rzekła, — a napisz mi prędko i prędko wracaj. Pożegnajmy się tutaj. Nie wrócę już do towarzystwa, zamknę się u siebie w pokoju, udając znużenie i chorobę. Nie chcę, po tem pożegnaniu, widzieć cię tam pośród tych obcych... Nie zdołałabym zapanować nad sobą!

Pocałowała go jeszcze raz, poczem rzekła słabo: „Odejdź już!" i padła na krzesło. Całował jej ręce, klęczał przed nią i dotknął czołem ziemi u jej stóp. Potem powstał szybko i odszedł. Pragnąłem usunąć się także, ale nie było sposobu. Edyta obejrzała się dokoła, jak gdyby ze snu się budząc. Wstała nareszcie, ale zwróciła się ku drzwiom, w pobliżu których stał mój fotel. Gdy była o dwa kroki od niego, spostrzegła mnie. Zatrzymała się jak piorunem rażona. Oczy zabłysły jej gniewem.

— Ktokolwiek jesteś, — rzekla, — czyż ci nie wstyd, szpiegu nikczemny?

Od tej chwili kochałem kobietę tę do szaleństwa. Gniew jej zdruzgotał mnie. Wstałem powoli, nie mogłem przemówić zaraz, ale łzy strumieniami lały mi się z oczu; ona patrzała na mnie ze zdumieniem, gniew jej przygasał.

— Nie jestem winien, — rzekłem nareszcie. — Nie jestem żadnym szpiegiem. Traf sprowadził mnie tutaj. Gdyś pani weszła, chciałem odejść. Ale nim powstać zdołałem,

wszedł ów pan. Niepodobna już było odzywać się. Przez delikatność zostałem tedy nadal w ukryciu, spodziewałem się, że wyjdę niezauważony przez nikogo, a przysięgam na swój honor i na wszystko, co mam świętego na świecie, że nikt nigdy, ani pani, ani ktokolwiek inny, nie byłby się dowiedział, żem widział to, co ostatecznie ani hańbą nie jest, ani grzechem, na co mogliby patrzeć aniołowie! Boże mój — pani — wszak pani kochasz, czyżbyś się tego wstydziła!

— Na Boga żywego, nie, — odpowiedziała ze wzruszeniem namiętnem i podała mi rękę. — Powiedziałeś pan słusznie. Ale wiedz pan, teraz, gdyś stał się w tak dziwny sposób mym powiernikiem, wiedz, że okoliczności nakazują mi przez czas jakiś ukrywać swoją miłość, zwłaszcza przed bratem. Jestem zaręczona z innym, acz kocham tego, którego-ś pan widział przed chwilą. Interesa brata mego nazbyt-by ucierpiały, gdybym nagle zerwała dawną umowę. Nie myśl pan wszakże, iż oszukuję tego, z którym krewni mnie zaręczyli. Wie, że go nie kocham, choć nie wie, że kocham innego. Któż wszakże pan jesteś i jak się tu znalazłeś?

Teraz krwawy rumieniec twarz mi oblał.

— Przyjechałem z bratem pani z Francyi, — wyjąkałem, — o ile jesteś pani, jak przypuszczam, siostrą lorda Angusa. Jestem tedy... ach, co pani na to powiesz, że powiernikiem twym stał się mimowoli... sługa brata twojego!

Edyty wszakże, wbrew memu oczekiwaniu, nie przeraziło to bynajmniej.

— Nie jesteś pan wcale jego sługą, — odrzekła zupełnie spokojnie, — mówił mi o panu, i wiem, żeś pan człowiek niezwykły. Wiem, jakie zamiary brat mój ma co do pana, a ponieważ sama wiele z nim pracuję, więc często z panem spotykać się będę. Dziękuję losom, żeś

pan, nie zaś ktokolwiek z tamtych ludzi na pokojach, o tajemnicy mej się dowiedział, jeśli koniecznie już ktoś musiał stać się jej uczestnikiem. Brat mój tedy przyjdzie tu zapewne również za chwilę? Czy wie, żeś pan już przyjechał? Ach, słyszysz pan, oto idzie. Pokaż pan ten rękopis, który przywiozłeś z Londynu.

Pochyliła się nad księgą.

— Bracie! — zawołała, — cóż to za szacowny starożytny rękopis etyopski: „Taamina Mariam,“ mówi o cudach panny Maryi? A cóż za miniatury! A czy masz klucz gwoli odczytaniu tych legend według tradycyi magów?

Mówiła z pośpiechem gorączkowym, ręce jej się trzęsły, zwracała się ku oknu, z poza którego dochodził teraz słaby turkot kół po bruku podwórca. Edyta zbladła. „Odjeżdża!“ szepnęła. Wiedziałem, kogo ma na myśli.

— Usprawiedliw mnie przed gośćmi, — rzekła głośno. — Jestem chora, czuję się bardzo niedobrze — i wyszła szybko z biblioteki. — —

Rojko oddychał ciężko przez chwilę; potem ciągnął dalej:

— Nie o wszystkiem będę panu tak szczegółowo opowiadał, jak o tem pierwszem z nią spotkaniu. Powiedziałem już panu, że pokochałem ją szalenie. Byłem dziko zazdrosny o jej kochanka, ale i miłość i zazdrość ukryłem w sobie głęboko, i Edyta przypuszczała jedynie, że jestem jej bezgranicznie oddany, aż do poświęceń największych. Co do tego nie myliła się zresztą, byłbym dla niej poświęcił wszystko — oprócz swojej miłości. Żyłem tak przez kilka miesięcy na zamku lorda Angusa. Gdyby nie ta namiętność nieszczęsna, lord Angus byłby z pewnością doprowadził mię z czasem aż do wyżyn wiedzy ezoterycznej, na których sam tak wolno oddychał. Był to człowiek, jakich mało zaiste, prawy adept białej magii, i pewien

jestem, że dzisiaj doszedł już do szczytu prawd transcendentnych; miał wszystkie do tego zdolności, i intuicyę, i analizę, i syntezę. Doprowadził mię aż do progu pojęć zasadniczych. Dalej mi się już nie udało! Był to los mój zawsze i we wszystkiem: aż do progu, ale ani kroku dalej! Lord Angus, nie przeczuwając, co mnie wprawiało w roztargnienie, co skupiało koło siebie wszystkie me myśli i uwagę, i widząc tylko, że się co do mnie omylił, przestał zwolna uważać mię za swego ucznia, i w ten sposób jąłem spadać stopniowo do owego w istocie stanowiska, które taki bunt wewnętrzny we mnie budziło i tę resztkę dumy, która jeszcze mi pozostała, głęboko urażało. Byłbym z pewnością uciekł z owego zamku, gdyby mnie miłość ku Edycie nie była zatrzymała.

Edyta obchodziła się ze mną, bez względu na zapatrywania lorda Angusa, poprostu jak siostra! W niej nie znaleźć było jakichkolwiek przesądów. Była to kobieta pełna taktu, delikatności i dobroci. O jej uczoności nie mówię: znała wszystkie języki starożytnego wschodu, posiadała zdumiewające znawstwo wszystkich systemów filozoficznych, wszystkich herezyj chrześciańskich, i żadna z subtelności buddyzmu nie byla jej obca. Przy całej tej uczoności, brak jej było tylko syntezy, aby módz stanąć równie wysoko, jak jej brat. O tem wszystkiem wzmiankuję jednak tylko tak mimochodem i tylko dla tego, aby módz na pochwałę jej powiedzieć, że pomimo wszystkich tych badań i olbrzymiej wiedzy nie miała w sobie ani cienia pedanteryi. Najpiękniejszą jej właściwością była niewymowna tkliwość kobieca, a jedynym błędem to, że dawała się porywać wrażeniom chwili, że działała pod wpływem namiętności, bez rozwagi—i to ją zgubiło! — Ukochany jej, lord Dalton, powrócił, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, już w miesiąc po owem pożegnaniu, którego mimowolnym stałem się świadkiem, do Anglii, i teraz do-

wiedziałem się o nim więcej od samej Edyty. Lord Dalton był, według jej zapatrywania, człowiekiem doskonałym, ale miał fatalną jedną namiętność: był graczem. Dla tego to krewni jej, gdy przed laty starał się o jej rękę, stanowczo oparli się temu związkowi. Z powodu tej namiętności miewał z Edytą od czasu do czasu gwałtowne przejścia, które kończyły się zawsze obietnicą z jego strony, że grać już nie będzie, a z jej strony groźbą, że się od niego odwróci, jeżeli przyrzeczenie raz jeszcze zostanie złamane. Mnie wszakże zwierzała się Edyta, że nie opuści go, nawet gdyby nie wyleczył się z tej słabości, że, przeciwnie, przez całe jego życie chciałaby stać mu przy boku jako obrona i ucieczka. „Walczyć będę o każdy krok ze złym jego demonem,“ powiedziała mi razu jednego, „i nie spocznę, póki nie wyrwę go z jego szponów. Dla tego wszakże muszę z nim żyć, połączona na zawsze, nierozłącznie połączona.“

Ciężko mi opisać, jak bardzo cierpiałem, widząc oczy jej płonące takim zapałem na wspomnienie o lordzie Daltonie, słysząc jej ekstatyczne o nim marzenia. Nienawidziłem go śmiertelnie. Taki był tedy mój żywot w Angus-Manor. Po jakimś czasie, lord Angus, dla różnych spraw, zmuszony był przenieść się na dłużej do Londynu, dokąd, naturalnie, towarzyszyła mu siostra. Ja, z urzędu swego, pojechałem z nimi także. Tam Edyta częściej schodziła się z ukochanym; na zamek Angus-Manor przyjeżdżać mógł lord Dalton bardzo rzadko i to zawsze pod jakimś pozorem, nie taił mu bowiem brat Edyty, że odwiedziny jego nie są bynajmniej pożądane. W Londynie za to bywała Edyta wiele w towarzystwach i wszędzie spotykała się ze swym ukochanym, który, dla starożytnego nazwiska, dla czaru własnej osoby, oraz dla świetnych przymiotów towarzyskich, nader był poszukiwany. Ale, niestety dla biednej Edyty, w tem gwarnem, rozbawionem towa-

rzystwie znajdował lord Dalton zbyt wiele sposobności, aby ulegać swemu zgubnemu nałogowi, i nie było tajemnicą, że uczęszczał do cieszących się złą sławą domów gry, gdzie raz już przedtem przepadła wielka część jego majątku dziedzicznego, a teraz druga znowu, jeszcze znaczniejsza. Pewnego wieczora, podczas licznego zgromadzenia w domu lorda Angusa, byłem świadkiem namiętnej sceny między Edytą i lordem Daltonem. Lord Dalton przez cały wieczór był bardzo roztargniony — i Edyta dała mu znak, aby przeszedł do oranżeryi, w tej chwili zupełnie pustej. W salonie śpiewała znana śpiewaczka włoska jakąś brawurową aryę, i można było mieć pewność, że póki śpiewu nie skończy, nikt z salonu się nie oddali. Siedziałem samotnie w oranżeryi, słuchając także śpiewu z daleka, zależne moje bowiem w domu lorda stanowisko nie pozwalało mi wmieszać się w tłum zaproszonych gości. Gdy Edyta weszła niespodzianie, a wnet za nią niepostrzeżenie wśliznął się lord Dalton, chciałem odejść, ale Edyta skinęła mi, abym został.

— Ewerardzie, — rzekła do lorda Daltona, — pan Rojko, którego ci przedstawiam, cieszy się zupełnem mem zaufaniem, i chcę, aby był świadkiem naszej krótkiej rozmowy. Gdyby kto przypadkiem wszedł, lepiej będzie, jeśli nie znajdzie nas samych we dwoje na osobności. Obecność nasza tutaj nie wyda się tak podejrzaną. Słuchaj tedy, co chcę ci powiedzieć.

Lord Dalton chmurnie spojrzał na mnie, nie rzekł wszakże ani słowa.

— Mów, proszę cię, mów, — odpowiedział tylko.

— Ewerardzie, — rzekła Edyta, — posłyszałam rozmowę twoją z kapitanem Aldrichem, tym rozpasanym człowiekiem, którego obecność sama jest mi już tak nieznośna. Wiesz, że muszę go cierpieć tylko dla tego, że jest blizkim mym krewnym. Ty za to znajdujesz upodobanie

w jego towarzystwie, ponieważ — — a więc, ponieważ jest graczem jak ty.

Lord Dalton powstrzymał się z wysiłkiem, ale wzrok spochmurniał mu jeszcze bardziej.

— Jakąż to słyszałaś rozmowę? — spytał nareszcie.

— Słyszałam, jak-eś mu obiecywał, że wyjdziesz za kwandrans. Wiem, co to znaczy — idziecie do domu gry. Słuchaj tedy: zabraniam ci wychodzić od nas. Tak, zabraniam! Niech raz nakoniec wyjaśni się nasz stosunek! Kocham cię, kocham całą duszą, ale cierpliwość ma jest u kresu! Jeżeli pójdziesz z kapitanem, widziałam cię dziś po raz ostatni! Słyszysz? Po raz ostatni! Zerwę bez wahania wszystkie wiążące nas węzły! Nie przestanę cię kochać, ale na całe życie odsunę się od ciebie!

Ciemny rumieniec oblał twarz lorda Daltona.

— Edyto, — wykrzyknął, — tak, tak mówisz do mnie? Wiedz-że, iż żadnych nie przyjmuję rozkazów! Nie kochasz mnie, inaczej nie przyszłoby ci na myśl upokarzać mnie przed sługą najemnym!

Krzyknąłem głucho, cios był straszny. Edyta, zawsze taka pełna delikatności i taktu, w rozdrażnieniu postąpiła nierozsądnie, naraziła mnie na tak ciężką zniewagę, a kochanka swego nieroztropnie pobudziła przeciwko sobie. Byłbym się na niego rzucił w uniesieniu, ale Edyta spojrzała na mnie błagalnie. Śpiewaczka w salonie skończyła śpiewać, rozległy się oklaski i wywoływania, a zaraz potem kilka osób weszło do oranżeryi, oddzielonej od salonu tylko krótkiem przejściem, w którem wisiało kilka znakomitych obrazów, w wyrafinowany sposób niewidzialnemi oświetlonych lampami. Edyta panowała nad sobą zdumiewająco; zdawało się, że swobodnie rozmawia ze mną i z lordem Daltonem o rzadkiej roślinie, dotychczas mało w Europie znanej, której piękny egzemplarz kwitł właśnie w oranżeryi. Nadchodzący goście przyłączyli się

do rozmowy, i po jakiejś chwili oddaliłem się nieznacznie, jak przystało skromnemu memu stanowisku; zauważyłem wszakże, iż lord Dalton odszedł był jeszcze przede mną.

Mniej więcej za godzinę wezwała mię Edyta do swego pokoju. Pozdejmowała już klejnoty, piękne jej włosy były rozczesane, a czoło białą przewiązane chustką. Twarz miała śmiertelnie bladą, i znać było, że cierpi cieleśnie i dusznie.

— Panie, — rzekła głosem słabym i drżącym, — chciej mi pan przebaczyć, że z mego powodu spotkała cię obraza. Ewerard sam tego niewątpliwie żałuje, i przeprosi pana, jak tylko się nieco uspokoi. Czy przebaczasz mi pan?

Podawała mi cudną swą rękę, którą ucałowałem ze wzruszeniem.

— Jestem znękana śmiertelnie, — mówiła dalej. — Ewerard odszedł z kapitanem. Widzisz pan, że obraża mnie jeszcze głębiej, niż pana obraził. Nie wygląda-ż to, jak gdyby chciał rzec po mej groźbie, że nie dba, czy potargam wszystkie wiążące nas ogniwa?

Otarła łzy, które płynęły jej z oczu.

— Postąpiłam nieroztropnie, — ciągnęła dalej. — Ale naprawię swój błąd. Czy chcesz mi pan ogromną wyrządzić przysługę?

— Każdą, nie pytam jaką! — zawołałem.

— A więc... nie zwracaj pan uwagi na to, co zaszło między panem i lordem Daltonem. Wznieś się ponad zwykły, ludzki sposób widzenia. Wiesz, co o tobie myślę, a to, o co teraz chcę prosić, jest nowym, wielkim, największym dowodem, jak głęboko pana poważam i szacuję.

Wyjęła list z szufladki sekretarzyka i podała mi go.

— Idź pan, — rzekła, — idź i oddaj Ewerardowi sam do rąk własnych ten mój list. Nie jesteś pan tylko posłem, jesteś mym powiernikiem — list jest otwarty, nieza-

pieczętowany, i pozwalam panu przeczytać go. Nie, więcej niż pozwalam, — proszę pana, abyś go przeczytał. Ale nie tutaj u mnie, w drodze dopiero, i nie mów mi pan ani słowa, co sądzisz o jego treści. Gdy pan list oddasz, wracaj do domu, ale nie przychodź już do mego pokoju. Położę się za chwilę, tak się czuję niedobrze. Jeżeli Ewerard da jaki list od siebie, przyślij mi go pan przez moją pannę służącą, która oczekiwać będzie w prowadzącym tu korytarzu. Gdyby wszakże — czemu uwierzyć nie mogę — Ewerard nie dał panu żadnego listu w odpowiedzi na mój, — w takim razie oddaj pan pannie służącej tę oto gardenię, którą przez cały wieczór we włosach miałam, a która była jego darem. Będę wiedziała, co to oznacza.

Podała mi znowu rękę — i wyszedłem z pokoju znękany, wzburzony, rozbolały. Kochałem ją do szaleństwa — i musiałem milczeć! Kochałem ją bardziej niż duszę swoją, niż życie swe, niż wszystko na świecie, bardziej niż człowiek wierzący — zbawienie własne, — i byłem posłem miłości jej do innego, niegodnego jej łez, jej westchnień, jej cierpienia. Myślałem, że oszaleję — — oh, toć byłem już więcej niż nawpół szalony! — — To snadź jedynem może być usprawiedliwieniem wszystkiego, co dalej się stało...

Pośpieszyłem do niego, a po drodze, pod latarnią, przy migotliwych blaskach płomyka gazowego, przeczytałem jej list.

„Mój przyjacielu,“ pisała mu, „zawiniłam i proszę, abyś mi wybaczył. Zważ, iż stało się to ze zbytniej troski o twe zbawienie. Nie powinnam była rozkazywać i grozić, trzeba mi było prosić cię — i uprosić. Czynię to teraz. Przebacz mi i wysłuchaj mej propozycyi. Dowiodę ci bezgranicznej miłości swej, poświęcając ci wszystko, wszystko, i swoje dobre imię, i swego brata. Ucieknę

z tobą, jeśli chcesz, jeszcze dzisiejszej nocy. Zamiast grać, śpiesz tedy do mnie. Ale nie, to przecież niepodobna, wiem, że będziesz musiał porobić pewne przygotowania. Napisz mi zatem kilka słów, to tylko: „Nie idę do domu gry, robię przygotowania do naszej ucieczki.“ Jutro rano wyszłabym, nie zwracając niczyjej uwagi. Czekaj z powozem na rogu naszej ulicy. Napisz mi więc kilka tych słów, zwłaszcza to: „nie idę do domu gry,“ a jutro będziem szczęśliwi.“

Doczytawszy te słowa, omdlałem. Padłem przed jego domem. Myśleli, żem pijany i śmieli się. Opamiętałem się wszakże szybko. Zacząłem rozmyślać. Co miałem robić? Nie można było dopuścić, aby doprowadziła zamiar swój do skutku, nietylko dla tego, że serce moje pękało (cóż to mogło obchodzić i ją i kogo innego?), ale dla tego, że w ten sposób szła na zagubę.

— List ten, — rzekłem sobie, — nigdy do rąk jego się nie dostanie!

Ale cóż-em miał począć? Jakież miałem prawo powrócić i rzec jej, że się nie zgadzam na to, co zamierza uczynić? Kim-że byłem? Sługą jej brata! Rwałem sobie włosy na głowie i kaleczyłem twarz paznokciami. Wtem zajechał powóz, sługa jakiś wyskoczył i zadzwonił u bramy. Po chwili z domu wyszedł lord Dalton. Był to widocznie powóz najęty, który mu sługa z polecenia jego sprowadził. Nie było żadnej wąpliwości, jechał do owego domu gry najętym powozem; swego własnego już nie miał. List jej był w mojej ręce, pomięty cały, bo palce zaciskały mi się kurczowo. Lord Dalton poznał mnie i gniew błysnął na jego twarzy.

— Czego pan tu szukasz? — zagrzmiał na mnie. — Czy posłała cię na przeszpiegi pani twoja?

Podniosłem rękę z listem, ale zaciśnięte palce wypowiedziały mi posłuszeństwo, i zamknięta ręka opadła bez-

władnie z powrotem. Usta mi drgały i zęby szczękały, gdym mu rzekł: — Nie na wywiady posłała mię pani moja, nie chce wszakże, abyś pan jechał do domu gry... — więcej wymówić nie zdołałem.

— To wszystko? — spytał i zaśmiał się, poczem, odsunąwszy mię na bok, poszedł ku powozowi. Trzymając już nogę na stopniu, odwrócił się jeszcze ku mnie.

— Co mam jej powiedzieć? — wyjąkałem.

— Że nie przyjmuję rozkazów, — odrzekł chmurnie,— że jestem panem swej woli.

Powóz zaturkotał po bruku, i zrobiło mi się jakby lżej na sercu. Była uratowana! Dzika radość zawichrzyła mi w piersi. Pośpieszyłem do domu.

— Jutro wszystko jej wytłómaczę, — rzekłem do siebie, ujrzawszy na korytarzu pannę służącą, i jak przez sen podałem jej ową — teraz już uwiędłą — białą gardenię.

Gdym się wszakże znalazł w swoim pokoju, ogarnął mnie lęk szalony. Cóż-em to zrobił? Oszukałem ją! Miąłem ten list w ręce, której dotąd otworzyć nie mogłem, tak silnie trzymał kurcz opuchnięte już palce. Nie wiem, jak długo chodziłem po pokoju, płakałem, biłem głową o ściany, tarzałem się po podłodze. Świtało już, gdy wybiegłem z domu. Skierowałem najprostszą drogą do niego. Chciałem mu wyznać wszystko, naprawić swą zdradę. Zadzwoniłem u jego drzwi. Otworzyli mi natychmiast; zdziwiło mię, że jeszcze czuwali, teraz dopiero spostrzegłem się, jaka to niezwykła do odwiedzin godzina. Zapytałem o niego. Był za domem, ale oczekiwali go każdej chwili, a jak zauważyłem z wyrazu twarzy kamerdynera, który mnie znał, oczekiwali z wielkim niepokojem.

— Całą noc był za domem? — spytałem, tak tylko, aby coś powiedzieć; męką mi było milczeć i myśleć o tem, co uczyniłem. — Całą noc był za domem? Poselstwo moje jest tak ważne, pojmujesz pan...

Skinął głową, że pojmuje.

— Był w domu w nocy, — rzekł potem. — Przed świtem wyjechał znowu... Zwierzę się panu, chodzi o pojedynek. Lękam się o niego...

Milczeliśmy obaj czas dłuższy. Był już zupełny ranek, bo na ulicy zaczynał się ruch. We wzburzeniu swem straciłem poczucie czasu. Czekałem może godzinę, może trzy. Wreszcie powóz zatrzymał się przed domem, na schodach dały się słyszeć kroki i kamerdyner pobiegł na spotkanie lorda Daltona. Uradował się wielce, widząc, że pan zdrów i cały, ale lord Dalton blady był i posępny.

— Gotuj wszystko natychmiast do odjazdu, — wykrzyknął, — uciekam z Anglii.

Spostrzegłszy mnie, nie okazał żadnego zdziwienia, tylko boleść wielka wybiła mu się na twarzy.

— Oh, dobry los tu pana sprowadził, — rzekł do mnie, — napiszę list, oddaj go pan Edycie, chciałem powiedzieć, siostrze lorda Angusa.

Siadł i pisał szybko, podczas gdy w obocznym pokoju kamerdyner śpieszne jakieś czynił przygotowania.

— Oto list, — rzekł, skończywszy pisać, — oto list, a oddaj go pan zaraz.

Jak we śnie, zataczając się, wyszedłem z pokoju i powlokłem się ulicami. Nie pamiętałem nawet, żem mu nic nie objaśnił, nic nie naprawił, nic nie wyznał! Patrzałem tylko na jego list. Nie był zapieczętowany, koperta niedbale zalepiona sama się prawie otworzyła — i czytałem: „Edyto, na kolanach cię błagam, odpuść mi! Jestem nędzny, nędzny nieskończenie! O, gdybym był posłuchał twych próśb i rozkazów! Grałem, grałem — ale tego niedość! Podczas gry wszczęła się zwada. W uniesieniu uderzyłem kapitana w twarz. Strzelaliśmy się skutkiem tego, jak tylko rozedniało, — i zastrzeliłem go. Uciekam na jakiś czas do Francyi. Zaklinam cię na Boga żywego, daj mi choć

jednem słówkiem znak, że mnie nie przeklinasz, że wolno mi ufać, że przebaczysz mi z czasem! Przysięgam ci na swój honor, przysięgam ci na zbawienie swej duszy, że nigdy już grać nie będę! Padam przed tobą na kolana! Napisz mi choć jedno jedyne słówko do Paryża pod całem mem nazwiskiem poste restante!“

Nie wiem, jak się dostałem do swojego pokoju, nie wiem, czy-m myślał wogóle, zastanawiał się, walczył ze swem sumieniem, wiem tylko, żem złożył razem listy jego i jej i schował je, że w ten sposób spełniłem zbrodnię czarną, zdradę nędzną, i że ostatnim jestem nikczemnikiem! — —

Rojko nie mógł dalej mówić. Szlochał tak, że zanosił się prawie. Gdy uspokoił się poniekąd, spytałem go: — Nie mógłżeś pan choć z czasem naprawić swego grzechu?

— Nie mogłem i nie chciałem, — odpowiedział. — We dwa dni potem, posłał mnie lord Angus do Szkocyi, i powróciłem na zamek Angus-Manor w miesiąc dopiero. Przyjechałem nazajutrz po weselu Edyty, wyszła za tego, z którym krewni ją zaręczyli. Widziałem ją, ale nie poznałem prawie. Była, w omdlałości swego smutku, może jeszcze piękniejsza niż przedtem, ale to była inna osoba. Zdawało mi się, że już nie żyje. Widziałem ją na wielkim balu, który lord Angus wydał w zamku na jej pożegnanie. Miała znowu na sobie owe szmaragdowe klejnoty swojej prababki, której portret wisiał w bibliotece, widziałem ją taką samą jak wówczas, w pierwszy wieczór, gdym do Angus-Manor przyjechał. Ale teraz była jak bez duszy, i zdało mi się, że ją widzę w trumnie. I to ja byłem jej mordercą... Na drugi dzień wyjechała z małżonkiem swoim dokądś do Niemiec, czy do Włoch, już nie wiem. Ja musiałem położyć się do łóżka — i wzywałem śmierci. W gorączce jeden tylko czułem lęk śmiertelny: że spotka się gdzieś z lordem Daltonem, że wszystko się wyjaśni,

że mię nienawidzieć i przeklinać będzie, że mną wzgardzi! Ale o to trwożyłem się nadaremnie. Z lordem Daltonem Edyta spotkać się już nie mogła. Gdy wyczytał w gazetach, w Paryżu, o jej ślubie — zastrzelił się.

Mróz przebiegł mi po ciele, a oddech zatrzymał się w piersi.

— I pan to przeżyłeś? — zapytałem.

— Przeżyłem więcej, — odpowiedział i zaczął trząść się całem ciałem. Trzymał mnie obu rękoma za ręce i krzyczał prawie do ucha: — Edyta umarła po dwóch latach, chorowała, słabła, konała z żalu powoli! Uciekłem dawno z domu jej brata, kołatałem się, walcząc z nędzą, po Londynie. Usłyszałem przypadkiem o jej chorobie od byłego kamerdynera lorda Daltona. Piechotą doszedłem do zamku Angus-Manor, dowiedziawszy się, że tam umiera, prosiłem na Boga, aby mi dali z nią pomówić. Długo nie chcieli mnie do niej puścić, była już na pograniczu śmierci, w końcu wszakże, na rozpaczliwe błagania, oznajmili jej me pragnienie. Anielsko dobra aż do końca, zadość uczyniła wnet mej prośbie. Czołgałem się na kolanach ku jej łóżku. Wznosiłem do niej ręce jak w modlitwie „Przebaczenia!“ jęczałem, „przebaczenia!“ Nie rozumiała, czego chcę.

— Jestem nędznik! — krzyczałem, gdy mnie z pokoju jako szaleńca wyprowadzić chciano, — jestem nędznik! Zdradziłem cię, pani! Kochałem cię nazbyt — i dla tego zabiłem ciebie i jego! Patrz, patrz, oto dwa listy, które z winy mej, przez zbrodnię mą, nie doszły nigdy jego ani ciebie!

Podałem jej oba te listy. Oczy jej się rozszerzyły, gdy poznała rękę jego i swoją, przeczytała to jego pismo i rumieniec twarz jej przeleciał. Łkanie wydarło jej się z gardła, spojrzała na mnie, jak gdyby chcąc mi coś powiedzieć, a w oczach jej była śmierć!

— Przebaczenia! — było wszystko, co-m zdołał wyjęczeć. Ale Edyta była już w agonii. Nie przemówiła już ani słowa, przycisnęła tylko ten list jego do piersi... No, i tak oto zabiłem i ją! — — —

— Nieszczęśliwy! — krzyknąłem, padając na krzesło w zgrozie niewysłowionej.

— Nie, nie! — zawołał Rojko jakby w szaleństwie, — nie, nie byłem zaraz nieszczęśliwy! Czułem to, o czem panu mówiłem przed chwilą, tę rozkosz popełnionej zbrodni! Dopiero później, dopiero później przyszedł ten lęk i ból niewysłowny! Dopiero wówczas, gdy ten złom skalny na mnie patrzał. Dopiero tam, w tej starej komnacie, gdzie mnie zamknięto szalejącego, gdy ludzie, znalazłszy mię w jakimś epileptycznym ataku na gościńcu koło owego skaliska, miłosiernie ponieśli nędzarza z powrotem pod dach zamku, w którym umarła! Tak, po kilku dniach dopiero, w owym starym sklepionym pokoju, kędy gęste zasłony od stropu spływały, zasłaniając okna, wówczas dopiero, gdy zaczęła mnie prześladować myśl, że je muszę rozsunąć, te zasłony, że kogoś muszę w tym cieniu ich szukać, gdym wiedział wreszcie, k o g o tam szukać muszę, gdym był pewny, że o n a tam stoi, martwa, posiniała, z temi szklanemi oczyma, owieszona starożytnemi temi klejnotami ze szmaragdów i opalów, w których na paradnem łożu przed pogrzebem leżała, z tem groźnem wykrzywieniem śmierci na ustach, gdym wiedział, że tak tam stoi, a za nią miesiąc w pełni dysk biały tworzy, równie blady i martwy jak jej oblicze, a te puste, śniegiem okryte pola szerzą się za nią w sinej, widziadlanej nocy, jasne i głębokie, głębokie jak próżnia i nicość całego świata... wówczas, wówczas dopiero byłem zupełnie nieszczęśliwy!

(Dokończenie nastąpi). Juliusz Zeyer.

Z „Wysp złotych.“

CZARA.

O to czara, Prowansale,
Z bratniej dłoni Katalanów:
Ku wzajemnej spełńmy chwale
Wino złote naszych łanów.

Błogosławiona
Czaro spieniona
Skrą nas ogni twoich wzrusz!
Niech twe strumienie
Budzą natchnienie
I energię silnych dusz.

Starej wolnej tej krainy
Kwiat w nas może ostateczny:
Gdy felibrów znikną syny,
Zginie naród nasz odwieczny.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Ludu, który zmartwychwstawa,
Myśmy może kwiat wiośniany:
W nas ojczyzny przyszła sława,
My jej wodze i tarany.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Daj nam, daj nadzieję złotą,
Odrodzenia wiosny marę:
Pamięć przyszłych dni z tęsknotą
I niezłomną w jutro wiarę.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Daj nam wiedzę niepojętą
Siły Prawdy, Piękna siły:
Daj nam życia rozkosz świętą,
Która z ciemnej drwi mogiły.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Daj poezyę — ten blask zorzy:
To, co żyje, pieśni czeka.
Bowiem pieśń — to nektar boży,
Co w boga zmienia człowieka.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Ku czci ziemi tej kochanej,
Mili nasi sprzymierzeńce,

Wy — nakoniec — Katalany,
Łączcie z nami swoje ręce.

Błogosławiona
Czaro spieniona,
Skrą nas ogni twoich wzrusz!
Niech twe strumienie
Budzą natchnienie
I energię silnych dusz.

KOMUNIA ŚWIĘTYCH.

Z spuszczonemi wychodzi oczyma
Ze świątyni świętego Trofima —
O godzinie szarzy przedwieczornej,
Kiedy świece gaszono nieszporne.
U wrót — święci wykuci z kamienia,
Błogosławiąc idącą dziewicę,
Od kościoła do domu przedsienia
Słali za nią swe święte źrenice.

Bowiem mądra była, jak niewiele,
Młoda, piękna bardzo, a w kościele
Nikt jej szeptów nie zarzucał grzechu,
Nikt nie widział nigdy jej uśmiechu.
Ale kiedy huczały organy,
Kiedy psalmy śpiewali na chórze:

Czuła, że ją do Raju niebiany
Unosiły na skrzydłach ku górze.

Widząc święci, wykuci z kamienia,
Że ostatnia kościelne sklepienia
Opuszczała i szła poza wrota,
Jak w zaziemiu żyjąca istota:
Więc kamienni święci dobrotliwi,
Ukochali owo dziewczę boże —
I gdy noc się pogodą ożywi,
Rozmawiali o niej skroś przestworze.

— Chciałbym, żeby dziewczę to zostało —
Rzecze święty Jan — mniszeczką białą.
Bo świat — jest to niespokojne morze,
A zaś ciszy ostoja w klasztorze. —
Święty Trofim: — Pewnie, Janie święty,
Lecz mi ona potrzebna w kościele;
Trzeba światła, gdzie mroków odmęty,
A na świecie wzorów jest niewiele. —

Zaś Honorat święty tak im wtrąca:
— Dziś, gdy w nocy błyśnie tarcz miesiąca
Po lagunach i łąkach zieleni,
Zestąpimy, bracia, z tych kamieni...
Bo noc dziś jest Wszystkich Świętych nocą,
Sam Bóg Ojciec święty stół zastawi,
Sam Pan Jezus przyjdzie przed północą
I w Aliscamps świętą mszę odprawi. —

— Bracia! — na to święty Łukasz woła —
Weźmy dziewczę do świętego stoła.
Pójdzie strojna w płaszczyk lazurowy
I w sukience bieluchnej, godowej. —

Rzekli czterej ci święci z kamienia
I jak wicher szybko ulecieli —
I dzieweczki, co szła śród marzenia,
Duszę wzięli — ponieśli — pomknęli!

A nazajutrz, gdy ranna godzina,
Obudziła się ze snu dziewczyna
I o dziwnej uczty prawi cudzie:
— Ja tam we śnie byłam, we śnie, ludzie!
Po powietrzu krążyli anieli,
Stół niebiański woniał w Aliscamps,
Święty Trofim służył do mszy w bieli,
Zaś odprawiał mszę sam Chrystus Pan.

KSIĘŻNICZKA KLEMENCYA.

Niegdyś w Prowancyi, w dawne pokolenia,
Był Karol Drugi król, zwany Kulawy,
Gdyż, mówiąc prawdę (błagam pozwolenia),
Idąc, kusztykał w lewy bok to w prawy.
Tak się urodził. Lecz dla jego sławy
Bóg mu dał córę, Klemencyę z imienia,
Cudniejszą stokroć od zorzy promienia.

Drobni w Aix byli nasi króle starzy,
Że tytuł grafa starczyłby im, wnoszę;
Lecz też niewielki ich władzy i straży
Był koszt. Za tanie panowali grosze,
A prości byli, że to baśń potrosze,
I zimą, kiedy wiatr jesiony warzy,
By drzew oszczędzić, z zamku, jak się zdarzy,

Pieszo ci nieraz i bez ceremonii
Wyjdą, by słońca zażyć na ogrodzie.
I wnet gawęda, a Piotr czy Antoni
O żniwach, deszczach gada im, pogodzie:
Tak wiedzą, jak tam dzieje się w narodzie —
I podług kobzy śpiewackiej harmonii
Wspólnem dziedzictwem zarządzali oni.

Małą zaledwie otoczony świtą
Na kamargoskim koniu graf nasz stary
Po Taraskonie, Fréjus — znakomitą
Ciągnął wyprawą: szły groźby i kary,
To znów każdemu umniejszał ciężary,
Niejeden proces przez niego ubito
Starych zwyczajów modłą przyzwoitą.

Ba! wszędzie bywa krzyk, lud ma swe chuci.
Szczęścia ludzkiego nie ważyć na pudy.
Każdemu zda się lepiej, kiedy się odwróci —
A wówczas, jak i dziś, ludzie i ludy,
Byli to chorzy ze szpitalnej budy.
Lecz, gdy na bydło niesforne się rzuci
Wilk — niechaj nikt się z pasterzem nie kłóci.

Czasem Marsylia, Nica, Taraskonie
Na tłuszczu nadmiar skarżą się — i oto,
Setkami łuków uzbroiwszy dłonie:
— Dość więzów! — rykną — precz wreszcie z despotą! —
— Ja wam pokażę — wołał graf, — a co to? —
I jako pasterz karmiciel swe konie
I owce znowu spędzał na wygonie.

Ale choć biedni (czasem kuternogi),
Królowie nasi mieli córy — kwiecie!

I nigdy wróżki takiej liczby mnogiej
Nie ułowiły serc, jak przez ich siecie.
Klemencya słowem — ta, o której wiecie —
Była promieniem słonecznej śrzeżogi:
Taką jutrzenką ozłoćcie mię bogi!

Owóż francuzki królewicz dziedziczny,
Kiedy o pięknej zasłyszał królewnie,
Wnet uczuł miłość ku tej pannie ślicznej,
I nie spał, póki nie wyznał się rzewnie,
Lecz, że jest gburem, to wykazał pewnie,
Choć taki wielki pan i zagraniczny:
Jak to w mej pieśni czytasz historycznej.

Szybka z Paryża idzie ambasada,
Mknie do Prowancyi koleśnie i konno.
Więc uczta. Później sprawa się układa:
Zaś pozyskawszy zgodę obustronną,
Proszą wysłańcy młodą narzeczoną,
Czy z nimi tajnie pomówić nie rada.
Najstarszy zasię taką rzecz powiada.

— Piękna Klemencyo, gwiazdo Południowa, —
W ten sposób chytry starzec rozpoczyna, —
W różanym kwiecie zwykle cierń się chowa.
Taka jest naszej rozmowy przyczyna,
Od której kraśnieć będziesz jak malina.
Lecz, choć rumieniec wywołają słowa,
Niech rzecz tę mądrze rozważy twa głowa.

Wiesz, że twój ojciec — rzec sobie pozwolę —
Idąc, to w prawo to w lewo się kłoni.
Biada! bo jeśli, jak prawi lud w siole,
Blizko upada jabłko od jabłoni,

Dziecko ma obraz swych ojców na skroni,
A toż nie stanie się brzydkie pacholę
Pięknym cesarzem z koroną na czole.

Ha, cóżby na to rzekł Anglik złowrogi,
Gdyby tak dzieci francuzkiej królowej
Były mańkuty, ślepcy, kuternogi...
Więc by mieć pewność, że twój kształt jest zdrowy,
Książę Walezyusz pragnie — bez odmowy —
Abyś się, zanim wejdziesz w jego progi,
Nam odsłoniła od głowy do nogi! —

— Zuchwalec! — krzyknie ta z chmurą u czoła. —
Franczimand! Nie dziw, że do obelg skory.
Lecz, o Prowancyo, niechaj nikt nie woła,
Że twe księżniczki miały dość pokory,
By znosić kłamstwo, iż są jak potwory.
Czekajcie — wracam do was — bez szat — goła!
Ty wstydzie, okryj mnie skrzydłem anioła. —

Rzecze — i znika iście błyskawica!
Rozwiąże sznury — zdziera szaty zgrabne —
Opada atłas — damaszek — spódnica,
Do nóg jej suknie spływają jedwabne,
I tylko biele zostają powabne:
Tak — w łoże ślubne — przy blasku księżyca —
W ramiona męża wstępuje dziewica.

Cudna Klemencyo! widok twój rozczula!
Idzie — cieniuchną opięta tkaniną,
Biała ją kryje przezrocza koszula,
Pod którą, niby poza pajęczyną,
Od stóp do głowy jej wdzięki się winą...

Wzrok gorejący posłów aż się stula,
Rzekłbyś — pożera narzeczoną króla.

— Gdy z pączków sądzić, powiem ci w zapale,
Miłości cudne zapowiadasz żniwo...
Królewski kąsek. Piękna-ś doskonale! —
Rzecze jej starszy poseł z głową siwą, —
Bez skazy — od stóp do głów — jako żywo.
Skarb to dla króla naszego, ku chwale
Całej francuzkiej naszej ziemi—ale

Czyń, czego żąda od nas narzeczony,
Aby już żadnych nie miał niepokoi,
Niech nam bez chmury żadnej i osłony
Błyśnie ta gwiazda, która wzrok nam dwoi,
Gdyż to w kontrakcie zastrzeżone stoi,
A bacz, że wskutek prośby wyłożonej
On ofiaruje tobie dar — korony! —

Wtedy — z królewskim czarem, o bogowie!
Bez najmniejszego namysłu — wraz — śmiało —
Falą wijące się złotą po głowie
Włosy odrzuca — i tkaninę białą
Zdziera i woła: — Żem była tak małą
I że dla jednej koszuli, posłowie,
Straciłam Francyi tron — niech nikt nie powie! —

W przestrzeń upada tkanina pajęcza
I Arlezyjska Wenus się ukaże,
Jako na szczycie góry jasna tęcza —
A zatopiony w tych czarów jej czarze
Każdyby pragnął jak król mieć ją w darze.
Lecz miłość — piękność, do licha, udręcza!
Jednego łamie, drugiego uwieńcza.

Cny Nostradamus pisze w swym kanonie,
Że lud Prowancyi w dłonie klasnął cały —
I my tak samo przyklaśniemy w dłonie
Tej bohaterskiej Klemencyi wspaniałej,
Bo zła nie czyni, kogo zło nie nęci,
A Walezyuszów ród w Franków koronie
Zakwitł w słonecznem piękna tego łonie.

ROMANIN.

I.

Wdzierałem się po żwirach na szczyt góry. Z dali
Dochodziły odgłosy motyk kilku drwali,
Co uderzają w głazy, wyrębując kępy,
Wzrastające nad szczerków suchemi ostępy.
Szedłem niby w marzeniu, aż ci w jednej chwili
Ujrzę ponury profil rozdartych Alpilli.
Piargi pod memi nogi staczały się dołem —
Wdzierałem się, aż w końcu przed zamkiem stanąłem,
Wsławionym, opuszczonym zamkiem Romanina!..
O chwało! Uczty dawne! O piękno!.. Ruina...
U szczytu nad przepaścią zwisły dwór miłosny — —
Wszystko znikło — umarło... I tylko żałosny
Żwir ciągle w dół opada. Zasię bluszcz prastary,
Jakgdyby dawny sługa, co dochował wiary,
Broni sam, ile może, od wichru i burzy
I od ręki człowieka — piękności tych wzgórzy.
W niziny schylił czoło stary zamek dumny,
W podziemne kurytarze runęły kolumny,
A wieżyce i blanki, niegdyś pełne grozy,
Zdawna się powaliły w zeschnięte wąwozy,

Lecz bukszpan wiecznie młody, lecz trawy zielenie,
Skalny dąb i jałowiec weszły na sklepienie,
Jako władcy, a róża z lutym rozmarynem,
Jak niegdyś, rozlewają woń nad Romaninem,
Słyszę szept. Z rozwartego wszystkich róż kielicha.
Brzmi imię Stefanety, powtarzane z cicha.
Bo pięćset lat wciąż po niej tęskni smutne kwiecie
I czeka jej powrotu, marząc o Fanecie.
Lecz Faneta minęła jak sen wiosny złoty,
A róża Romaninu zdziczała z tęsknoty.

II.

Zbliżał się wieczór. Ostre, milczące urwiska
Długie cienie rzucały na gruzy zamczyska...
— O Faneto, krzyknąłem, o przecudna pani,
Jeśli są, w tajemniczej, gdzie żyjesz, otchłani,
Dusze, którymby łaska pozwoliła Boga
Zejść na ziemię, co niegdyś była im tak droga;
Jeśli to szczęśliwości twojej nie obraża:
Spraw — niechaj się objawią na słowo pieśniarza! —
Zamilkłem: naraz tchnienie jakoweś radosne,
Słodkie, jakgdyby zapach migdałów na wiosnę,
Poruszyło me włosy, musnąwszy dębiny,
I nagle się zachwiały sieroce ruiny.
I musiałem odwrócić poza siebie oczy,
I ujrzę białą postać: głaz był na uboczy,
Służący za piedestał tej boskiej istocie,
A głowa lśniła blaskiem w przezroczystem złocie.
Więc martwy — oniemiały — na kolana padam —
I mdłe wargi poruszam — i słowa nie gadam,
Lecz ona: — Przyjacielu, radość mię kołysze,
Że mowę ukochaną w Romaninie słyszę.
Bo już pięćset lat mija, jak się gorzko smucę,

Że ślady po Wesołej zamarły Nauce.
Próżno codzień wyglądam, smutna kasztelanka,
Czyli nikt tu nie wejdzie — z wieczora czy ranka,
Nie rżą białe rumaki pod mojemi mury,
Nie śpiewają minstrele ani trubadury...
Nic — nic! A na tarasie huczy mi albadą
Wycie wilków lub sępów krakających stado.
Przeto, gdy widzę, w jakiej zapomnienia pleśni
Dziś igrzyska miłosne — i damy — i pieśni:
Pytam, czyli zamarły Prowanckie równiny
Lub czy niemi owładły dzikie Saracyny? —

Ochłonąwszy z mej pierwszej bojaźni szalonej:
— O kwiecie Romaninu, rzekłem jej wzruszony,
Odkąd różane twoje oblicze śmierć mroczy,
Wiele fal od Marsylii do morza się toczy...
Nie niszczy już Prowancyi szabla Saracyna,
Już nam on nie porywa dziewic ani wina.
Jak za dni twoich słońce od Arles do Wancyi
Złociście promienieje nad czołem Prowancyi...
Lecz chłodny wicher powiał od północnej chmury,
A długie zim szeregi uśnieżyły góry —
I Wesołej Nauki pieśń zastygła żywa,
A na drzewach powiędła zuchwała oliwa.
Jednak z oliwy, którą owiały śnieżyska,
Oto nowemi pędy nowa zieleń tryska.
I znów z powiewem bożym, śród ludzi poklasku,
Godowa Pieśń się budzi w odrodzenia blasku. —

III.

I pani Stefaneta na te słowa moje
Wyciągnie nagle przed się białych ramion dwoje
— A stała jako ludzie modlitwie oddani —

I szepcząc, utkwi oczy w niebieskiej otchłani,
A potem: — Pójdźcie, pójdźcie! — woła jaśniejąca.
I oto stary zamek o zachodzie słońca
Powoli się odradzał, a pyszne komnaty
Lśniły od złotej herbów prowanckich rozświaty.
— Sen-że to czy mnie jakieś opętały czary —
Szeptałem — a tu lekko poprzez land moczary
Biegły na jednej nodze błądzące ogniki,
A Faneta wołała: Duchy — nieboszczyki,
Dworzanie — trubadury, rycerze — minstrele,
Wy, coście szałów boskich śpiewali wesele!
I wy, panie i panny wysokiego rodu,
Coście się upajały miłością za młodu, —
Pójdźcie rychło pozdrawiać, dawnych lat pieśniarze,
Ostatni błysk Prowancyi słońca w nowym żarze...
Łącz się z chwałą wczorajszą, o dzisiejsza chwało!

IV.

I idą dusze zmarłych — i płyną nawałą —
Z mroku Czysca i z Raju promiennego goście...
Lecz bieleją wnet, stając na zwodzonym moście,
I — o dziwo! — człowiecze przyjmują postacie,
Już w rycerskim puklerzu, już w dziewiczej szacie!..

Więc sławni kochankowie, królowe na przedzie.
Tu Bertrand z Allamanon Azalais wiedzie;
Piotr z Chateauneuf, na ustach mając nieustanny
Uśmiech, szedł obok cudnej hrabiny Joanny.
A zaś Gui de Cavaillon, stojąc za nim, ramię
Podawał Hugonecie de Sabran, swej damie.
Dalej w ucho Gwilhelma, Orańskiego księcia,
Rambold z Vacqueiras pochwały śpiewał cud-dziewczęcia,
Twoje, o Beatrice z Montferrat! — I ciebie,

Na czyj głos biegli króle w rycerskiej potrzebie,
Bertrandzie de Born; ciebie pani z Porcairarques,
Ciebie, Dulcyo z Moustier i Alix z Meirarques;
Wasze, Blakasie Wielki, Piotrze Vidal, cienie,
Widziałem, jak szły, dumne, pod zamku sklepienie.
I przechodząc mówiła smętna dusz gromada:
— Jasno czy ciemnowłosa ciżba nasza blada,
Pomarłyśmy, lecz żyje Laura z Awinionu,
Bo miłość uchroniła imię jej od zgonu! —
Alix hrabina de Die rzecze: — Dotąd jeszcze
W mogile — snu miłości przejmują mnie dreszcze. —
Blancheflora de Flassan: — Tam na ziemi błoniach
Słodko jest słuchać ptaków śpiewania, gdy w woniach,
Zielony Maj nadchodzi! — A mnich z Isclod'orów
Prawi: — Życie to jeno błahy sen pozorów. —
Piotr Vidal rzekł: — Że jest coś milszego na świecie
Nad Prowancyę, że niczem — jest miłości kwiecie,
O bracia Południowcy — niech kto inny prawi! —
Wszyscy: — Pamiętaj o nas! Bóg cię błogosławi. —

Potem wszystko się we mgle niby sen rozpłynie —
I powoli ze zmrokiem zszedłem ku dolinie.

PRZEŁ. Antoni Lange. Fryderyk Mistral.



Sandro Botticelli: Z rysunków do BOSKIEJ KOMEDYI (Raj, pieśń 13).

Dęby.



Okropne to były czasy, kiedy dęby, stare jak dzieje narodu, miane za bogów ongi, waliły się z łomotem przeraźliwym. Mocarze wiekowi puszczy, wysoko dzierżąc głowy, żyli dostojnie, wspaniale.

Wdzięk potęgi i sławy bił od nich łuną jasną. Teraz, wyzuci z życia, legli nizko. Pokonali setne lata i zginęli. — Dęby są jeszcze dziś na świecie, ale nie takie.

Czasy to były okropne! Ziemia drżała od ich upadu, który echami gromu huczał daleko po boru i leciał w podniebia, jakby pragnąc nakłonić słońce do baczności. — Razy pierwsze uderzały nadaremnie: topór spotykał twardziel dębową i odskakiwał.

Śmiało rzec można: żelazo biło o żelazo. —

Las odpowiadał na każdy zamach jękiem, skargą żałośliwą:

— Wrogi chcą zwojować zakon święty naszego żywota.

Zwyczajnie, ktoś musi opłakać zgon na tym padole płaczu.

Siekiera ostra cięła, zrobiła szczerbę, wpijała się coraz głębiej, otwierała żyły przebogate w soki życia, docierała do serca.

Bór teraz już szlochał, łkał, stękał echami głuchemi. Okrzyki rozpaczy bezsilnej dawały się wyraźnie słyszeć:

— Giniemy!

A słońce letnie, jakby rade klęsce, rzucało z niebios uśmiechy pogody jasnej.

— Rzecz dziwna, wszechświat nie współczuje z naszą niedolą!

Cios ostatni przyszedł, dzielnie ugodził i zwalił z nóg olbrzyma władnego, chlubę puszczy. Upad straszny!..

Trzask wrzał przez chwilę naokoło. I trzask przeraźliwy, i zamęt niezmierny, i huk nadzwyczajny, idący zkądś od trzewiów ziemi, od wnętrza gniazda korzeni dębowych.

— Jakto, nawet i wielgo-dęby upadają?

— Upadają, a ziemia trwa, stoi na miejscu! Po dziejach starych nowe idą, a jedne i drugie giną dla pamięci w otchłaniach wieczności.

Trwoga blada na skrzydłach pierzchliwych pomknęła w knieje najgłębsze, zwiastując klęskę życia. Jeleń i odyniec, rażone strachem, gnały pośpiesznie przez puszcze w susach ogromnych. Lis i borsuk zaszyły się w nory. Ptastwo spłoszone zaniechało pieni i pierzchało na wszystkie strony. Motyle sfrunęły z jednych kwiatów na inne. Nawet ślimaki skurczyły się w skorupach. Mrówki drgnęły. Lęk ogarnął całą rzeczpospolitą żywych, o ile kto mniemał, że i jego zdrowie wisi na łyczku. —

Cisza! Dąb już upadł, leży potężny z konarami zdruzgotanemi, świeci rana, przez którą dech życia uchodzi. Jeszcze tak niedawno bystrzył się w górę, spoglądał w niebo, dzielny szumiał pięknie. Teraz leży i kona w milczeniu. —

Boli nas żywych, przeraża widok sędziwego ojca rodów, co przetrwał dziesięćkroć wieki. Legł dzisiaj i już nie powstanie nigdy. On, król boru, przejrzeniec i powołaniec, burzom dawał bitwy, a zginął! Ha, przecież tylko wielcy giną! Malec marny ciągle jest w zaniku, zbliżonym do niebytu. —

Ta myśl nas nie pocieszy, że na świecie nic nie trwa wiecznie, albo — że w przyrodzie wszystko się zmienia, a nic nie ginie. Kto kocha, ten nie słucha nauk z księgi mądrości.

Pokolenie wielkie dębów przepadło na ziemi, uszło

z życia, niby pył drobny porwany wichrem. Gniazdo ich rodu sławnego zmarniało, puszcza-dąbrowa zielona, setki mil długa i szeroka, zniknęła.

— Wieczny odpoczynek!

Wygrzebano z ziemi resztki nieboszczyków przemożnych, strawiono je ogniem.

Dzisiaj łany zbożowe wesoło szumią tu, gdzie czasu onego wielgo-dęby szumiały.

Albowiem te wieki nastały, które wznoszą ołtarz bóstwu użyteczności.

Skowronki wątłe wzlatują nad niwą, wyczynioną z zapustu, gdzie za czasów dawnych orły i sokoły bujały. — Świat zmalał i w swej małości znajduje wdzięki.

Tysiące panów wielmożnych, bohaterów przesławnych żyły niegdyś na świecie.

Dzisiaj lud, miliony chłopstwa czarnego, grzebie w ziemi jak robacy, modli się, wije wieńce sławy nowej. — Pokora, praca cicha na chleb powszedni, ożywiają świat teraźniejszy. — Tamci składali bogini-ziemi objaty z krwi własnej, ci ją czczą i użyźniają trójpotem. — Śmierć stoi na miedzy obu światów i kojarzy przeszłość świetną z przyszłością nieznaną, równa pana z chamem. —

Pełni żalu, tęsknoty, wołamy do grobów głuchych i niemych; uśmiechamy się do kolebki życia z wiarą i nadzieją. Ale uczucia nasze ścigają marę nieobleczoną w ciało rzeczywistości. Bo przyszłość nie będzie taka, o jakiej marzymy; przeszłość była już raz chwilą bieżącą i nie zadowoliła nikogo z żyjących.

Jeden dąb ocalał, pan rodowity, hetman koronny.

Z postaci, z cery, z szat jego blask dziejowy bije. Cóż, kiedy ten świadek wydarzeń wielowiekowych musi słuchać tylko jęków dzwonu pogrzebowego, upajać się dźwiękami pieśni o sławie minionej. Piastun podań rodowych odwiecznych, czciciel bóstw zapomnianych w świecie, marząc, wpatrzył się w kwiaty barwne i wonne na mogiłach bratnich. Niczem mu czas bieżący, niczem przyszłość, która nie zdoła wskrzesić dnia wczorajszego.

Troska o kawałek chleba biega wkoło z niepokojem, cnoty kłamane wychodzą na harce, wyścigi próżności mają pole szerokie do popisów. On przywdział pancerz dumy i milczy. Czasem tylko dziwnie smutno szumi sobie samemu... Spróchniał i moc sroga robactwa toczy go wewnątrz. Jakże strasznie być prawnukiem nieśmiertelnie sławnych, a czuć w łonie swojem próchno nicości!..

Życie małe, zgiełkliwe drobnoustrojów pulchnieje, tuczy się, przerabia na swą krew zgniliznę wielkiego. Hołota karlików roi się, mnoży z każdą chwilą i w zapobiegliwości skrzętnej wykrzykuje:

— Przyszłość jest nasza!

Synowie i synowie synów wyrośli w cieniu ojca wielgo-dęba starożytnego.

Los nieodwołalnie skazuje ich wszystkich na zagładę, choć są młodzi wiekiem.

— Dźwigacie na barkach brzemię życia przodków wielkich, a wielcy muszą zginąć! Więc ojczycowie i dziedzicowie dąbrowy znikłej wyglądają tak obco w tym świecie nowożytnym, jak gdyby byli cieniami

rodzaju, który już skonał na ziemi. Nuża życia nieluta odsedniła piętna liczne na ich postaciach starożytnych. Ziemia nie chce, czy nie może ich wyżywić i schną u szczytów. Suchoty choroby z wielkości skazują najprzód głowę na zanik. Wiosna uśmiecha się weselem do wszechżycia, a oni marnieją z głodu. Dęby łkają i płaczą na wiosnę. Połowa ich soków odżywczych obraca się w łzy, w cierpienie. A nikt na świecie nie ma współczucia dla tej niedoli. Oj duszno jest olbrzymom wzrastać na niwce wązkiej, nie mieć pod sobą przestrzeni rozległej, niezbędnej dla krzewienia się rodów wielkich! Tłumy głodomorków wyniosły do godności cnoty poprzestawanie na małem, skromność w zaspokajaniu potrzeb. Spoglądają zawistnie na pragnienie namiętne szerokiego używania i mienią je być grzechem.

Kiedy noc nastaje i gwiazdy przechodzą widzialnie w swych biegach po niebie, drużyna pokrewna dębów rozbitków zwierza się szumem uroczystym i zanosi błaganie:

— Żali się gwiazda jaka nie znajdzie, coby udzieliła siły nam niemocnym?..—Niebiosa milczą na to wezwanie dumnych a słabych, przejętych smutkiem i tęsknicą. Cóż im bowiem odpowiedzieć? Może wytykać błędy stare, wypominać grzechy życia z goryczą serca, któremu współczucie i szlachetność są obce?

— Byliście, dzielni, potężni, sławni, dopóki was bogate soki ziemi okarmiały, — dopóki jeden wasz zjadał strawę miliona niebożaków. Przecież ziemia nikomu z pod stóp się nie usuwa i trzeba stać na niej nogą

silną, aby mieć śmiałość wołania do niebios o pomoc. Oto gwiazdy migocą oczyma złośliwemi, nielitościwie drwią z was, przyrosłych jedynie klocami ciał do matki ziemi! I wy, tacy bezziemni, chcecie posiąść tutaj panowanie? Nie, ziemia zamyka przed wami bogactwa swego łona! Lećcie do nieba, które się naoścież otwiera dla duchów niespojonych wiecznie z swoją ojczyzną ziemską! Dlaczego, samoluby, pogardzacie dniem dzisiejszym, chociaż jaje przyszłości w nim się zalęgło i już drga życiem?

Ha, wam nie lubuje kolej rzeczy nieuchronna, bierzecie to za niespodziankę dziejową! Wiedzcież, że sława, chluba czasów przeszłych, należy wyłącznie do umarłych ziemi, — żyje tylko w bajce podania, w pieśni! Chwała już zwiędła i hymny na cześć jej, by najpiękniejsze, nie zdołają wywołać z grobów życia czynów przebrzmiałych! Mech skromny, który czerpie siły wzrostu z opoki twardej, ma dla chwili życia bieżącego wartość wyższą, niż dzieła uśpione w mogiłach na wieki wieków. Przodkowie wasi wznieśli się niebotycznie, tak wysoko, że prawo ziemi nie pozwala wzrastać wyżej. Choroba straszna wielkości przeszłej pozostała dla was w dziedzictwie i musicie na nią umierać. Pieśni cudne wieszczów rozpieszczają wasze ucho słowy przesadnemi; a pod stopami macie otchłań czarną grobu, co dyszy chciwością, aby was pożreć. Rzeczywistość spokojnie rozsądna natrząsa się z takich bohaterów i obraca was w śmieszność. Życie nowe mknie naprzód, z obojętnością lodową wywraca ołtarze stare i każdem swojem drgnieniem zadaje wam cios śmier-

telny. Gińcie, marzyciele próżni i próżniaczy, pasorzyty ziemi! — —

Niebo wspaniałe nie może tak przemawiać do dębów. Ono z wysoka patrzy i spraw wieczności nie poświęca dla chwili żądnej chleba. Tylko czerń z padołów ziemskich, tłum chwastów, traw i zielska jest zdolny im urągać. Jakaś pokrzywa, rosnąca w cieniu na poziomach, nie słyszy przecież dźwięków pieśni u szczytów korony dębowej. Marna, nie widzi nigdy niebios w pełni blasku, ni ogląda wdzięku, którym skronie dębu pałają na widok słońca!..

Życie kurczy się dzisiaj, maleje, i po upływie wieków nikt już nie zdoła nawet pojąć, że takie dęby żyły kiedyś na świecie. Podanie prastare stanie się może baśnią o dziwolągach dziwacznych, a pieśń sławy z przed dwudziestu wieków nie obudzi zapału w niczyjem sercu. — O nie, nie!..

Tymczasem ostatni z rodu królów stoją dumni, zakochani w życiu starożytnem. Nie zniżą się, nie nagną, nie zamienią w karłów pracy nowej. Łatwiej jest żyć marnie, niż umierać godnie!.. A tu wykrzykują: — „Przyszłość, przyszłość! Wczoraj już zaszło, a jutro świta!“ — I cóż wiecie o przyszłości? Jak możecie kochać zagadkę, której jednego słowa nikt nie zdoła odczytać? Patrzcie, czas uskrzydlony wartko mknie nad głowami dębów starych, pędzi w wieczność po trupach, jak po moście, a nie śmie im rzucić w oczy: — „Umrzecie na wieki!“ Bo widzi z wieku na wiek ich postaci olbrzymie, słyszy szum koron, który razem z nim leci w morze nieskończoności i prze-

mienia się w wieczność. Kto przeżył wieki, ten ma dzieje swoje; a dzieje przedłużają nić życia w dale innych wieków, i przez to istota śmiertelna staje się bogom podobna. Dwa są rodzaje sławy na nizinach ziemskich: rycerska za chrobrość żywota, kupiecka za użyteczność. Pierwsza jest z ducha, z sił jego wiekuistych — z myśli wielkiej, pragnień nieskończonych, uczuć nieprzebranych. Ona jest ogniem twórczym świata, nasieniem wszelkiej wielkości przyszłej, duszą, która odbywa wcielenia nieśmiertelne w życie doczesne. Rodzi się w natchnieniu, dokonywa cudów i uchodzi z padołów pod gwiazdy, zkąd w dźwiękach pieśni zsyła ziemi wiarę, nadzieję i miłość — śpiewa. — Brzęk złota zwiastuje drugą, poczętą i narodzoną w małżeństwie samolubstwa z pychą, próżności z obłudą, chciwości z bezwstydem.

(UŁOMEK Z NIEUKOŃCZONEGO POEMATU.)

Adolf Dygasiński.

Dziecko z wosku.

(AR BUGEL KOAR. *)

Gdyby byli mieszkańcy Treguieru
Zamykali drzwi swego kościoła,
Nie ochrzczono-by w nim dziecka z wosku,
Nie ochrzczono przy świetle księżyca.

Dnia pewnego pytała piastunka,
Tak pytała pana z Penfeunteun:
— Powiedzcie proszę,
Zkąd powracacie? —

---

*) *Luzel F. M.*, Gwerziou Breiz-Izel (Pieśni ludowe dolnej Bretanii.) Lorient 1868/74. T. I. str. 142. (Według przekładu francuskiego.)

— Powracam z wielkiej ulicy,
Kupiłem suknię z modrego atłasu,
Haftowaną srebrnemi sznurami,
Dla mej jedynaczki, dla mej lubej córy. —
— Gdybyście wiedzieli co mnie jest wiadome,
Nigdy-by ona tej sukni nie kładła,
Nigdy!..
I nie widziały-by jej wasze oczy.
Wasza jedynaczka lepi dziecię z wosku,
Żeby was wyprawić na tamten świat z ziemi,
Lepi dziecko z wosku,
Żeby was wyprawić czemprędzej na cmentarz.
Dziewięć je miesięcy nosiła przy sobie,
Dziewięć je miesięcy nosiła na ciele. —

Kiedy stary ojciec usłyszał te słowa,
Czemprędzej biegł do domu:
— Moja córko, daj mi wszystkie klucze,
Niechaj się zawstydzą ludzkie złe języki. —

Jedynaczka na te słowa
Trzy razy padła na ziemię.
Macocha jej wstać pomogła
I tak powiadała do niej:
— Oddaj ojcu wszystkie klucze,
Niechaj się zawstydzą ludzkie złe języki. —
— Klucz od szafy mi zaginął,
Klucz od skrzyni się połamał;
Klucz od skrzyni się połamał,
Innego nie mam klucza. —

Pan z Penfeunteun, mocno rozgniewany,
Chwycił za topór.

Rozbił skrzynię na sztuki,
Wewnątrz było dziecko z wosku skryte.

Było obwinięte w szmatki,
Przy niem w kiesce sto talarów
Dla świętokradzkiego księdza,
Co ochrzcił woskowe dziecię.

Trzy razy na dzień je myła,
Trzykroć kłuła szpileczkami.
Gdy w nie wbiła szpilkę małą,
Ojciec czuł ukłucie w boku.
Gdy w nie wbiła szpilkę dużą,
Ojciec w sercu czuł ukłucie.
A gdy je nad ogniem grzała,
Ojciec chudł i spadał z ciała...

I powiadał pan z Penfeunteun
Do swej córki niezadługo:
— W niedzielę po wielkiej mszy,
O córko, masz być spalona. —
— Wiem ojcze, będę spalona;
Sama na się drew naniosę.
— Nie, nie będziesz ty drew niosła,
Powiozą ciebie na wozie. —

Dziecię z wosku, jedynaczka,
Kum i kuma razem z niemi,
Wszyscy zostali spaleni
W obliczu wielkiego ludu.

Młody ksiądz został wyklęty,
Głowę jemu odrąbano.
Stary pan z Penfeunteun płakał,
Szarpał z bólu siwe włosy,
Widząc jak mu córka gore,
Jak gorze córka jedyna.

PRZEŁOZYŁ Edward Porębowicz.

Z psychologii sztuki.

Z bogatego skarbca aforyzmów Nietzschego podajemy cały szereg uwag dotyczących sztuki i twórczości, podajemy oczywiście nie jako katechizm dogmatów i wierzeń dla „współwyznawców,“ czy „towarzyszy,“ nie jako armatę wytoczoną na szaniec, nie jako taran do rozbijania czyichkolwiek zapatrywań i przesądów, lecz jedynie i wyłącznie jako „nuty do myślenia“ dla tych, którzy samodzielnie i dla swego użytku te rzeczy przemyśleć pragną. Dla łakomego samouczka, umiejącego tylko chciwie przyswajać sobie cudze poglądy, znajdzie się tu mało obroku, pedantyczny archiwista ludzkiego ducha, żądający od myśliciela przedewszystkiem systemu, a od jego zapatrywań na sprawy życia i ducha — próby i probierzu tego systemu odejdzie od Nietzschego zawsze rozczarowany. Tem więcej znajdą u niego ci, którzy w książce i cudnych myślach szukają zapłodnienia własnych, chociażby w kierunku najgorętszej opozycyi przeciw swym rodzicielom, którzy znają rozkosz i ból tych wewnętrznych cichych waśni z samym sobą, których nie przeraża nawet paradoks, nawet sprzeczność pozorna czy głębsza, jeśli one niosą w zamian świeży zasiew nowych myśli i nowe rozszerzenie widnokręgów. Pogląd na świat, rzetelnie w sobie przepracowany, przesycony niejednym zawodem i bankructwem ducha, niejedną rozterką i bó-

lem serdecznym, a podtrzymywany zawsze prawdziwym głodem wewnętrznej harmonii, — taki pogląd zdobywa się niełatwo. Kto wie, czy dziś, bardziej niż kiedykolwiek, nie jest on tylko tęsknotą, która, do celu nie wiodąc, pozwala zaledwie, kiedy niekiedy odpocząć znużonemu w cieniu i chłodzie jakiejś wielkiej myśli cudzego geniuszu, co jak ciężka chmura nad nim stanie i, choć piorunami grozi, ożywczego deszczu nie da.

Na jednego z takich wielkich wędrowników i tułaczy samotnych po krętych i ciemnych ścieżkach ludzkiego ducha, na zwiastuna najciemniejszej zmory przyszłości: bezwzględnego nihilizmu wszystkich „lepszych“ jednostek; na tego *chorego* człowieka, który tak znienawidził niedołęztwo cierpienia, nieunikniony fałsz i beznadziejną obłudę wszelkiej słabości, wszelkiej miernoty i przeciętności życia, — a tak gorąco, tak namiętnie ukochał wszystko, co jeszcze świeże i niezakłamane, jeszcze zdrowe i bujne, jeszcze dumne i przyszłości pełne;— na tego marzyciela, któremu się zdawało, że „Zarathustrą“ odrodzi wyschłe, nihilistyczne dusze dzisiejszych „lepszych,“ że im niesie mojżeszowe tablice nowego zakonu, zakonu twardego czynu i weselnego tryumfu życia; — na tego poetę, w którego tańcu nawet dyjonizejskim „pęknięcie serca znać;“ — na najgłębszego ze wszystkich „dekadentów,“ — na *Fryderyka Nietzschego* spogląda przeciętny polski samouczek wciąż jeszcze poprzez kurz dziennikarskich rozprawek i poprzez groteskowe cienie najmizerniejszych jego karykatur.

Nie mamy najmniejszego powodu prostować tych sądów, chociażby dla tego, że w tych wszystkich miejscowych admiracyach czy przezwyciężeniach nietzscheanizmu Fryderyk Nietzsche (zarówno duchem, jak i treścią swej nauki) jest całkowicie nieobecny, jako ktoś, co na wezwanie stawić się nie raczył... Nie raczył zaś prawdopodobnie dla tego, że za życia miał dostateczną sposobność do badań nad tem, co jest myślowo rzetelnem i intelektualnie schludnem, wewnętrznie godnem i prawem, a co jest tylko sprytnem... (Pomijamy tu kilka dawniejszych studyów o Nietzschem, bądź co bądź szczerych i poważnych, ale, według nas, niewystarczających, za mało dopuszczających do słowa samego autora, niezawsze szczęśliwych w psychologii indywiduum, a niemal zawsze omotanych nie tą, to inną doktryną.)

Załączone poniżej ustępy zmierzają przedewszystkiem do innego celu, niźli pogłębienie wizerunku ich twórcy, wszakże z drukowanemi w Chimerze „Duszą dostojną“ oraz fragmentami z „Zarathustry“ dać mogą jaki taki obraz filozofa i poety... Obecnie podajemy — nie fragmenty estetycznego systemu (Nietzsche „systemu“ nie

stworzył), nie zarysy filozofii piękna (w tych rzeczach jest Nietzsche najmniej zadowalającym), lecz uwagi psychologa o sztuce i twórczości, uwagi co do następstwa swego luźne, w formie zwarte, aforyzmowe, pozostawiające tyleż miejsca do uwag wtórnych, do konieczności samodzielnego rozwinięcia nieraz tylko szkicowo zanotowanych myśli, ile do najgorętszej opozycyi. Tłómaczowi narzuciło się tu i ówdzie kilka pytań raczej i ubocznych dopisków, niżli komentarzy; niezawsze można je było stłumić, niewszędzie chciało się je skreślać. Tłómacz, który nie potrafi być bezosobowym, zasługuje może na wszelaką naganę, ale w danym wypadku najmniej chyba za to wtrącanie swoich „trzech groszy“ do oryginału: wszak tego rodzaju korność w stosunku do cudzych myśli uniemożliwiałaby każde krytyczne studyum o wybitniejszych objawach ludzkiego ducha. Zamierzenia tych dopisków są znacznie skromniejsze: pragną one wywieść czytelnika poza bierność, czyniącą zeń jałowe pole, na którem żadna myśl nie zakiełkuje i nigdy nic nie wyda.

Wszystko to, czemu instynkt nasz opiera się estetycznie, ustaliły długowieczne doświadczenia ludzkie, jako rzeczy szkodliwe, niebezpieczne, godne nieufności: gwałtownie przemawiający instynkt estetyczny (jak wstręt, np.) zawiera w sobie już pewien sąd. Tym sposobem tkwi poniekąd piękno w ogólnej kategoryi biologicznych wartości pożytku, wpływów dobroczynnych i potęgujących życie: w tem wszakże znaczeniu, że pewna ilość podniet przypominających lub zahaczających bodaj zdala o rzeczy i stany pożądane wzbudza w nas uczucie „piękna,“ t. j., daje wzmożone poczucie siły. (A więc nietylko rzeczy, lecz i uczucia im towarzyszące, lub ich symbole.)

Tem samem uznajemy piękno i brzydotę za objawy

runkowane, mianowicie stosunkiem do naszych najniższych wartości samozachowawczych. Chcieć budować poza tem pojęcia zasadniczego piękna i brzydoty byłoby bezmyślnem. Piękno oderwane nie egzystuje podobnie jak „dobro“ i „prawda.“ W szczególności idzie tu o warunki samozachowawcze bardzo określonego gatunku człowieka: tak np., człowiek trzody będzie przy zgoła innych rzeczach doświadczał wartościowego uczucia piękna niźli człowiek wyjątkowy. Tak więc, wartości piękna (podobnie jak dobra i prawdy) stwarza „optyka przedniego planu,“ licząca się jedynie z najbliższemi skutkami.

Wszystkie sądy instynktu są krótkowzroczne w stosunku do łańcucha przyczyn; doradzają one tylko, co na razie i przedewszystkiem czynić należy. Rozum jest w istocie swej przyrządem powściągającym natychmiastową reakcyę: wstrzymuje, rozważa, ogarnia łańcuch przyczyn dalej i dłużej.

Oceny piękna i brzydoty są krótkowzroczne *) (mają zawsze rozum przeciwko sobie); lecz jednocześnie w wysokim stopniu przemawiają za sobą, apelując do naszych instynktów, t. j., tam, gdzie nasze „tak“ lub „nie“ pada najszybciej, zanim rozum zdoła przyjść do słowa. Pospolite przytakiwania pięknu budzą i podniecają się wzajemnie: gdy popęd estetyczny staje się czynnym, krystalizuje się wokół pojedyńczego piękna całe mnóstwo innych i zkądinąd pochodzących doskonałości. Przedmiotowym pozostać tu niepodobna, jak nie sposób wykluczyć tej poetyzującej

---

*) Czy nie należałoby tu raczej powiedzieć: pierwsze i bezpośrednie odczucia piękna, „przytakiwania pięknu,“ jak chce dalej Nietzsche? Ocenę uprzedza złożona czynność rozumowa, która może w znacznej mierze oddalić nas od pierwszego wyroku instynktu. Poprzednio zaznaczyliśmy, że w ogólnej filozofii piękna jest Nietzsche najmniej zadowalającym: czy takie pojęcia jak „piękno zasadnicze“ i „zasada piękna,“ odczucie (przytakiwanie pięknu), sąd i ocena nie domagałyby się ścisłych rozgraniczeń? *(Przyp. tłom.)*.

siły, co swoje wykładniki dołącza i niemi rzecz uzupełnia. (Siła ta jest w rzeczywistości niczem innem, jak sprzężeniem całego szeregu wartościowych ocen piękna.) — Przykład: widok pięknej kobiety...

Tak więc:

1) oceny piękna są krótkowzroczne, ogarniające jedynie najbliższe skutki;

2) przedmiot, który je wywołał, osłaniają czarem, uwarunkowanym asocyacyą różnorodnych ocen piękna, — czarem, który istocie danego przedmiotu jest całkowicie obcym. Rzecz jakąś odczuwać, jako piękną, znaczy z konieczności odczuwać ją fałszywie. — (Dlatego też, mówiąc nawiasowo, małżeństwa z miłości są społecznie najnierozsądniejszym rodzajem małżeństw.)

Sztuka działa jako sugestya na mięśnie i zmysły, czynne pierwotnie u naiwnie artystycznego człowieka: przemawia ona zawsze tylko do artystów, zwraca się wyłącznie do tego gatunku ludzi o subtelnej ruchliwości ciała. Pojęcie „laik“ jest w rzeczach sztuki pojęciem chybionem... Głusi nie stanowią, oczywiście, żadnej odmiany dobrze słyszących.

Sztuka działa pobudliwie (tonicznie), wzmaga siłę, zapala ochotę (t. j., poczucie siły), podnieca najsubtelniejsze wspomnienia doznanych upojeń. Jest jakby odrębna pamięć sięgająca wówczas w głąb' po wspomnienia tych stanów, po daleki i lotny świat na poły zapomnianych wrażeń.

Brzydota jako zaprzeczenie sztuki, jako wszystko, co jest wykluczonem z jej dziedziny, jako jej: „Nie!“: — ilekroć

potrąconem bywa chociażby zdaleka zubożenie życia, zanik, niemoc, jałowy zastój i stęchlizna bezwładu, — na to wszystko reaguje człowiek estetyczny swem: „nie!“ Brzydota działa przygnębiająco, jest wyrazem przygnębienia; odbiera siłę, zubaża, dławi. Brzydota sugeruje brzydotę; można to sprawdzić na stanach swego zdrowia: złe poczucie fizyczne wzmaga wyobraźnię w kierunku brzydoty. Myśl czyni wtedy odmienny wybór przedmiotów i zainteresowań. W dziedzinie logiki jest stan blizko spokrewniony z brzydotą: — ociężałość, tępota. Nasuwają się tu i mechaniczne skojarzenia: brzydocie brak wagi, brzydota chroma, brzydota utyka... Biegunowe przeciwieństwo z boską taneczną lekkością...

Stan estetyczny posiada nadmiar środków dla udzielania się, a zarazem krańcową wrażliwość na wszelkiego rodzaju podniety i znaki. Jest on szczytem udzielania się i porozumiewania między ludźmi, źródłem mowy wreszcie. Gdyż wszelka mowa tu się poczyna: zarówno mowa dźwiękowa, jak i mowa gestów oraz spojrzeń. Zjawisko pełniejsze i całkowitsze jest zawsze początkiem: nasze właściwości są wysubtelnione z właściwości pełniejszych. Wszak dziś jeszcze słucha się mięśniami, ba! nieraz czyta się nawet mięśniami.

Każda dojrzała sztuka posiada mnóstwo konwencyj, jako podłoże, — przynajmniej wówczas, gdy jest mową. Konwencya nie jest bynajmniej utrudnieniem, ona jest raczej warunkiem wielkiej sztuki... Każde spotęgowanie życia potęguje zarazem spółudzielającą siłę w człowieku, zarówno jak i moc jego pojętności. Wżywanie się w cudze dusze nie jest początkowo niczem moralnem: „sympatya“ lub to, co zwiemy „altruizmem“, są to tylko wytwory tego psycho-motorycznego spółudzielania, zaliczanego do duchowości (*induction psycho-motrice* według Ch. Féré). — Myśli nie udzielają się nigdy bezpośrednio, tylko ruchy

i mimiczne znaki; odczytujemy je wstecz ku myślom, jakie je wywołały.

Cały szereg stanów fizyologicznych, osądzonych pospolicie jako objawy chorobliwe, uważam przeciwnie jako znamiona pełnego i kwitnącego życia. Tymczasem oduczono się jednak mówić o zdrowiu i chorobie jako o przeciwieństwach: rozróżniamy dziś tylko stopniowania zdrowia czy choroby. Co dziś zwie się „zdrowiem,“ przedstawia dla mnie znacznie niższy poziom tego, co wśród korzystniejszych warunków byłoby zdrowem: — jesteśmy dziś wszyscy względnie chorzy... — Artysta należy do silniejszej rasy: co dla nas jest już szkodliwem, co u nas byłoby już chorobą, jest u niego naturą. Przewidujemy łatwy zarzut, że właśnie zubożenie ludzkiej maszyny usposabia do wybujałej wprost zależności od wszelkiego rodzaju sugestyi, jak świadczą o tem nasze histeryczne kobietki.

Jednakże *nadmiar* sił i soków życiowych może tak samo powodować objawy częściowej zależności od halucynacyj zmysłowych i sugestywnego wyrafinowania, jak to czyni zwężenie życia i zubożenie cielesnej natury: podnieta jest tu i tam czem innem uwarunkowana, działanie jest jednakie. Lecz przedewszystkiem *skutek ostateczny* nie jest w obu wypadkach ten sam: całkowity opad wszystkich mdłych natur po ich ekscentrycznościach nerwowych nie ma nic wspólnego ze stanami artysty, który swoich dobrych czasów bynajmniej odpokutowywać nie potrzebuje.

Jest on dość bogatym na to, aby módz być rozrzutnym, nie zubażając samego siebie...

Podobnie jak się dziś tłómaczy „geniusza,“ należałoby może artystyczną siłę sugestywną uważać wogóle za pewną formę newrozy, — nasi artyści są w rzeczywistości zbyt nieraz spokrewnieni z histerycznemi kobietkami!! — Mówi to jednak przeciwko „dziś,“ nie zaś przeciw: „artyście“...

Probierzem stanów wręcz nieartystycznych jest: *przedmiotowość*, zwierciadlana ścisłość w stosunku do życia i jego objawów, bierne zawieszenie woli... (Skandaliczne nieporozumienie Schopenhauera, który uważa sztukę za most ku negacyi życia!) Całkowitem zaprzeczeniem sztuki są wreszcie stany ubożejących i zubożałych w zastoju, opadających i odpadłych od życia: zgoła tych wszystkich, pod których wejrzeniem samo życie cierpi.

Stan podniecenia odpowiadający rzeczywistemu *nadmiarowi sił* uwidocznia się najwymowniej w porze tokowania: nowe organy, nowe zdolności, nowe barwy i kształty... Upiększanie jest skutkiem wzmożonej siły, wyrazem zwycięzkiej woli, spotęgowanej zdolności kojarzeń, harmonizowania wszystkich silniejszych pożądań,—jest niechybnie pionowym opadem ciężaru... Logiczne i geometryczne upraszczanie jest skutkiem nagromadzonej siły; i na odwrót, postrzeganie tych uproszczeń budzi i rozszerza poczucie siły. Na szczycie tego rozwoju: wielki styl!

Brzydota znamionuje dekadencyę pewnego typu. Sprzeczności i niedostateczna koordynacya wewnętrznych pożądań wskazuje na brak organizującej siły, mówiąc psychologicznie: „woli.“

Stan ochoty, zwany podnieceniem, jest w wysokim stopniu poczuciem mocy. Zmieniają się wewnętrzne miary czasu i przestrzeni: niezmierne dale bywają wówczas ogarniane i jakby wtedy dopiero uświadamiane; wzrok obejmuje olbrzymie masy i wielkie odległości; następuje wysubtelnienie specyalnego jakby organu dla postrzegania rzeczy i objawów drobnych, a lotnych; potęguje się dywinacya, siła pojętności wobec najlżejszej pomocy, czy podniety z zewnątrz, wobec każdej sugestyi: — jednem słowem zmysłowość „inteligentna.“ Wzbudzona siła przemawia poczuciem władzy w mięśniach, zwinnością, ochotą do ruchu, do tańca, jako lekkość i *presto*; — wreszcie ochotą dowiedzenia siły: jako brawura, awanturniczość, nieustraszoność, dumna obojętność na śmierć czy życie... Wszystkie te szczytowe momenty życia budzą i podniecają się wzajemnie; świat obrazów i wyobrażeń z jednego wystarczy dla wywołania sugestyi drugiego. W ten sposób wrastają w siebie stany, które zkądinąd miałyby poważne powody do unikania wszelkiego spokrewnienia. Naprzykład: ekstaza pobożna i podniecenie płciowe (dwa głębokie stany uczuciowe niejednokrotnie wprost zdumiewająco skojarzone); — okrucieństwo w tragedyi i współczucie (również normalnie skojarzone); wreszcie te uczucia, jakiemi darzy wiosna, taniec, muzyka w czas zalotów, — i owa faustowska „nieskończoność w łonie“...

Artyści, o ile są coś warci, mają i w cielesnem znaczeniu świetne zadatki, jest to zarazem tęgie zwierzę, wybujałe i zmysłowe; — bez pewnej nadwyżki w systemie płciowym trudno wyobrazić sobie nawet Rafaela... Tworzenie muzyki jest również pewnego rodzaju płodzeniem dzie-

ci; powściągliwość pod tym względem jest ekonomią artysty. Bądź co bądź, twórczość ducha kończy się tam, gdzie się zaczyna płodność ciała... Artysta nie powinien rzeczy widzieć, jakiemi one są, lecz pełniej, lecz prościej, lecz silniej! Ku temu zaś powinien mu towarzyszyć w życiu pewien rodzaj nałogowego jakby podniecenia, nieustannej młodości, wiecznej wiosny.

Stany warunkujące artystę są bądź co bądź wyjątkowe, z objawami przytem chorobliwemi tak głęboko spowinowacone i zrosłe, że z drugiej strony wydaje się niepodobieństwem być artystą i nie być chorym.

Fizyologiczne stany wyhodowane u artysty niemal do osobowości:

1) *Podniecenie:* spotęgowane poczucie mocy; potrzeba czynienia z rzeczy refleksu własnej pełni i doskonałości.

2) *Nadmierna ostrość* niektórych zmysłów, które są w stanie rozumieć całkowicie odrębną „mowę znaków“ i tworzyć ją dla siebie, (tę samą, która zda się być nieodłączną od niektórych chorób nerwowych); — nadmierna potrzeba udzielania się: chęć wypowiedzenia tego wszystkiego, co umie dawać „znaki“, potrzeba jakby wyzbycia się samego siebie przy pomocy ruchów i gestów, zdolność mówienia o sobie tysiącznemi środkami mowy: stan *wybuchowy.* Stan ten należy sobie wyobrażać jako mus i ślepe parcie do wyzbycia się egzuberancyi wewnętrznego napięcia za pomocą wszelkiego rodzaju pracy mięśniowej i ruchliwości, następnie jako bezwiedną koor-

dynacyę tych ruchów do wewnętrznych zjawisk (obrazów, myśli, pożądań), jako pewnego rodzaju automatyzm całego systemu mięśniowego pod bodźcem z wewnątrz działających potężnych podniet; wreszcie jako niemożność zaniechania reakcyi (przyrząd wstrzymujący został jakgdyby wykluczony.) — Każdemu ruchowi wewnętrznemu towarzyszą zmiany w napięciu naczyniowem, a więc zmiany w zabarwieniu, w temperaturze, w wydzielaniu... Sugestywna siła muzyki, jej „*suggestion mentale*.“

3) *Mus naśladowczy*.*) Nadmierna pobudliwość, dzięki której każdy dany wzór udziela się zaraźliwie: pewien stan jest według jego „znaków“ w lot odgadnięty i przedstawiany... Obraz wynurzający się w świadomości działa natychmiast jako bodziec ruchu na członki; — pewne wykluczenie woli... (Schopenhauer!!), pewna głuchota i ślepota na zewnątrz: obszar dopuszczanych podniet jest mocno ograniczony...

Artystę odróżnia od „laika“ (człowieka artystycznie *wrażliwego*) przedewszystkiem to, że gdy ten w *udzielaniu* artystycznego wrażenia dosięga najwyższego stopnia pobudliwości, tamten zdobywa go dopiero przy *odbieraniu* tych wrażeń. W ten sposób przeciwieństwo obu uzdolnień jest nietylko zjawiskiem naturalnem, lecz i pożądanem; każdy z tych stanów ma odwrotną optykę: żądać od artysty, aby ćwiczył się w optyce słuchacza (czytelnika), znaczy wymagać od niego, aby zubożył swą siłę twórczą. Zachodzi tu stosunek obojga płci: nie należy od artysty, który daje i zapładnia, wymagać; aby stał się kobietą, która przyjmuje i poczyna.

Nasza estetyka była dotychczas o tyle babią estetyką, że tylko wrażliwi na sztukę formułowali swe doświad-

---

*) Mowa tu o twórczem, a więc ideowem *naśladowaniu* natury, nie zaś o formalnem *naśladownictwie* jej środków. *(Przyp. tłóm.)*

czenia o tem, „co jest piękne.“ W całej filozofii brakuje dotychczas artysty. Jest to, jak widać z powyższego, brak konieczny, gdyż artysta, któryby zaczął siebie rozumieć, wpadłby w nieporozumienie z samym sobą. Nie jego rzeczą jest oglądanie się wstecz po za siebie: on wogóle nie powinien patrzeć lecz dawać. Przynosi to zaszczyt artyście, gdy nie jest zdolnym do krytyki; w przeciwnym razie jest czemś połowicznem, jest „modernistą.“

Ostatnie słowa, wykluczające samokrytycyzm, na którym opiera się nietylko duchowy rozwój, lecz wprost duchowe trwanie, doprowadzają do wniosków zbyt bałamutnych, aby mógły być tu pominięte milczeniem. Artysta, który nie ogląda się poza siebie, ani przedsię nie patrzy, znajdzie się rychło tam, gdzie go mieć pragnie *vox populi*. — Że wspomniana połowiczność nie jest bynajmniej „modernistyczną,“ czyż na to trzeba przytaczać popularne przykłady krytycznych studyów Schillera, wykładów sorbońskich Mickiewicza? Jeśli idzie o analizę własnej twórczości, to chociażby: Poe, tu i ówdzie Dostojewski, wreszcie najgłębszy może psycholog twórczości, wynikającej ztąd wewnętrznej rozterki, oraz rozprzężenia osobowości, taki niemiłosierny analityk swej artystycznej duszy, człowiek tak zgoła nieaktualny i niemodernistyczny, jakim był — Petrarka... Wreszcie po co tu przykłady! W sztuce słowa jednym z najpotężniejszych motorów twórczości jest znajomość ludzkiej duszy, a do tego Sezamu prowadzi tylko stroma i kręta ścieżka samoobserwacyi oraz autoanalizy. Czyżby ona urywać się miała właśnie tam, gdzie się zaczyna najciemniejsza i najgłębsza zagadka? Czyżby duch ludzki miał się zatrzymywać właśnie przed tem tajnem źródłem, z którego sam wytryska i przy którem wiecznie się odmładza?

Porozumiejmy się dobrze! Wszak tu nie może być mowy o świadomem i krytycznem alembikowaniu sztuki w momencie jej tworzenia, gdyż świadomość i krytycyzm *in statu nascendi* jakiegobądź afektu tłumi wprost każde żywsze uderzenie pulsu, wykluczając z góry to pobudzenie, napięcie, podniecenie, które (nietylko według Nietzschego) jest pierwszym i nieodzownym warunkiem wszelkiej sztuki. Tu idzie o analizę dokonywaną *post factum* siłą tych niesłychanie plastycznych wspomnień oraz intuicyjnych odgadnień, jakiemi rozporządza artysta: *o twórcze przedstawienie twórczego sta-*

nu. Jest to *jedyna* ścieżka, po której zbliżyć się można choć trochę do tej tajemnicy. Cokolwiek wiemy o twórczości (a wiemy bardzo niewiele), dowiedzieliśmy się wyłącznie na tej drodze. I jeżeli powyższe fragmenty Nietzschego (mogące pod względem filozoficznym w bardzo wielu miejscach zgoła nie zadowalać i wywoływać najgorętszą opozycyę) jeżeli mają one mimo wszystko tyle przedziwnie głębokich wniknięć w ciemne labirynty twórczości ludzkiego ducha, to dlatego jedynie, że był on twórcą i artystą choć w części uświadomionym.

Sprawy te mogą być w większości wypadków względnie tylko uświadomione, wyłącznie osobnicze, pozbawione wszelkich prób syntezy: mogą być mniej lub więcej jasnem *wyobrażeniem,* jakie ma o sobie artysta.

Jest rzeczą dalszej pracy ludzkiego umysłu stwierdzenie, o ile wspomniane powyżej twórcze przedstawienie twórczości ma wartość ogólną, naukową. I tu dopiero zaczyna się praca filozofa. Jego rzeczą jest dobycie perły intuicyjnej psychologii z mnóstwa przypadkowości artystycznego odtwarzania, wyniesienie jej ponad osobniczość i konkretność, które są niezbędnym żywiołem artysty.

I podobnież: jest rzeczą dalszej pracy ludzkiego umysłu stwierdzenie, o ile te drugie, mniej lub więcej świadome wyobrażenia artysty o sobie są słuszne i ścisłe w stosunku do niego samego. I tu dopiero zaczyna się praca krytyka. Jego rzeczą jest zrozumienie artysty lepiej, niżli on sam siebie rozumieć się zdaje. — —

Nakoniec jedna jeszcze uwaga o charakterze raczej miejscowym. Jest wśród braci artystycznej wielu, z przedziwną apatyą odnoszących się do umysłowej kultury, niebrak i takich, co boją się wprost krytycyzmu i wszelkich pierwiastków intelektualnych, jako stojących na drugim, wrogim twórczości, biegunie. Kwestyonowane tu słowa Nietzschego przychodzą więc w porę dla niejednego, jako niespodziana pomoc filozofii dla rodzimej gnuśności.

Problem artystycznego uświadomienia, samokrytycyzmu, intelektualizmu, jednem słowem, kulturalnego *podłoża* twórczości, sprowadzałby się w najlepszym razie do dwóch krańcowych alternatyw: albo całkowite kulturalne dziewictwo, naiwność słoneczna, z ziemią bezpośrednio zrosła, w jej szepty zasłuchana, na zorze własnej ziemi tylko wrażliwa, naiwność prapastusza: boże ucho i prorocze usta, — albo...

Ale czy możliwą jest dzisiaj bezpośredniość i naiwność taka? w gęstej atmosferze ludzkiej współczesnych stolic? w obcowaniu z „inteligencyą" miejską, gdzie każda panienka i każdy kelner stara-

ją się dawać przedewszystkiem inteligentnie? w dzisiejszych czasach dziennikarstwa? w epoce samokształcenia się — uchem?.. Czy to, co dziś uchodzi za kulturalną dziewiczość, nie jest pospolitem półdziewictwem, truchlejącem na myśl o brzemienności? czy to, co ma dziś walor naiwności słonecznej, nie jest mniej lub więcej jawną, mniej lub więcej sprytną pozą płytkości? Czy szczyt tych wszystkich wartościowań, owo wyrzeczenie „boża iskra" nie zostało beznadziejnie ośmieszone tem właśnie, że dopatrywano się jej nieomal wyłącznie w każdej nieuleczalnej banalności? Czy to co uchodzi za „tej ziemi sól", nie jest mniej lub więcej świadomem dopasowywaniem się do tych haseł (politycznych, społecznych czy artystycznych), które mają na dziś zdawkową wartość swojskości? Czy obowiązująca swojskość nie jest najczęściej mdłym i konwencyonalnym sentymentalizmem? Czy naszych zórz i zmierzchów nie przysłoniła nam już ta gęsta atmosfera ludzka, te dymy i wyziewy stołeczne? Czy wszelka sielankowość nie ma dziś na sobie rozpaczliwego piętna roboty i wysiłku? Czy pastusze naiwności nie pachną dziś gadulstwem pijaka, klekotem gęsi lub cynizmem kuglarza? Czy inteligencya miejska nie uważa za prorocze tych właśnie ust, które z największą namiętnością schlebiają jej „ideałom"?

I, tkwiąc w tej atmosferze, artysta nie powinien oglądać się poza siebie, ani naprzód okiem wybiegać, nie powinien być zdolnym do krytycyzmu, nie powinien zgoła uświadamiać sobie duchowych wartości; winien tylko dawać i dawać, kojarząc niewolnie swą żywiołową twórczość z tem pół-dziewictwem cywilizacyjnem, na jakie (w braku wewnętrznej kultury) skazuje go niechybnie współczesna atmosfera duchowa!

Dziwna rzecz: nasz romantyzm, sięgający wyobraźnią poza najdalsze gwiazdy, ten romantyzm osławiany następnie w obronie jakoby rozumu, dał nam umysły nieustępujące najwybitniejszym głowom ówczesnej Europy, gdy tymczasem, od rozumu poczynający i wyklinający marzycielstwo, konsekwentny nasz realizm dał nam, bądź co bądź, znacznie mniej takich umysłów. Jeśli te czasy odsunęły nas tak bardzo od reszty świata, winny temu oczywiście w znaczniejszej mierze zgoła inne czynniki; charakterystycznem jest wszakże, gdzie oba te pokolenia szukały twórczego odrodzenia narodowego ducha. Wielka generacya Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, Norwidów, Ujejskich w zależności od europejskiej myśli (początkowo nawet pod wpływami obcej twórczości) budowała spiżowe podwaliny naszej w dziejach sztuki odrębności, budowała znacznie głębiej niźli wszelkie etniczne i fol-

klorystyczne, zgoła wszelkie czasowe i cielesne odrębności narodu, bo tam gdzie czuwa bezcielesny geniusz każdej rasy, gdzie jest każdego narodu wieczne bytowanie w duchu. Gdy tymczasem następne pokolenie, bodaj że już z Polem na czele, a z dzisiejszym sielankowym realizmem w ogonie, oscylując ustawicznie koło polskiej wsi wniosło do twórczości najmniej tych właśnie cech „narodowej" odrębności. Tamci z wiru światowych wypadków, z kosmopolitycznych centrów kultury, odbijając we wrażliwych duszach i szerokich umysłach każdą falę europejskiej umysłowości, zapoczątkowali nowożytne dzieje polskiego ducha; dzisiejsi wysyłają anemiczną twórczość miejską — na letnie pomieszkanie.

Nie jest to dowolne zestawienie wielkich ludzi z małymi, czasów bujnego rozkwitu z koniecznym niemal potem zastojem. Niemniejsze piętno od twórczości wyciskają na epokach jej idee kierownicze, oraz te wytyczne dalszego rozwoju, jakie same one z siebie dobyć potrafią.

Gdzieindziej styl np. jest owocem długiej fermentacyi, całych nawarstwień pracy ludzkiego ducha, wynikiem dziejowej ewolucyi, bezwiednem oddziaływaniem idei twórczych jednych sztuk na drugie, powolnem ich przenikaniem we wszystkie pory życia, opanowywaniem powolnem odrębnego ducha i formy, póki na szczycie rozwoju dana kultura nie wyciśnie na wszystkich objawach, jako pieczęci, swego plastycznego znamienia stylu. — U nas szuka się gotowego stylu na wsi... Gdzieindziej poezya rodzi się i odradza na szczytach duchowości, — naszą odmłodzi swoistość i t. p. Wszak to znamionuje kierunek umysłowości? Jeśli nie w głąb' i nie wzwyż: nie w siebie i ku kulturze, to po konkretne, zgruba namacalne pozory odrębności, — po swojskość. Jest więc ona koniecznem logicznem następstwem hasła naiwnej jedynie twórczości, paliatywem na wyschnięcie realistycznej sztuki w murach miejskich, specyfikiem na ten niemożliwy już stan pół-cywilizacyi, pół-oświaty, pół-dziewictwa duchowego u artystów (mających być koniecznie „naiwnymi"), jest pomocą nagłą i na razie, energicznym środkiem przeczyszczającym na dziennikarską kulturę. Jest ona wreszcie ostatniem słowem realizmu, który zrobiwszy ze sobą rachunek spostrzegł może wreszcie, że przy całym konwencyonalnym i ckliwym patryotyzmie stał na szarym poziomie mieszczańskiej pospolitości ogólno europejskiej, realizmu, co w ostatnim swym wysiłku pragnie zachwycić od dołu (od polskiej wsi) to, co w nieświadomym, rasowym zadatku jest zaledwie surową rudą temperamentu, a co rozwój jednostki czy plemienia osiąga właściwie dopiero na szczytach myśli i twórczości:

odrębne piętno odrębnego ducha narodu... Ta krew ofiarna i często niesławna, wylana na ołtarzach twórczości, na pobojowiskach i zwycięskich szańcach myśli, dziedziczy się nie ciałem, lecz duchem, a więc po długiej i uciążliwej wędrówce poprzez wieki narodowej kultury. Na końcu tej pielgrzymki oczekuje na znużonego niekoniecznie dzban staropolskiego miodu, lecz może inna nieco ambrozya: na krańcu tej drogi znajduje on nie swojskość, lecz ludzkość. Więc na owocach późniejszej pracy odbijać się będzie przedewszystkiem charakter przebytej drogi: jej ciernie i osty, zażyte chłody i przebolane zwątpienia. O sile, napięciu i rozległości tych swojskich cech stanowić będą oczywiście nie gościńce, lecz człowiek, jaki przez nie przeszedł. A to samo rozszerza swojskość cech i charakterów w nieskończoność, jak nieskończonym jest twórczy duch ludzki... Polskim może być nawet kosmopolityzm, ba! — polską może być nawet nienawiść polskości.

Dzisiejsza swojskość, naciągana doktrynersko do każdego wybitniejszego objawu współczesnej twórczości, gotowa stać się niebawem nieznośną tyranią dla myśli. W porę przychodzi jej z pomocą niechęć i uprzedzenie do uświadomienia, krytycyzmu, do „połowiczności modernistycznej.“ — I oto otwiera się szeroki i wygodny gościniec cnoty dla każdego, kto pragnie pozostać „wyłącznie artystą,“ „tylko plastykiem,“ „tylko żywiołowcem,“ fijolkiem w swojskiej kapuście, pierwiosnkiem na rodzimym gnoju, zawsze „z Bożej iskry“, zawsze swojsko-naiwnym, zawsze idyotą.

Stany, w których oblekamy rzeczy w taką świetność, pełnię i poezyę, że wreszcie stają się one lustrzanem jakby odbiciem naszej własnej pełni i radości życia: popęd płciowy, podniecenie, uczta, wiosna, zwycięztwo nad wrogiem, szyderstwo, szaleństwo odwagi, okrucieństwo, ekstaza religijnego uczucia. Zwłaszcza popęd płciowy, podniecenie i okrucieństwo: te trzy składniki, stanowiące z dawien dawna odświętny

i weselny szał człowieka, — po dziś dzień przeważają u początkującego „artysty.“

I naodwrót: gdy napotykamy rzeczy i zjawiska posiadające w sobie tą świetność i pełnię, wówczas odpowiada nasza cielesna egzystencya pobudzeniem tych sfer, gdzie owe stany uciechy i ochoty mają swe siedlisko. Połączenie tych, bardzo nieraz subtelnych błogostanów i pożądań jest stanem estetycznym; stan ten nawiedza tylko takie natury, które wogóle są zdolne do tej zwyżkowej, udzielającej się, wybujałej pełni krzepkości cielesnej; tu należy szukać koniecznego *primum mobile*. Trzeźwy, zmęczony, wyczerpany, zasuszony (np. uczony) nie może absolutnie nic otrzymać od sztuki, gdyż brak mu tej podstawowej prasiły artystycznej, niezbędnego nadmiaru wewnętrznego bogactwa: kto nie ma nic do rozdania, nic też nie otrzymuje.

— „*Doskonałość.*“—W powyższych stanach (zwłaszcza w miłości płciowej) przejawia się z całą naiwnością to, co najgłębszy instynkt w człowieku uważa za najwyższe, najbardziej pożądane i wartościowe: mianowicie wywyższenie swego typu; stany te mówią zarówno, do jakiego *status* człowiek bezwiednie zmierza. Jest nim doskonałość: niezwykłe rozszerzenie uczucia mocy, wewnętrznego bogactwa, nadmiaru, koniecznej wybujałości poza wszelkie tamy...

Sztuka przypomina stany animalnego vigoru, jest ona w gruncie rzeczy tylko nadmiarem i wytryskiem kwitnącej cielesności w świat obrazów i pożądań, lub z drugiej strony pobudzeniem animalnych funkcyj przez obrazy i pożądaniem spotęgowanego życia, — wzmożeniem, wywyższeniem poczucia sił; sztuka jest bodźcem życia...

O ile brzydota może posiadać tę potęgę? O ile zwycięzka wola artysty udzieli ponadto coś, co opanowywa rzeczy szpetne i groźne, lub o ile podnieci w nas z lekka

ochotę do okrucieństwa (względnie chęć przyczynienia bólu samemu sobie, pogwałcenia własnej natury, dającą wzamian poczucie mocy nad samym sobą).

PESYMIZM W SZTUCE.—Artysta przywiązuje się z czasem do swych środków, dla nich jedynie, mianowicie do tych środków, przez które przebija stan twórczego podniecenia: do krańcowej subtelności barw, wyrazistości linij, odcieni tonu, dobitności tam, gdzie normalnie brak wszelkiej wyrazistości. Wszystko, co silnie wyodrębnione, a zarazem każdy odcień subtelny, o ile przypominają to nadmierne spotęgowanie sił rodzących twórcze podniecenie, działając wstecz, budzą naodwrót to uczucie podniecenia. *Działanie dzieł sztuki polega na pobudzeniu sztuko-twórczego stanu.*

Naistotniejszem w dziełach sztuki jest ich skończoność bytowa, tworzenie doskonałości i pełni. *) Sztuka jest w istocie swej *potwierdzeniem, błogosławieniem, ubóstwieniem bytu*... Co oznacza sztuka pesymistyczna? Czyż to nie *contradictio?* Tak jest! Schopenhauer myli się, gdy niektóre działy sztuki oddaje w służbę pesymizmu. Tragedya nie uczy pesymizmu. Przedstawianie rzeczy zagadkowych i groźnych jest samo przez się dowodem

---

*) Skończoność *bytowa,* nie zaś formalna, tworzenie doskonałości i pełni *ideowej,* nie modelowej. Uwaga to bodaj niezbyteczna dla tych, co czytają tylko oczyma i gotowi się wczytać w swe upodobania gospodarskie do rzeczy gładkich, wykończonych, wypolerowanych. *(Przyp. tłom.)*

mocy i świetności artysty: one go nie trwożą... *Niema sztuki pesymistycznej!..* Sztuka potwierdza. Hiob potwierdza. — Ale Zola, ale Goncourt'owie?.. Rzeczy, jakie oni przedstawiają są szpetne, to jednak, że je wogóle stwarzają, jest skutkiem ich upodobania do brzydoty... Daremne też wasze słowa! Oszukujecie samych siebie twierdząc inaczej. — Jakże wyzwalającym jest Dostojewski!

CO JEST TRAGICZNEM? Niejednokrotnie dotykałem już wielkiego nieporozumienia Arystotelesa, upatrującego w dwóch przygnębiających stanach uczuciowych: w strachu i współczuciu, składników wrażeń artystycznych tragedyi. Gdyby Arystoteles miał słuszność, należałoby spoglądać na tragedyę jako na sztukę wrogą i niebezpieczną dla życia: należałoby przed nią ostrzegać, jako przed czemś ogólnie osławionem i szkodliwem. Sztuka, zresztą, wielki bodziec życia, upojenie życiem, pożądanie pełni życiowej, stałaby tu w usługach ruchu wstecznego jako służebnica pesymizmu, jako wroga ludzkiemu zdrowiu. (Bo, że przez samo pobudzenie tego rodzaju uczuć i myśli, człowiek oczyszcza się z nich, — jak Arystoteles zda się wierzyć, — to jest poprostu nieprawdą. To, co stale wzbudza trwogę, dezorganizuje, osłabia, odbiera otuchę.) Przypuśćmy, że Schopenhauer ma słuszność, że tragedyę należy wywodzić z rezygnacyi, t. j., z łagodnego wyrzeczenia się szczęścia, nadziei, chęci do życia; — wówczas wytworzoną zostałaby sztuka, która samą siebie znosi. Tragedya oznaczałaby proces rozkładowy: instynkt

życia, niosący w instynkcie sztuki zniszczenie samemu sobie... Tragedya byłaby objawem rozkładu.

Teoryę tą można obalić z najzimniejszą krwią: mianowicie zmierzywszy za pomocą dynamometru działanie emocyi tragicznej. Otrzymujemy rezultat, któremu zaprzeczyć może tylko nałogowe zakłamanie systematyka, mianowicie, że tragedya jest bodźcem sił życiowych (jest *tonicum.)* Jeżeli Schopenhauer rozumieć tego nie chciał, jeżeli ogólną depresyę uważał jako skutek tragedyi, jeżeli grekom (którzy ku jego zgorszeniu bynajmniej rezygnować nie zamierzali) daje do zrozumienia, że dosięgli wyżyn światopoglądu: jest to *parti pris,* logika systemu, podrabianie stempli systematyka, fałszerstwo najgorszego gatunku, które Schopenhauer'owi krok za krokiem psuło całą jego filozofię (jemu, który geniusza, sztukę, moralność, religię pogańską, piękno, poznanie, — zgoła wszystko ujmował fałszywie, nieomal z całym wysiłkiem dowolności).

Czyliż trzeba jeszcze dowodu, jak wielką jest przeobrażająca siła podniecenia? Oto miłość jest tym dowodem, wszystko, co zwie się miłością we wszelkich mowach i niemotach świata. Upojenie załatwia się tu z realnością w ten sposób, że w świadomości kochającego gasi rzeczową przyczynę, podsuwając na jej miejsce coś zgoła odmiennego:—nagłe rozblaski i całą świetność wszystkich czarownych zwierciadeł Cyrce... Człowiek i zwierzę nie stanowią tu różnicy; tembardziej ro-

zum, uduchowienie, dobroć, czy prawość. Bywa się zwodzonym subtelnie, gdy się jest subtelnym, oszukiwanym zgruba, trywialnie, gdy się jest trywialnym, jednakże miłość (nawet miłość Boga, miłowanie świętych u „wyzwolonych dusz“) jest w swem źródle zawsze jednem i tem samem: jest gorączką, która ma powody, aby się przeistaczać, szałem upojenia, który dobrze czyni okłamując sam siebie. Gdyż bądź co bądź dobroczynnem jest to okłamywanie się w miłości: człowiek zda się przeistoczonym, silniejszym, bogatszym, doskonalszym; — wówczas faktycznie jest się doskonalszym... Sztuka staje się wtedy organiczną wprost funkcyą, tkwi w tym anielskim instynkcie miłości, jako najpotężniejszy bodziec życia. — Tak więc sztuka jest wzniośle celową nawet wówczas, gdy okłamuje... Na tem nie wyczerpuje się jednak bynajmniej jej siła; sztuka nietylko rodzi ułudy, ona czyni stokroć więcej: sztuka zmienia wartości. Bo nietylko samo poczucie tych wartości jest wówczas odmiennem: kochający jest faktycznie więcej wart, jest silniejszy. U zwierząt wywołuje ten stan w czasie tokowania nowe narządy ochronne, nowe rytmy, nowe dźwięki wabiące, nowe podstępy uwodzeń. I u człowieka nie jest inaczej. — Cała jego wewnętrzna gospodarka staje się bogatszą, potężniejszą, bardziej całkowitą, niźli u niekochającego. Człowiek staje się hojnym rozrzutnikiem, stać go wówczas na to! zdobywa się na odwagę, na szaleństwo, staje się osłem wielkoduszności i naiwnej wiary: wierzy znowu — ponieważ w miłość wierzy. I oto wyrastają temu idyocie skrzydła szczęścia u ramion, nowa sprawność, nowe zdolności stają się jego udziałem, — i nawet wrota sztuki otwierają się przed nim same. Oddzielmy od liryki w dźwięku i słowie tę sugestyę wewnętrznej gorączki, cóż pozostanie z poezyi? co z muzyki? A może *l'art pour l'art*, to wirtuozowskie rechotanie zimnych żab, osadzonych na sucho w wyschłem bagnie. Wszystko, co poza tem jest

sztuką, jest poezyą, tę całą *olbrzymią resztę* stwarza miłość...

To „l'art pour l'art“ — (zostawiamy te słowa umyślnie w ich sztucznem cudzoziemskiem brzmieniu stosownie do najoczywistszych intencyj autora) — ta sztuka dla sztuki użytą tu jest zbyt dwuznacznie i wzbudzać może łatwą pochopność do płytkich wniosków. Gdzieindziej tenże Nietzsche nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, że zarówno nie dopuszczał istnienia formy bez treści, jak i egzystencyi tak bulwarowo pojętej sztuki dla sztuki. Walka przeciw celowości w sztuce, — mówi w innem miejscu, — jest zawsze tylko walką przeciw podporządkowaniu sztuki pod wymagania moralności, zaściankowych doktryn, i pod wszelkie strawowe pożytki dnia. *L'art pour l'art* znaczy: niech dyabli porwą waszą moralność!.. „Przypuśćmy jednak, — cytujemy dosłownie, — że wszelkie moralne perory i kaznodziejstwa, wszelkie chęci ulepszenia ludzi zostały wykluczone ze sztuki (faktycznie wykluczonemi one mimo wszystko nie są); czyżby wynikało ztąd, że sztuka jest wogóle bez zamierzeń, bez celu, bez sensu, jednem słowem: *l'art pour l'art,* robakiem, który własny ogon kąsa?..“ Tak chce sąd pospolity, ów łatwy oręż walki z każdym objawem sztuki, który nie schlebia moralności dnia, nie jest strawą i obrokiem na użytek codzienny... „Psycholog jednakże pyta: cóż czyni sztuka? czyż ona nie sławi? nie uświetnia? nie czyni wyboru? nie wyciąga i nie dobywa z głębi? A czy tem wszystkiem nie *potęguje* ona lub nie *osłabia* pewnych wartościowań? I czyż to tylko skutek tej sztuki uboczny? jej przypadek niejako? Czyż instynkt artysty może być od tego odłączonym?.. Czy ten najgłębszy instynkt twórcy, wypowiadający się w sztuce, nie ma swych korzeni w tem co jest sensem sztuki: — *w życiu?..*“ Dodajmy natychmiast: w życiu człowieczem, pełnem, szerokiem, jaknajbardziej uświadomionem: nie w grzybowem wegetowaniu zapleśniałych kątów, z ich plechową ckliwie - słodką wonią utajonej zatęchlizny, z ich nieubłaganą i najstraszniejszą tyranią codzienności i nawyku, pragnącą w swoje ramy wtłoczyć świat cały i nakazać sztuce, aby uświetniała te wyłącznie ideały i wartości, do których wyszkolił się już gnuśny duch, — bo wszystko, co poza tem, jest dla niej fikcyą tylko: wieżą z kości słoniowej, sybarytyzmem, zabawką dla zabawki, próżnością dla próżności, formą bez treści, *l'art pour l'art,* zwyrodnieniem i dekadentyzmem!..

Korzenie najgłębszego instynktu artysty, — powtórzmy to raz jeszcze, — tkwią więc w życiu; nie w owych przemijających a zawsze utylitarnych walorach zapleśniałych kątów, lecz w tem, co jest w życiu najistotniejszem, od miejsca i czasu niezależnem: a więc w tężyźnie i bujności bytowej, a więc we wszystkiem, co jest tak wiekuiście, tak niezmiennie ludzkiem, „tak ogromnie" i tak głęboko człowieczem, że w każdej epoce, miejscu i każdej kulturalnej rasie da się, jeśli nie poznać, to odgadnąć i wyczuć: — we wszystkich nieprzemijających, wiecznych, praludzkich głębiach życia i duszy, — oto gdzie tkwią korzenie sztuki dla sztuki! (Oczywiście, o ile to pojęcie niema być koncepcyą nierzetelną, nielogiczną, upustem cudzej żółci, plwociną ubogich duchem na wszystko, co jest z głębszej myśli i szerszego ducha).

Wirtuozowstwo żab jest zawsze tylko rechotaniem i jedynie dla pół-głuchego wydawać się może harmonijną doskonałością. Trzeba mieć lepsze uszy lub pytać innych. Forma jest zdrajcą dla wątłej treści: choć się czasem jak żaba nadmie, jak żaba wnet zarechocze: należy słuchać uważnie! Forma, której duch nie dźwiga, chroma i kuleje w swych fałdach puszystych, — należy jej na pięty bacznie spoglądać... A gdyby się komu przytrafiło usłyszeć harmonijną doskonałość, niech czuwa, słucha i patrzy: jeżeli jest człowiekiem dobrej woli, może choć raz w życiu poczuje na sobie tchnienie tej przedziwnej mocy, co dla każdej treści jej właściwą i niechybnie jedyną formę proroczo znajduje, tchnienie tej „dobrotliwej" potęgi,

która spornych żywiołów gniew spina łańcuchem,
dna morskiego i nieba sięga swoim duchem.

A jeśli ta harmonijna doskonałość, która jest dla uczuć ludzkich tchnieniem zmartwychwstania, zjadaczy chleba w aniołów już nie przemieni, to wszakże w najbardziej skostniałe serce tak nieraz boleśnie zakołata, tak je pamiątkami młodych uczuć wzburzy, tak je wszystką żałością młodzieńczych tęsknot „dobrotliwie" rozkrwawi, — że dalekie echo rozpaczy przyniesie mu może te słowa Kochanowskiego:

Gdzie teraz ono jabłko i on klejnot drogi?!..

A gdy taki mieć będzie nowy czyn w męskiem zamierzeniu, nowe dzieło w rękach twórczych, nowy objaw ducha w cichem za-

myśleniu, pojmie wówczas, że one w chłodnem sercu zrodzone pod złą wróżbą wczesnej śmierci się poczęły. A wtedy tenże głos łabędzi może po raz drugi otworzy mu duszę prośbą do twórczego ducha miłości:

Ty mnie ratuj, a swoją strzałą uzłoconą
Ugodź w serce!..

(*Ciąg dalszy.*)

TŁÓMACZENIE I DOPISKI
Wacława Berenta.

Fryderyk Nietzsche.

Ahaswer.



Oto mię zmroki spowiły w ciszę —
Idzie zaduma z nieznanych zórz.
Na mą bolesną, schyloną głowę
Wali się ciężar przeżytych dni —
A w górze…
A w niezmierzonym błękicie
Jakiś się straszny rozbujał dzwon;
Duszę wytężam i słyszę:
To wieczne skarży się życie.

Otoś mi powstał z wieków pomroki,
Otoś mi powstał wieczny tułaczu.
Przed tobą leci kurzawy słup,
Za tobą w zorzy pali się krzyż.
Od tego krzyża, od tego znaku
Lecisz odziany w kurzawy słup
Po nieskończonym tęsknoty szlaku,
W unicestwienia otwarty grób.

Za tobą w zorzy pali się krzyż,
Tyś się oderwał od jego stóp —
Błędny Ahaswer lecisz przez wieki
W unicestwienia otwarty grób.

Nie zatrzymają cię zacisza chat,
Ani pustynne oazy,
Ani pielgrzymów modlitewny chór,
Ni błogosławne ramiona
Świętego drzewa;
Bo w własnej duszy masz takie zarzewie,
Że go nie zgasi żaden szczęścia zdrój,
Bo masz nad sobą taką gwiazdę błędną,
Co cię promieniem wplątała w swój szlak,
Bo czar twych jezior, smętek szumnych puszcz
I pól twych cisza pod dzwonem niebiosów
Taką ci w duszę wtopiły tęsknotę,
Taki bezbrzeżny żal,
Że już nie spoczniesz, synu człowieczy,
Ale się mgłami otoczysz snów
I gnać je będziesz pustynią ziemi
W unicestwienia grób.

Sto razy wieczny spali cię żar,
Sto razy wstaniesz z popiołu żądz,
I znów cię znęci ułudny czar
Tych samych tęsknot, tych samych żądz.

Myśli znękane rozognisz snem
O kryształowych pałacach,
O cichej śpiącej królewnie,
O seraficznej muzyce harf
Nad szarem niebem niedoli.
Na obolałe członki nędzarza

Wylejesz kubeł cudotwórczej wody,
Która wytryska krynicą
Z opoki wiecznej Nadziei.

A gdy cię złamie udręka
Gdzieś, na samotnych rozstajach,
Gdy cię twa niemoc zatrzyma
W tułaczym biegu,
Wtedy upadniesz złamany
W proch przed znikomym bałwanem,
Który twa ręka szalona
Stawiła w pracy ułudnej,
Aby się ból twój ukorzył
Ofiarnym skłonem,
Aby twa męka zasnęła,
Abyś miał przed czem czołem bić,
Abyś miał przed czem los swój kląć,
Abyś miał przed czem spłonąć żarem
Zdrętwiałej, stygmatycznej wiary,
Abyś mógł w ukochaniu serdecznem
Pogodzić, co jest sprzecznem,
Powiązać, co stargane,
Poświęcić, co kochane.

Życie, ku twym obszarom wyciągam ramiona,
Ku bezbrzeżnym obszarom obiecanej ziemi,
Ku którym wiara szalona
Ściele bajeczne gościńce
Bite słupami złotemi.
O, jak promienną pieszczotą
Miał mię utulić twój przejasny brzeg!
O, któż mi szeptał o świcie
Radosną wieść,
Że kędyś tai się życie

W obsłonach krasy jutrznianej?
Któż mym dziecięcym tęsknotom
Otwierał oczy błękitne
I piąć się kazał przez załomy szczytne
I na zakrętach przystawać i słuchać
Odzewu złocistych trąb?
I cóż wróżyły te światła i cienie,
Któremi chciwie karmił się moj sen,
I świat tych płynnych kształtów, falujących,
Na wpółprzymkniętych oczach malowany,
Marami z tęczy i błękitu ludny,
A cały brzmiący w melodyi przecudnej?

Samotny jestem w świata bezmiarze,
Jakby poza mną nie było nic —
Tylko ma wieczna tęsknica,
Tylko me myśli tułacze,
Gnane w bezsilnej rozterce
Błędnym gościńcem tajemnic.
Nie wiem, gdzie bił mi poczęcia dzwon,
Nie wiem, gdzie życiu dany jest kres;
Lecz wiem, że bytu dyszący prąd
Nigdy już nigdy, nie wróci wstecz,
Ale, przepastnem łożyskiem
Tocząc się w dal,
Roztrąci tamy kamienne,
I wielkiem morzem zahuczy,
I będzie własne fale gnał
W błędnych zawrotach pościgu,
I będzie je ku sobie szczuł,
I będzie grzmiał... i rwał...

Rozfalowało się we mnie to morze,
Co się rozbija o wieczności próg,

Co się kołysze w osadach
Mgławicznych dróg —
Rozfalowało się we mnie to morze.

Wieczności moja, czemżeś ty?
Po twych przepaściach szybuje wzrok
W błędnych koliskach
I zawieszony nad otchłanią
I zapatrzony w głuchy mrok
Zmaga się w walce bezsilnej.
A kiedy wróci z ciemnych dróg,
Już nie poznaje swego słońca,
Ale na świat ten rzuca cień,
W którym radości gaśnie błysk,
A ziemskie rzeczy są odbiciem
Nieodgadnionej tajemnicy,
Jakiemś widmowem, sennem życiem
Rozmigotanem na ciemnościach.
I wtedy dusza pyta siebie,
Gdzie jest tych rzeczy kres i treść,
A coś jej mówi, że to ona
W rzeczach i w sobie utajona
...I wtedy tęskni do siebie.

Wieczności moja, czemżeś ty?
Bezbrzeżnem morzem grzmisz nade mną,
A życia spiżowy dzwon
Nakrył mię ciężką kopułą,
I próżno ranię pierś wrzącą
O niezbłagane obręcze.

Wszystko jest wielką tajemnicą duszy —
Myśl, co się w własnych przegląda głębinach,
Słońc rozpędzonych płonące pożary,

Ziemi rodzącej otworzone łono,
Z którego płynie rzeka stworzeń —
Wszystko pod gwiezdną kopułą —
Pyłek na złotym tańczący promieniu,
Atom ku bratnim ciężący atomom,
Odlotny bocian, co skrzydło złamane
Wlecze po ścierni spustoszałych pól,
Po każdej nocy każdy dzień powrotny,
Każda godzina, co się chyli w grób!..
— Wszystko jest wielką Tajemnicą duszy.

Duszo, ty mówisz językiem z płomieni,
— A jest to nagły zaświatowy błysk —
Gdyby meteor znaczył świetlny smug,
Gdyby się morze rozdarło do dna,
Gdyby się w jednem rozchyleniu powiek
Pomiędzy jawą a snem
Prześlizgnął jakiś wymarzony świat,
Gdyby w przestworzach konająca gwiazda
Wezbrała żarem ostatniego tchu
I całe życie zbiegło się w ten błysk...
— Duszo, ty mówisz językiem z płomieni.

Świętą mi jesteś o, ty, niepojęta,
Na dnie mej duszy śpiąca tajemnico,
Z ust twych dyszących falami wieczności
Płynie ku brzegom ukojenia wiew,
Z ócz twych zamkniętych na światła ulewę
I tylko w własną zapatrzonych treść
— Która jest tobą i w tobie —
Płynie ta święta potęga,
Która na wieki mnie sprzęga
Z tą tajną, z tą niezbadaną treścią
— Która jest tobą i w tobie —

Gdzieś, po za światła ulewą,
Gdzieś, po za planet obrotem,
Po za przestrzeni dławiącym pierścieniem
I po za czasu błędnym kołowrotem,
— Gdzieś po za wszelkiem marzeniem.

Tęsknię do ciebie — a tak tylko tęskni,
Kogo step kędyś obłąkał daleki,
Gdzieś za ojczyzny porzuconym progiem —
Tęsknię do ciebie i myśli znękane
Jak biały żagiel rozpinam do lotu
W tę nieznajomą drogę,
Zkąd mi dolata twój tajemny wiew,
Który uniesie mię w dal,
Na twe wiecznością przepojone łono,
Abym był tobą i w tobie.

Nad twoją daleką toń,
Nad twój przepastny brzeg
Przyszedłem oczy utopić
— Oczy wiecznego pragnienia.
Stanąłem cichy u brzegu
Z za siódmej przyszedłszy rzeki:
— Tu się dziecinna baśń spełni,
Tu się moj ból ukołysze,
— Tu mój dom.
Z za siódmej przyszedłem rzeki
Nad twoją daleką toń,
Nad uroczysko zaklęte
Szumiących wód.

Tu moje drogi ostatnie,
— Tu mój dom.
Nie pójdę więcej, nie pojdę

Za błędnym życia omamem,
Co na przydrożach się zjawia
Z kuszącą twarzą...
— Tu mam dziedzictwo wieczyste
Kojących łask.

Gwiazd zatopionych tajemnicze runy
Łyskają na mnie z otchłannego dna,
Sny moich tęsknot jawią się widomie
Poprzez ogromy wypiętrzonych wód,
Nie mogę poznać ich twarzy,
Lecz wiem, że są mi obecne,
Że się dziecinna baśń pełni,
Że tu mój dom.



Edward Leszczyński.

Z „Jawy obłąkanej.“

WIECZNOŚĆ.
Nastrój — — — — —

Zmierzch, ciepły, rozlewny zmierzch. Duży, wysoki bezmiernie pokój...

Wszędy natłoczone porcelanowe, wdzięczne figurki pasterek, alchemiczne, straszliwe zaklęcia, dzikie formuły czarnoksięzkie, magiczne trójkąty, stare, o wielkich bronzowych klamrach księgi, wypchane sowy, krzyżackie miecze długie, obosieczne, a ryngrafy pozłociste, nietoperze, zeschłe róże — wspomnienia pierwszych dziecięcych miłości, bezgłose, popsute mandoliny, małe, zielone topielczyki, posępne pułki ołowianych żołnierzy, dyabły, kokotki, długie, wąskie pudełka od rękawiczek kobiecych, klowny ubielone mąką, stare, zgrzytające tabakiery, grające zegary, gorsety, niezgrabne sylwety średniowiecznych potworków z kamienia, monotonne litanie bogów pijanookich, naiwne le-

śne fauny, białe, arystokratycznie smukłe charty, bezpłciowi, zakuci w stal rycerze pobożni, wielkie pąki chryzantem, porcelanowe chińczyki, białe i czarne łabędzie, brudne, zamazane obrazy, wędrowni kramarze, pawie, cyprysy, wierszopisi, okrągłe, pachnące pudełka pudru...

Wśród tego głucha, wiotka postać wąskiego starca, który gra na klawikordzie, starym, żółtym klawikordzie o matowych, zamglonych półtonach — gra jakieś stare, wiolinowe, łzawe bezmiernie, bezmyślne melodye — — — gra wiecznie, nieustannie z nieśmiertelnym, jasnym uśmiechem na białych wargach, w miękkiej zadumie letniego, ciepłego — jak włosy kochanki — wieczoru...

A wielki, dziwaczny tłum wokoło natłoczony słucha wciąż — wytwornie, subtelnie...

WIĘC...

Pokój — wysoki, wielki... Ściany zwierciadlane. Tłum, dużo ludzi; potwór: TY o wielu twarzach. Czekają... Cisza oczekiwania dzwoni w uszach pogwarem mszalnych sygnaturek... Wszyscy czekają. Wychodzi — On — Człowiek — Ja, któremu wiecznie zimno. Natychmiast oczy wszystkich kierują się w zwierciadlaną głąb'... Patrzą — bacznie — uważnie — pilnie — ze czcią wielką, z nabożeństwem świętem wpatrują się w odbicia postaci człowieka, który wszedł — — — Źrenice ich łowią w lustrach każdy szczegół jego postaci, każdy jej ruch notują w mózgach... Przyszedł — On — człowiek, który już nie może być sobą — — — Chce mówić... mówi... woła... Nikt nie zważa, nikt nie słucha — oczy wszystkich utkwione w tysiącznych odbiciach jego postaci... Mówi...

woła... krzyczy... targa ich za ramiona: Nie... nikt ani drgnie: z hieratycznem przejęciem patrzą — — — zapatrzeni hypnotycznie — — — niepodzielnie w odbicia jego postaci w lustrach... Boi się — tak — tak — tak — głodny jest — tak bardzo... umiera z głodu... Ah — czuje trwogę — taką olbrzymią, nieludzką trwogę... hu-hu-hu-u-uu — — — — — — — — — — — —

Patrzą...

DUSZA.

Ja: więc wielkie malowidło białych plam TAK i cienie mroczne, tajemnicze, czarne NIE, podkreślające nocnem, upiornem milczeniem hejnały dziewiczej białości TAK.

Ja: więc bezmiar mąk beznogich szybkobiegaczy i te procesye linoskoczków a hecarzy, zakutych w habity mnisze.

Ja: więc małe, pokraczne, nieśmiałe PRZED i zgrzybiała, długa, złośliwa postać ZA, grające w kości o brudny łachman drogi mego życia... i to jest najwyższy pesymizm.

Ja: więc arystokratyczna pogarda gotyckich dzwonnic, ciężkie, skrzydlate smoki, wylatujące w szare godziny z wnętrz ciemnych, spiżowych dzwonów, by zadławić w głębi mrocznych zaułków długie, wijące się krzyki bólu.

Ja: więc milion barw, słońc, rajów, tęcz... a potem wąskie, żółte, błędne, suchotnicze ręce JUŻ.

Ja: więc prastare, dumne, samotne zamczyska, zasłuchane w lot białych łabędzi.

Ja: więc MILCZENIE, które strzela z łuku do ptaków twórczych pragnień przy zwycięzkim, monotonnie tryumfalnym odgłosie tam-tamów i bębenków Wielkich Praw Przyrody.

Ja: więc wielkie, śpiące miasto gotyckich wież, po których wspinają się ku gwiazdom rzeźbione z kamienia potworki.

Ja: więc nagi człowiek i straszna maskarada milionów sobowtórów w czarnych maskach TY.

Ja: więc spiekłe, puste, ostre ściernisko, na którem usnęło zmęczone, chore Przeznaczenie.

Jan Wroczyński.

SONET.

Pytasz, zkąd powstał ból nieutulony,
Co się w me piersi cierniem smutnym wplata?
Z ziemi i z słońca, z morza, z każdej strony,
Z wichru i z jęku, co w niebo kołata.

Z ogromnej, świetlnej lazurów opony,
Z nocy przedistnień, z umarłego lata,
Z tej wiekuistej Przeszłości zamglonej,
Z wiecznego Jutra, z całego wszechświata.

Z nieprzeliczonych mogił, kędy drzemią
Snem nieprzespanym pogrzebane kości;
Z westchnień, lecących daremnie nad ziemią,

I z tego serca: — rozdarte na ćwierci
Szałem rozpaczy, wzgardy i miłości,
Umrzeć nie może, a rwie się do śmierci.

PRZEŁ. Anna Bronisławska. Artur Graf.



PERSEUSZ I ANDROMEDA CZYLI NAJSZCZĘŚLIWSZY Z TROJGA.

I.

Ojczyzno jednostajna i niezasłużona!

Wyspa samotna, w wydmach żółtawo szarych; pod niebiosami wędrownemi; zresztą, wszędzie morze, gdzie okiem sięgnąć, zamykające wzrok, wołania, i nadzieję, i melancholię.

Morze! z jakiejkolwiek śledzić je strony, choćby całemi godzinami, w jakiejkolwiek zejść je chwili: zawsze to samo, zawsze niezawodne, zawsze samotne, mocarstwo odludności, wielkie dokonywające się dzieje, kataklizm źle strawiony; — jakby stan płynny, w którym je widzimy, był tylko upadkiem! A dni, w których otrząsa się z tego stanu (płynnego)! I te jeszcze niemożliwsze, gdy przybiera tony bolesne, że nie ma do odbicia żadnych lic godnych siebie, że nie ma nikogo! Morze, zawsze morze, bez jednej chwili słabości! Słowem, bynajmniej nie materyał

na przyjaciela. (Oh, doprawdy! wyrzec się tej myśli i nawet nadziei, że — mimo tak dawnego z niem sam na sam — będzie się mogło kiedyś, po zwierzeniach zobopólnych, podzielić jego urazy.)

Ojczyzno jednostajna i niezasłużona!.. Kiedyż to wszystko wreszcie się skończy? — Jakto? więc co do nieskończoności: przestrzeń zmonopolizowana przez samo tylko obojętnie bezgraniczne morze, czas wyrażony przez same tylko niebiosa w obojętnych przepływach pór roku, z wędrówkami ptaków szarych, krzykliwych i oswoić się nie dających! — A w dodatku, cóż rozumiemy z tego wszystkiego, cóż poradzić możemy na całe to nadąsanie bałamutne i niedające się wypowiedzieć? Lepiej chyba umrzeć odrazu, skoro się z urodzenia dostało poczciwe, sentymentalne serce.

Morze tego popołudnia jest sobie nijakie, ciemnozielone, jak okiem sięgnąć; jak okiem sięgnąć, wełnistości niepoliczonych pian, takich białych, to zapalających się, to gasnących, to zapalających się znowu, jak niezliczone stado pławiących się owiec, które to nurkują, to wypływają znowu, i nigdy nie zbliżają się do brzegów, i dają się zaskoczyć nocy. A po nad tem wszystkiem utarczki czterech wichrów, utarczki dla miłości sztuki, dla przyjemności spędzenia tego popołudnia na smaganiu grzebieni pian i rozpryskiwaniu ich w tęczowo skrzące się pyły. Oh! niech tylko przewionie promień słoneczny — i oto na grzbietach fal siedmiobarwna pieszczota, niby świetna dorada, która wypłynęła na chwilę i wnet, głupio nieufna, daje nura.

I na tem koniec. Ojczyzno niezasłużona i jednostajna!

Aż w głąb' zatoczki z dwiema grotami, wyścielonemi puchem edredonowym i bladą morszczyzn słomą, dobiega rozległe, jednostajne morze, zziajane i rozpływające się w strugi. Lecz jego skarga nie może zagłuszyć jęczków,

ostrych, chrapliwych jęczków Andromedy, która, leżąc tu plackiem, z brodą wspartą na ręku i twarzą zwróconą w stronę widnokręgów, śledzi bezwiednie mechanizm fal, fal rodzących się i ginących, jak okiem zasięgnąć. Andromeda jęczy sama nad sobą. Jęczy. Lecz nagle spostrzega się, że jej skargi wtórują skargom morza i wiatru, dwu istot nietowarzyskich, dwu potężnych kumów, którzy jej wcale nie obchodzą. Urywa sucho; poczem szuka naokół, do czegoby się przyczepić. Woła:

— Potworze!

— Malutka?

— No, Potworze!

— Malutka?

— Cóż tam robisz znowu?

Potwór-Smok, siedzący w kucki u wejścia swej groty, z zadem na pół w wodzie, odwraca się, migocąc grzbietem świetniejącym wszystkiemi klejnotami Golkond podmorskich, unosi współczująco powieki ustrzępione różnobarwnemi chrząstkowatemi pasamonteryami, odsłania dwie wielkie wodno-zielone gałki oczne i mówi (głosem człowieka wytwornego, który niejedno przeszedł nieszczęście):

— Toć widzisz, Malutka, rozbijam i szlifuję głaziki do twej procy. Będziemy jeszcze mieli przeloty ptaków przed zachodem słońca.

— Daj spokój, ten hałas mnie boli. I nie chcę już zabijać ptaków, które przelatują. O! niech sobie przelatują, niechaj znowu kraj swój zobaczą! O, stada wędrowne, które przelatujecie, nie widząc mnie, o, hordy fal, wiecznie nabiegających, by umrzeć, nic mi nie przyniósłszy! jakże ja się tu nudzę! Ah, tym razem jestem chora naprawdę... — Potworze?..

— Malutka?

— Powiedz, czemu od jakiegoś czasu nie przynosisz

mi drogich kamieni? Cóżem ci uczyniła, powiedz, mój opiekunie!

Potwór okazale wzrusza ramionami; zaczyna grzebać w piasku po prawej stronie, podnosi kamień, dobywa garść różowych pereł i skrysztalonych anemon, które miał w zapasie na wypadek kaprysu, i składa je pod zgrabnym noskiem Andromedy. Andromeda, wciąż plackiem leżąc i podparta na łokciach, wzdycha, lecz nie rusza się z miejsca.

— A gdybym odrzuciła je cierpko, niewytłómaczenie cierpko?

Potwór zabiera swój skarb i ciska go w odmęty, ku rodzinnym Golkondom podmorskim.

Wtedy Andromeda zaczyna się tarzać w piasku i jęczy, nasuwając włosy na twarz w patetycznym nieładzie:

— O, moje różowe perły, moje skrysztalone anemony! Oh, nie przeżyję tego, nie przeżyję! I to będzie twoja wina! Ah, ty nie wiesz, co to Nieodwołalne!

Ale uspokaja się wnet, i dopełznąwszy do Potwora, układa się w zwykły swój pieszczotliwy sposób pod jego brodą, otaczając mu szyję, lepko-fioletowawą szyję, białemi rękoma.

Potwór wzrusza okazale ramionami i, w niezmiernej dobroci swej, zaczyna wydzielać piżmo we wszystkich punktach, które odczuły przejście tych rączek z ciała, tych rączek kochanego dziecka. Ona wszakże po krótkiej chwili znowu wzdycha.

— O Potworze, o Smoku, mówisz, że mnie kochasz, a nic nie możesz dla mnie uczynić. Widzisz, że ginę z nudów, a nic na to poradzić nie możesz. Takbym cię kochała, gdybyś mógł mnie uzdrowić, zrobić cokolwiek!..

— O szlachetna Andromedo, córo króla Etyopii! Smok wbrew swej woli, biedny potwór, może ci tylko odpowiedzieć tem błędnem kołem: — Uzdrowię cię, dopiero gdy mnie umiłujesz, gdyż miłując, uzdrowisz mnie.

— Zawsze ten sam rebus wyroczny! Ale mówię ci przecież, że kocham cię bardzo!

— Nie czuję tego, i ty też nie czujesz. Ale dajmy temu pokój; jestem wciąż jeszcze tylko biednym potwornym Smokiem, nieszczęsnym Katoblepasem.

— Gdybyś przynajmniej chciał wziąć mnie na grzbiet i przenieść do krajów, gdzie można znaleźć towarzystwo. (Ah! takbym chciała rzucić się w świat!) Przybywszy tam, dałabym ci prawdziwego całuska za fatygę.

— Już ci mówiłem, że to niemożebne. Tu muszą rozstrzygnąć się nasze losy.

— Oh! powiedz, powiedz, co wiesz o nich?

— Nie więcej od ciebie, szlachetna Andromedo rudowłosa.

— Nasze losy! nasze losy! Ależ ja tu starzeję się z dniem każdym! Oh, tak dalej być nie może!

— Chcesz może, to zrobimy małą wycieczkę morską?

— Ah, znam te pańskie małe wycieczki morskie! Czasby już było wymyśleć coś nowego.

Andromeda ciska się znowu plackiem na piasek, rozdrapuje go i rozrywa z obu stron wzdłuż swego prawowicie zgłodniałego łona, poczem rozpoczyna znowu swe jęczki ostre i chrapliwe.

Potwór uważa za stosowne, dla wydrwienia jej utyskiwań romantycznych, przedrzeźniać falsecik tej biednej dzieciny na przełomie, i zaczyna tonem swobodnym:

— *Pyram i Tysbe.* Był pewnego razu...

— Nie! nie! żadnych martwych bajek, albo się zabiję!

— Ależ nareszcie, cóż to znowu takiego? Trzeba się raz otrząsnąć. Idź z wędką na ryby — albo na polowanie, dobieraj rymy, trąb' na muszli w cztery główne strony świata, odnów swój zbiór skorupiaków, albo, wiesz,

ryj symbole na opornych kamieniach (czas przy tem zbiega niepostrzeżenie!)...

— Nie mogę! nie mogę! Do niczego już nie mam ochoty, mówię ci!

— No, no! — Spojrzyj w górę, Malutka! Czy dać ci procę?

Była to od rana trzecia już gromada wędrownych ptaków jesieni; trójkąt ich przelatywał jednozgodnem, rytmicznem drganiem, bez maruderów. Przeleciały — wieczorem będą daleko, daleko...

— Oh! pomknąć tam, gdzie mkną one! Miłować! Miłować!.. — woła biedna Andromeda.

I mały opętaniec jednym skokiem staje na nogach i, wyjąc razem z wichurą, szalonym cwałem znika pośród szarych wydm wyspy.

Potwór uśmiecha się dobrotliwie i wraca do szlifowania głazików. Tak zapewne musiał wygładzać swoje szkła mędrzec Spinoza.

II.

Jak ranione zwierzątko, cwałuje Andromeda, cwałuje wiotkim cwałem długonogiej czapli w błotnistej okolicy; rozszalała tem bardziej, że ustawicznie musi odrzucać w tył długie rude swe włosy, które wiatr wlepia jej w oczy i usta. Dokądże pędzi tak, o młodzieństwo! młodzieństwo! przez wiatr i wydmy z tem dzikiem wyciem zranionej istoty?

Andromedo! Andromedo!

W trepach z porostu na nogach doskonale pięknych, z łańcuchem surowych korali na wodorostowe włókno znizanych koło szyi, naga bez zarzutu, naga i nieugięta, wyrosła tak, w cwałach, w wichurze, w słońcach, kąpielach, pod gwiazdami.

Twarz jej i ręce nie są ani mniej ani więcej białe od reszty ciała; cała jej osóbka, z czupryną jedwabisto rudą, spadającą po kolana, ma ten sam ton jasnej gliny palonej.

(Ah, te skoki, te skoki!) Cały jakby z żelaza wykuty, jakby jedna sprężyna, cały ogorzały, ten dzikus dojrzewający, z nogami dziwnie długiemi i misternemi, z biodrami prostemi i dumnemi, szczuplejącemi w stan tuż pod piersią, piersią dziecięcą, pod dwoma przypuszczeniami piersi, tak niedostatecznemi, że dyszenie galopowe zaledwie je podnosi (i kiedyż, i jak miały się wykształcić, w tych ciągłych cwałach pod wiatr, pod słony wiatr pełnego morza i pod zlewy wściekłe lodowatych bałwanów?). I ta długa szyja, i ta mała główka dziecięca, cała błędna w swem rudem runie, z oczyma to przeszywającemi jak oczy ptaków morskich, to zgaszonemi jak wody powszednie. Słowem, klasyczne podlocie. O, te skoki! te skoki! i te pojęki zranionego maleństwa, które żywot ma twardy! Tak wyrosła, mówię wam, naga, nieugięta, opalona, ze swojem rudem runem, w cwałach, w wichrach, w słońcach, w kąpielach, pod gwiazdami.

Ale dokądże tak pędzi, o młodzieństwo! młodzieństwo!

Na samym krańcu wyspy, przylądkowo, oto skała osobliwa; Andromeda wdziera się na nią labiryntem naturalnych przełęczy. Z wąskiej platformy panuje nad wyspą i nad ruchliwą pustynią, która wyspę wyosabnia. Pośrodku tej platformy deszcze wyżłobiły miednicę. Andromeda wybrukowała ją głazikami czarnej kości słoniowej i utrzymuje w niej wodę czystą; to jest jej zwierciadło od ostatniej wiosny i jej jedyna na świecie tajemnica.

Po raz trzeci dzisiaj przychodzi się w niem przejrzeć. Nie uśmiecha się do siebie, dąsa się, usiłuje zgłębić powagę swych oczu, a te oczy nie mogą wyrzec się swej głębokości. Lecz usta! nie może się dość nauwielbiać niewinnego rozkwitu swych ust. Oh! któż zrozumie kiedy jej usta!

— Jak tajemniczo jednak wyglądam!.. — rozmyśla.

A potem przybiera wszelkie możliwe wyrazy twarzy.

— No, i tak, i tak, to zawsze ja, ni mniej ni więcej, jak się komu podoba.

A potem duma, jak bardzo w gruncie rzeczy brak jej dystynkcyi!

Ale wraca do swych oczu. Ah! jej oczy są piękne, wzruszające, i takie jej własne. Nie może się z niemi dość naznajomić; stałaby tak, badając je, aż do ostatnich lśnień dniowych. Ah! cóż im jest, że są ciągle takie nieskończone? Albo czemuż ona nie jest kimś innym, by módz spędzić całe życie na ich śledzeniu, na marzeniu o ich tajemnicy, nie robiąc szmeru najmniejszego!..

Lecz darmo się przegląda. Podobnie jak ona sama, twarz jej wciąż czeka, poważna i daleka.

Więc chwyta za swe rude runo, próbuje dwudziestu kombinacyj uczesania, lecz wszystkie kończą się na rzeczach zbyt ciężkich dla jej małej główki.

A oto nadchodzą obłoki deszczowe, które zmącą jej zwierciadło. Ma tu pod kamieniem wysuszoną skórę rybią, która jej służy za pilnik do paznogci. Siada i obrabia paznogcie. Obłoki nadchodzą, obłoki pękają śród wielkiej wrzawy potopowej. Andromeda stacza się ze skały, i już znowu cwałuje ku morzu, piszcząc wśród ulewy:

Ah! znajdzież się kiedy
Na kuku Andromedy,
Hissaho!
Lek lub co!

Łzy toczą się na jej pierś dziecięcą, taka ta piosnka smutna. A ulewa już daleko, i wicher rozwichrza jej włosy, i wszystko jest wichurą...

Hissaho!
Gdy znikąd osłody,

Cisnę się do wody!
Hissaho!

Ale to mowa o kąpieli tylko, leci poprostu się wykąpać. Zresztą, w chwili gdy ma dać nurka, zawraca. Kąpać się, jeszcze i zawsze! Tak ją znużyły już igraszki z pospolicie pulchnemi siostrami-falami, których skórę i zwyczaje zna aż do przesytu! I oto wyciąga się na plecach w przemokłym piasku, z rękoma skrzyżowanemi, z twarzą zwróconą ku rozpryskującym się bałwanom. Tak będzie o wiele lepiej, — trzeba tylko zaczekać na porządny zwał wodny. Po chwili ruchliwych pogróżek nadbiega trąba spiętrzona i ciska się na nią. Zamknąwszy oczy, Andromeda przyjmuje ją twardo, z długiem zdławionem łkaniem zarzynanej, i skręca się, usiłując wszystkiemi członkami zatrzymać to ruchome lodowate wezgłowie, które spływa, nie zostawiając jej nic w ramionach...

Siada, ogłupiona, ogląda swe mizerne, ociekające ciało, wyskubuje ze swego runa źdźbła wodorostów, które w nie ta zlewa wmieszała.

Poczem ciska się już stanowczo do wody; rozbija fale młyńcem szalonym, zanurza się, wypływa, sapie, przewraca się na wznak; nadbiega nowy szturm bałwanów, i oto mały opętaniec, zrazu potrącany, wywracany, zaczyna podrzucać się na brzuchu, chcąc okraczyć te grzbiety. Chwyta jeden za grzywę i jedzie na nim przez chwilę, z wyciem okrutnem; nadbiega druga fala, zrzuca ją z siodła, ale ona czepia się innej. Zresztą, wszystkie wymykają się z pod niej zbyt szybko, nie umieją czekać. Ale morze, które rozgrzało się śród igraszek, staje się niemożebnem; wtedy Andromeda udaje rozbitka i pozwala się, rozwarkoczona, ponieść na piasek, wypełza po za dościgłość fal i zostaje tam, nieco grzęznąc w ruchomym piasku, na brzuchu.

A oto nad wyspą przechodzi nowa płachta ulewy. Andromeda się nie rusza i, cała jęcząca pod wielkim zgiełkiem potopowym, poddaje się ulewie, skomlącej ulewie, która hula w wąwozie jej pleców i tworzy bańki. Czuje stopniowe pod sobą ustępowanie przemokłego piasku i wije się, by zagrzęznąć głębiej. (O! niech mnie zaleje, niech mnie żywcem pogrzebie!).

Ale obłoki potopowe przechodzą, jak przyszły, zgiełk się oddala, i oto znowu atlantycka samotność wyspy.

Andromeda siada i patrzy na widnokrąg, który się wyjaśnia bez żadnej osobliwości. Co robić? Gdy wiatr dobrze wytarł jej biedne jestestwo, leci i wdziera się znowu, nieco wyczerpana, na skałę przylądkową, gdzie przynajmniej ktoś z pojęciem, jej zwierciadło, na nią czeka.

Ale szkaradny deszcz zmącił czystość jej smętnego lusterka.

Odwraca się, ma wybuchnąć łkaniem, ale oto wielki ptak morski nadlatuje pełnemi żaglami, jakby wprost na wyspę, na skałę, dla niej może! Andromeda rzuca przeciągły pisk przywołujący, opiera się bezwładnie o skałę, z rękoma w krzyż, i zamyka oczy. O! niechaj ptak ten padnie na jej prometeuszową osóbkę, rzuconą tutaj przez bogów, i, uczepiwszy się jej kolan, pocznie dziobem nieubłaganie zbawczym wyrywać palące jądro jej kuku.

Ale czuje lot mijającego ją ptaka; otwiera oczy — ptak już daleko, zajęty myślą o padlinie, o ileż bardziej interesującej niewątpliwie.

Biedna Andromeda, najwidoczniej nie wie, gdzie ująć swe jestestwo, by je wyzwolić od opętania.

Co robić? chyba znowu wpatrywać się w to morze, takie ograniczone, a jednak tak jedynie otwarte nadziei... I nadto, jakże dziecinną jest jej udręka wobec tej, jak okiem zasięgnąć, samotności! Jednym szańcem fal potrafiłoby to morze na śmierć ją nasycić; ale ona, ciałko mi-

zerne, uciszyć i rozgrzać morze! Ah! darmo wyciągałaby ramiona... A zresztą taka jest znużona! Dawniej cwałowała dniami całemi po swem królestwie, teraz bicia serca... Jeszcze jeden z tych wielkich ptaków morskich przelatuje. Takby chciała przyswoić sobie jednego, pieścić go i kołysać! Żaden się na wyspie nie zatrzyma. Trzeba je z procy zabijać, by zobaczyć je zbliska.

Kołysać, być kołysaną, morze nie kołysze dość uprzejmie.

Wiatr opadł, przyszły uciszenia, i widnokrąg gotuje melancholiczną *tabulam rasam* do uroczystych obrzędów zachodu.

Kołysać, być kołysaną!.. I znużona główka Andromedy wypełnia się rytmami macierzyńskiemi, i powraca jej na myśl jedyny rytm ludzki, jaki zna, legenda *Prawdy o sprawie Wszystkości*, święty poemacik, którym Smok, opiekun, kołysał jej dzieciństwo.

„Na początku była Miłość, prawo organizujące, po„wszechne, nieświadome, nieomylne. I była to, nierozdziel„na od wzajem zależnych wirów zjawisk, dążność nieskoń„czona ku Ideałowi.

„Słońce jest dla Ziemi jej kluczem sklepiennym, Zbior„nikiem, Źródłem.

„Dlatego to poranek i wiosna są szczęściem, dlatego „to zmierzch i jesień są śmiercią. (Lecz, że dla organiza„cyj wyższych niemasz nic wybredniejszego, jak czuć za„mieranie, wiedząc, że to na nic, przeto zmierzch i jesień, „dramat słońca i śmierci, są najdoskonalej estetyczne.)

„Bodziec Ideału trwa po wsze czasy, w przestrzeni „nieskończonej, uzewnętrznia się w niezliczonych światach, „które powstają, mają swój rozwój organiczny tak wysoki, „jak na to pozwalają ich żywioły, poczem rozkładają się „dla nowych wykluć laboratoryjnych.

*„Nieświadome pierwotne zajmuje się li tylko wstępo-
„waniem coraz wyższem, ma ono swe prace osobliwe, któ-
„rych pilnuje na jakichś światach żywotniejszych, ważniej-
„szych; nic go nie zdoła oderwać od jego snu o jutrze.*

*„A co do planet, które nie mają dość zasobów, aby,
„po przebyciu ewolucyi już dla Nieświadomego pozyskanej,
„mogły służyć za laboratoryum Tworowi jutra, — temi się
„Nieświadome nie zajmuje; ich drobne ewolucye dokonywa-
„ją się nieodzownie skutkiem danego bodźca, jako tyleż je-
„dnakich i małoważnych odbić z kliszy raz na zawsze usta-
„lonej i arcyznanej.*

*„I zatem, podobnie jak rozwój nieodzowny człowieka
„w łonie matki jest miniaturowem odbiciem całej ewolucyi
„ziemskiej, tak ewolucya ziemska jest tylko miniaturowem
„odbiciem Wielkiej Ewolucyi Nieświadomej w Czasie.*

*„Gdzieindziej, gdzieindziej, w przestworzach nieskoń-
„czenia, Nieświadome postąpiło dalej. Co za przepychy!*

*„Ziemia, choćby jeszcze dać miała istoty od Człowieka
„wyższe, jest tylko nieróżniącą się niczem i małoważną od-
„bitką z kliszy próbnej, terminatorskiej.*

*„Ale dobra, ze Słońca pochodząca Ziemia jest dla nas
„wszystkiem, gdyż mamy pięć zmysłów i wszystko im na
„Ziemi odpowiada. O soczystości, cuda kształtów, wonie,
„głosy, zdumienia nieogarnione, Miłości! O ty, życie moje!*

*„Człowiek owadem jest pod niebios progiem; lecz niech
„czci swą godność, a sam będzie Bogiem. Jeden spazm
„stworzenia wart wszechprzyrodzenia.“*

Takto markotnie zawodzi Andromeda w obliczu jeszcze jednego zapadającego wieczoru, i jest w tem tylko słodycz nauczonych lekcyj. Ah!.. wyciąga się i jęczy.

Ah! dokądże przeciągać się i jęczeć będzie?..

I mówi głosem wysokim i wyraźnym pośród atlantyckiego osamotnienia swojej wyspy:

— Tak, ale gdy jakiś szósty zmysł nieznany chce się wykluć, a nic, nic mu nie odpowiada! Ah! — Wszystko ostatecznie sprowadza się do tego, żem taka sama, taka odrębna, i że doprawdy nie wiem, jak to wszystko się skończy.

Gładzi się po ramionach, potem, rozjątrzona, zgrzyta zębami, drapie się i rani delikatnie obryzgiem krzemienia, który pod ręką się znalazł.

— Nie mogę przecież odebrać sobie życia, by przejrzeć, o bogowie?

Płacze.

— Nic, nic! Zanadtom opuszczona! Teraz, choćby przyszli po mnie i zabrali ztąd, zachowam urazę na całe życie, zachowam nazawsze trochę urazy!

III.

Jeszcze jeden zapadający wieczór, jeszcze jeden zachód, który udaje pięknisia; bilans klasyczny! bilans więcej niż klasyczny!

Andromeda odrzuca w tył swe rude runo i powraca do domu.

Potwór nie wychodzi na jej spotkanie. Cóż to ma znaczyć? Czyżby Potwora nie było? Woła:

— Potworze! Potworze!

Żadnej odpowiedzi. Trąbi w muszlę. Nic. Wraca na urwisko panujące nad wyspą, i trąbi, i woła, mój Boże!.. Nikogo. Wraca do domu.

— Potworze! Potworze!.. — O klęsko! A jeżeli nazawsze dał nura w wodzie, jeżeli odszedł, zostawiając mnie samą pod pozorem, że zbyt go dręczyłam, że mu uniemożliwiałam życie!..

O! wyspa w zapadającym zmroku wydaje się jej

nadzwyczajnie, niemożliwie zgubioną! Rzuca się na piasek przed grotą, jęczy, że chce się dać śmierci, że powinna się była tego spodziewać...

Gdy się podnosi, Potwór jest koło niej, w swym mule powszednim, zajęty przewiercaniem otworów w jednej z tych muszli, z których wyrabia dla niej okaryny.

— Patrzcie, pan tutaj, — mówi. — Myślałam, że pan sobie poszedł.

— Ani mi przez głowę nie przeszło. Póki życia, będę pani strażnikiem bez trwogi ni zarzutu.

— Pan powiada?

— Mówię, że póki życia...

— Dobrze, dobrze, wiadomo.

Milczenie i widnokrąg, widnokrąg znów czyściutko wymieciony na uroczystość zachodu.

— Gdybyśmy tak zagrali w warcaby, — wzdycha Andromeda, widocznie zdenerwowana.

— Grajmy w warcaby.

Szachownica z białych i czarnych mozaik lśni wyinkrustowana u wejścia groty. Ale zaledwie zaczęli partyę, Andromeda, widocznie zdenerwowana, rozrzuca ją.

— Niepodobna; przegrałabym; wciąż jestem gdzieindziej. To nie moja wina. Jestem widocznie zdenerwowana.

Milczenie i widnokrąg. Po wszystkich szaleństwach tego popołudnia, powietrze trwa w uciszeniu i skupia się przed klasycznym odwrotem Słońca.

Słońce!

Tam, u migotliwego horyzontu, kędy oddech wstrzymują syreny,

Rusztowania zachodu wznoszą się coraz wyżej;

Niby latarnie morskie jedne na drugich piętrzą się murowańce teatralne.

Ogniomistrze kończą ostatnie przygotowania.

Serya księżyców złotych rozkwita, niby wyloty trąb uszeregowanych, na których grzmią zastępy heroldów-obwieścicieli.

Rzeźnia gotowa, zasłony się zwijają.

Na posłaniach z dyademów, na żniwach latarni weneckich, na miałach, i na snopach,

Otamowanych kratowaniem z talmigoldu, w wielkim już nieładzie i rozdarciu,

Słońce - Pasza,
Jego Eminencya Czerwona,
W symarze pogromów,
Zstępuje śmiertelnie zwycięskie,
Przez całe minuty, za wrota Szczytne.

A oto legło na boku, całe pożyłkowane piętnami hypokondrycznemi.

Prędko, ktoś pchnął nogą tę pękniętą dynię, i wtedy...

Żegnajcie kosze, już po winobraniu!..

Rzędy trąb się opuszczają, rozpadają się szańce, a z niemi latarnie morskie z karafek pryzmatycznych. Latają cymbałki, dworzanie potykają się w chorągwiach, namioty złożone, wojsko zwija obóz, w panice unosząc ze sobą bazyliki zachodnie, tłocznie, bożyszcza, paki towarów, westalki, biura, ambulanse, estrady towarzystw śpiewaczych, wszystkie przydatki oficyalne.

I wszystko znika w rozpyleniu różano-złotem.

Słowem, wszystko udało się cudownie!..

— Bajeczne! bajeczne! — ślini się z zachwytu Potwór-Milczek i wielkie jego wodniste źrenice promienieją jeszcze ostatniemi odblaskami zachodu.

— Żegnajcie kosze, już po winobraniu! — wzdycha zmierzchowo Andromeda, której rude runo wydaje się bardzo ubogiem, po tych pożarach.

— Już tylko zapalić ognie wieczorne, powieczerzać

i pobłogosławić księżyc, przed pójściem spać, by zbudzić się jutro i rozpocząć nowy dzień podobny.

No, i milczenie, i horyzont gotowy dla cmentarnego księżyca — gdy wtem! O! błogosławieni niech będą bogowie, którzy, właśnie w chwili pożądanej, przysyłają nową osobistość.

Jak rakieta przybywa bohater dyamentowy, na śnieżystym Pegazie o drgających, ubarwionych zachodem skrzydłach, dokładnie odbity w niezmiernem, melancholicznem zwierciedle atlantyku pięknych wieczorów.

Żadnej wątpliwości, to Perseusz.

Andromeda, dławiona drżeniem dziewczęcem, leci schronić się pod brodą Potwora.

A na rzęsach Potwora zwisają grube łzy, jak żyrandole przy balustradach. Mówi głosem dotychczas u niego niesłyszanym:

— Andromedo, szlachetna Andromedo, uspokój się, to Perseusz. To Perseusz, syn Danae z Argos i Jowisza zmienionego w deszcz złoty. On mnie zabije i uwiezie ciebie.

— Ależ nie, nie zabije cię!

— Zabije.

— Nie zabije, jeżeli mnie kocha.

— Nie może cię zabrać, póki mnie nie zabije.

— Ależ nie, porozumiemy się. Można się zawsze porozumieć. Już ja to urządzę.

Andromeda wstała ze zwykłego swego miejsca i patrzy.

— Andromedo, Andromedo! pomyśl o cenie swego ciała jedynego, o cenie swej duszy świeżej! Mezalians spełnić tak łatwo!

Ale czyż ona słyszy! Z twarzą naprzód podaną, z łokciami przy ciele, z palcami wpitemi w biodra, stoi na brzegu, pełna odwagi i kobiecości, jeszcze.

Olśniewający i pełen szyku zbliża się Perseusz, skrzydła jego hipogryfa biją wolniej; — a im jest bliżej, tem bardziej Andromeda czuje się parafianką i nie wie, co zrobić ze swemi rękoma, tak czarującemi.

O kilka metrów od Andromedy, hipogryf, dobrze wystylizowany, staje, zgina kolana na równi fal, utrzymując się przytem na powierzchni różowem skrzydeł drganiem, i Perseusz się kłoni. Andromeda spuszcza głowę. To zatem jej narzeczony! Jakimż będzie dźwięk jego głosu, jego pierwsze słowo?

Lecz on oddala się bez słowa, bierze rozpęd, wzbija się, zaczyna opisywać owale, przelatując przed nią tam i z powrotem, tocząc koniem tuż nad morzem bajecznie zwierciadlanem, coraz bardziej ścieśniając swe orbity ku Andromedzie, jakby dając tej dziewiczce czas do zachwycenia się nim i pożądania. Szczególne widowisko, zaprawdę!..

Tym razem, uśmiechając się do niej, przeleciał tak blisko, że mogłaby go była dotknąć!

Perseusz siedzi jak amazonka, zalotnie skrzyżowawszy nogi w sandałach z bisioru; u łęku siodła wisi zwierciadło; jest bez zarostu, usta jego różowe i uśmiechnięte możnaby; nazwać otwartym granatem, dołek piersiowy ma wylakowany w różę, na każdem z ramion wytatuowane serce przebite strzałą, na muskułach łydek namalowane lilie, nosi monokl ze szmaragdu, liczne pierścienie i naramienniki, u złotego temblaka wisi szpada o rękojeści z masy perłowej.

Perseusz ma na głowie hełm Plutona, czyniący niewidzialnym, ma skrzydła i napiętki Merkurego i boski puklerz Minerwy; u pasa kiwa mu się głowa Gorgony-Meduzy, której sam widok, jako się wie, zamienił w górę olbrzyma Atlasa, a hipogryf jego jest owym Pegazem,

z którego Bellerofon zabił Chimerę. Młody bohater ma minę dyablo pewną swego.

Młody bohater zatrzymuje swego hipogryfa przed Andromedą i, nie przestając się uśmiechać ust granatem otwartym, zaczyna szpadą dyamentową wykonywać młyńce.

Andromeda ani drgnie, bliska płaczu z niepewności i zdająca się oczekiwać już tylko na dźwięk głosu tej osobistości, by poddać się losowi.

Potwór trzyma się cicho na stronie.

Ruchem wdzięcznym Perseusz skręca na miejscu rumaka, który, bez zmącenia lustra wód, klęka przed Andromedą, prezentując bok; młody rycerz wiąże swe ręce w strzemię i, nachylając je przed młodą branką, mówi z szepleniem nieuleczalnie przesadnem:

— Jazda, hop! do Cytery!

Ah, trzebaż ostatecznie z tem skończyć; Andromeda ma już postawić swą szorstką stopę na tem wytwornem strzemieniu i odwraca się tylko, by pożegnać Potwora skinieniem. — Ah! ale ten dał właśnie nurka między nimi i wnet wypływa, w tył sprężony, wysunąwszy dwie groźne łapy, ukazując otchłań fioletowawą paszczy, z której tryska ostrze płomienne! Hipogryf się płoszy, Perseusz cofa się do rozpędu, rzucając fanfarońskie okrzyki. Potwór czeka nań, Perseusz naciera, lecz hamuje się natychmiast.

— O, nie zrobię ci tej przyjemności, nie zabiję cię wobec niej, — krzyczy. — Szczęściem, sprawiedliwi bogowie niejednę mi dali do łuku cięciwę. Ja cię — okamienię!

Gagatek bogów odczepia od pasa głowę Gorgony.

Sławetna głowa, spiłowana u szyi, żyje, lecz życiem stojącem i zatrutem, cała czarna skutkiem wpędzonej wewnątrz apopleksyi; białe przekrwione oczy stoją słupem,

na ustach zastygł okropny, kurczowy uśmiech ścinanej. W całej głowie żadnego ruchu prócz drgań żmijowej czupryny.

Perseusz chwytą ją za tę czuprynę, której niebieskie, żyłkowane złotem węzły tworzą mu nowe pierścienie i bransolety, i zwraca ją ku Smokowi, wołając na Andromedę:

— Hej tam, zamknąć oczy!

Ale o dziwo! czar nie działa.

Czar nie chce działać!

Istotnie, wysiłkiem niesłychanym Gorgona zamknęła swe okamieniające oczy.

Poczciwa Gorgona poznała naszego Potwora. Przypomina sobie czasy bogate i świeżych powiewów pełne, gdy ona i jej dwie siostry sąsiadowały z tym Smokiem, ówcześnie dozorcą ogrodu Hesperyd, cudownego ogrodu Hesperyd, położonego w okolicach Słupów Herkulesowych. Nie, nie, po tysiąc razy nie, starego przyjaciela nie okamieni!

Perseusz z ręką wyciągniętą czeka wciąż, nie domyślając się niczego. Nieco zbyt pociesznym jest kontrast walecznego i mistrzowskiego ruchu z fiaskiem rzeczy, i dzika mała Andromeda nie może powstrzymać pewnego uśmiechu; pewnego uśmiechu, który Perseusz podchwycił! Bohater się dziwi, cóż się stało jego poczciwej głowie Meduzy? I choć hełm, w gruncie rzeczy, czyni go niewidzialnym, nie bez obawy jednak naraża się na spojrzenie w oblicze Gorgony, by się dowiedzieć, co też tam zaszło. Rzecz całkiem prosta, czar osłupiający nie podziałał, bo Gorgona zamknęła oczy...

Perseusz, wściekły, wiesza głowę na miejscu właściwem, z urągliwie zwycięzkim śmiechem dobywa szpady, ujmuje mocniej boski puklerz Minerwy, spina konia (o! pod-

czas gdy właśnie, tam, pełnia księżycowa wstaje nad bajecznem zwierciadłem atlantyckiem!) i wpada na Smoka, biedną, bezskrzydłą masę. Okrąża go olśniewającemi polotami, żga go z lewej strony, żga z prawej, zapędza go wreszcie w zaułek i tam wbija tak cudownie szpadę w sam środek jego czoła, że biedny Smok słania się i konając ma zaledwie czas wyrzężeć:

— Żegnaj, szlachetna Andromedo; kochałem cię, i nie bez przyszłości, gdybyś była chciała; żegnaj; wspominać to będziesz często.

Potwór skonał. Lecz Perseusz, mimo nieuchronność swego zwycięstwa, jest zbyt podniecony i trzeba mu się znęcać nad nieboszczykiem. Więc szpikuje go szramami! więc wyłupia mu oczy! Więc pastwi się nad nim, aż Andromeda wstrzymać go wreszcie musi.

— Dosyć, dosyć, przecież widać, że już nie żyje.

Perseusz zawiesza szpadę na temblaku, odrzuca w bok jasne loki swych włosów, łyka pastylkę i, zsiadając z rumaka, którego szyję głaszcze:

— A teraz, moja piękna!.. — mówi głosem wycedzonym.

Andromeda, wciąż nieruchoma, bez zarzutu i nieugięcie naga, ze swemi czarnemi oczyma mewy, pyta:

— Miłujesz mnie? miłujesz naprawdę?

— Czy miłuję? Ależ ubóstwiam? Ależ życie bez pani wydaje mi się nieznośnem! Czy cię kocham, ależ przejrzyj-że się!

I podaje jej zwierciadło, lecz Andromeda, z wyrazem najwyższego zdumienia, odpycha lekko ten przedmiot. On nie zwraca na to uwagi i pospiesza dodać:

— No, naturalnie, trzeba się będzie wypięknić!

Zdejmuje jeden ze swych naszyjników, naszyjnik ze złotych monet (pamiątka ślubna jego matki) i chce go jej

zawiesić na szyi. Ona go odsuwa łagodnie, ale on korzysta z jej ruchu, by ją oburącz w pół uchwycić. Ranne zwierzątko się budzi! Andromeda wydaje krzyk, krzyk mewy podczas największej burzy, krzyk, który się rozlega po wyspie już całkowicie mrocznej.

— Nie tykać mnie!.. O, przepraszam, przepraszam, ale doprawdy, wszystko to stało się tak prędko! Proszę, proszę mnie jeszcze zostawić trochę samą, dać mi pobłądzić w tych miejscach, ostatni raz się pożegnać...

Odwraca się, by jednem spojrzeniem objąć wyspę i swą ukochaną skałę, na którą zstępuje noc, noc poważna — o! poważna na życie! taka poważna i nieuchwytna, że Andromeda odwraca się od niej natychmiast ku temu, który ją właśnie oderwał od przeszłości, ku swej ostatniej stawce. — A oto zaskoczyła go znienacka! Ziewał! Wytworne ziewnięcie, które chciałby zakończyć uśmiechem otwartego granatu.

O, nocy nad wyspą przeszłości! O, Potworze nikczemnie zabity! Potworze bez pogrzebu! Kraje zbyt wykwintne Jutra!.. Andromeda wybucha cała jednym krzykiem:

— Idź pan sobie! idź! Budzisz we mnie ohydę! Wolę mrzeć samotnie, idź pan sobie, zmyliłeś się w adresie!

— Patrzcie-no, cóż to za zwyczaje? Wiedz, moja mała, że mnie podobni nie słyszą dwa razy podobnych rozkazów. I nie tak hodownej znów-eś skóry!

Robi młyńca szpadą dyamentową, wskakuje na siodło i leci w zaczarowaniu wschodzącego miesiąca, nie oglądając się za siebie; słychać, jak grucha tyrolską tkliwą śpiewkę; leci jak meteor, znika w kierunku światów wytwornych i łatwych.

O nocy nad biedną wyspą powszednią!.. Co za marzenie!

Andromeda stoi wciąż ze spuszczoną głową, oszołomiona przed widnokręgiem, magicznym widnokręgiem, który odrzuciła, którego nie mogła nie odrzucić, o bogowie, skoroście to wielkie dali jej serce!..

Idzie do Potwora, który leży ciągle w swym kącie, martwy, fioletowy, zflaczały, biedny, biedny. Wartoż było, zaiste!..

Jak dawniej, wyciąga mu się pod brodą, teraz martwą i którą podnosić musi, i otacza mu szyję ramionkami. Jeszcze ciepły. Ciekawa, unosi mu palcem powiekę, powieka odsłania gałkę przekłutą i opada. Rozsuwa kosmyki jego grzywy i liczy krwawe otwory, które zrobiła szkaradna szpada dyamentowa. I łzy przeszłości i przyszłości, łzy milczenia płyną jej z oczu. Jakże pięknem jednak było jeszcze to życie z nim na wyspie! I przesuwając mu machinalnie rękę po rzęsach, wspomina. Wspomina, jak dobrym był dla niej przyjacielem, skończonym *gentleman*'em, pomysłowym uczonym, poetą wymownym. I serduszko pęka jej w szlochach, i wije się cała pod martwą brodą Potwora, i ściska jego szyję, i zaklina go zapóźno.

— O, biedny, biedny Potworze! Czemużeś mi tego nie powiedział? Nie leżałbyś teraz zabity przez tego obrzydliwego bohatera z operetki. A ja sama wśród nocy! Mielibyśmy jeszcze piękne dni! Musiałeś przecie widzieć, że to było we mnie tylko kryzysem przejściowym, ta omdlałość i ta ciekawość fatalna. O ciekawości trzykroć zgubna! O! zabiłam swego przyjaciela, swego jedynego przyjaciela! swego ojca-karmiciela, swego nauczyciela. Jakiemiż lamentami rozdźwięczę teraz te brzegi nieczułe? Szlachetny Potwór, ostatnie jego słowa były dla mnie: — Żegnaj, Andromedo, kochałem cię, i nie bez przyszłości, gdybyś była chciała! — O, jak rozumiem teraz powagę twej wielkiej duszy! — i twe milczenia, i twe popołudnia, i wszystko! Zapóźno! zapóźno! Ale pewno tak rozkazali bogowie.

O bogowie sprawiedliwości, weźcie pół życia Andromedy, weźcie pół mego życia, a oddajcie mi jego życie, abym go miłowała i służyła mu odtąd wiernie i mile. O bogowie, uczyńcie to dla mnie, wy, którzy czytacie w mem sercu i wiecie, jak bardzo go w gruncie rzeczy kochałam, nawet w zaślepieniu przejściowych bzików dorastania, i że zawsze kochałam tylko jego i kochać go będę zawsze!

I szlachetna Andromeda przesuwa cudny rozkwit swych ust po zawartych powiekach Smoka. I nagle cofa się!

Gdyż oto na te słowa wyroczne, na te pocałunki wskrzeszające, Potwór drgnął, otwiera oczy, płacze w milczeniu i patrzy na nią... A potem mówi:

— Szlachetna Andromedo, dzięki ci. Czasy próby wypełnione. Ożywam i odrodzę się, jak przystało, by cię miłować i by nie było słowa ani chwili dla nazwania twego szczęścia. Ale dowiedz się, kim jestem i jakiem było moje przeznaczenie. Byłem z przeklętej rasy Kadmusa, Furyom oddanej! Głosiłem szyderskość nędzy bytu i boskość nicestwa w gajach Arkadyi. By mnie ukarać, bogowie życia zamienili mnie w Smoka i skazali na dozorowanie, pod tą postacią, skarbów ziemi, póki dziewica nie umiłuje mnie, Potwora, dla mnie samego. Jako Smok trójgłowy długo strzegłem naprzód jabłek złotych w ogrodzie Hesperyd; przyszedł Herkules i zamordował mnie. Potem przeszedłem do Kolchidy, gdzie miało wylądować Złote Runo. Na baranie złotorunym zbliżali się już Fryksus tebański i siostra jego Hella. Wyrocznia dała mi do zrozumienia, że Hella będzie dziewicą obiecaną. Ale utonęła w podróży, dając swe imię cieśninie Hellespontu (dowiedziałem się potem, że nie była bardzo ładna). I przyszli wówczas owi niesłychani Argonauci, jakich się już więcej nie zobaczy! Czasy przewspaniałe! Jazon był ich wodzem, za nim szedł Herkules, i przyjaciel jego Tezeusz,

i Orfeusz, który się przechwalał, że mnie swą lirą zaczaruje (a który miał później skończyć tak tragicznie), i dwaj Bliźniacy, Kastor, poskromiciel koni, i Polluks, zręczny w walce na pięście. Czasy zniknione!.. O, te biwaki i ognie, które rozpalali wieczorami! Zostałem wreszcie zabity przed tem Złotem Runem Świętego Grala, dzięki czarom Medei, płonącej bezrozumną miłością dla okazałego Jazona. I cykle rozpoczęły się nanowo, i poznałem Eteoklesa i Polynika, i zbożną Antygonę, i udoskonalenie broni, kładące kres czasom bohaterskim. A wreszcie, dziwną i gnębiącą Etyopię, i twego ojca, i ciebie szlachetna Andromedo, Andromedo od wszystkich piękniejsza, której zawdzięczam możność uczynienia cię tak szczęśliwą, że nie będzie słowa ni chwili dla nazwania twego szczęścia.

Po tych słowach cudotwórczych, Smok, nie krzyknąwszy nawet: baczność! — przeobraził się w młodziana doskonałej piękności. Wsparty o wejście groty, z zaczarowaniem pełni miesięcznej na ludzkiej swej skórze, mówi oto o przyszłości.

Andromeda nie śmie go poznać i, nieco odwrócona, uśmiecha się w próżnię, z jednem z tych promienień smutku, które następują u niej po niewytłomaczonych wyskokach (bo dusza jej zawsze tak prędko daje się zgnębić).

Ale trzeba żyć przecie i wyżyć to życie, choćby nam ono kazało zdziwieniem wielkie oczy otwierać u każdego drogi zakrętu.

Nazajutrz po tej nocy, rzeczywiście ślubnej, piroga została wydrążona w pniu drzewnym i spuszczona na morze.

Pożeglowali, unikając brzegów usianych kasynami. O podróży ślubna pod słońcem i gwiazdami!

I wylądowali trzeciego dnia w Etyopii, gdzie pano-

wał niepocieszony ojciec Andromedy (proszę sobie wystawić jego radość).

No, no, szanowny panie Amyot de l'Épinal, a toś nas wystrychnął ze swoją bajką! — zawołała księżniczka d'U. E. (nasuwając nieco szalu, gdyż ta przepyszna noc była chłodna). — A ja, com tak inaczej rozrządziła swem sercem w tej awanturze Perseusza i Andromedy! Już nawet nic nie powiem o trawestacyi tego biednego Perseusza. (Daruję to panu ze względu na mistrzostwo mego wizerunku, pochlebionego, rozumie się, na sposób antyczny, w rysach Andromedy). Ale rozwiązanie powieści! Cóż to jest ten Potwór, o którego się dotąd nikt nie troszczył? A potem, szanowny panie Amyot de l'Épinal, podnieś-no trochę oczy ku mapie nieba nocnego. Ta para mgławic, tu, przy *Kasyopei,* nie nazywa-ż się *Perseuszem i Andromedą,* podczas gdy, zupełnie w oddali, owa skrętna smuga gwiazd, o powierzchowności paryasa, jest konstelacyą *Smoka,* wegetującego między *Wielką* i *Małą Niedźwiedzicą,* swemi dwiema niemrawemi kumami?..

— Droga U..., to niczego nie dowodzi. Niebiosa są pogodne i konwencyonalne; tyleżby znaczyło powiedzieć, że oczy pani są poprostu ciemne (nie chciałabyś pani tego). Nie, gdyż, zkądinąd, niech pani spojrzy sama, tam przy *Lirze,* która jest moją konstelacyą, nie *Łabędź*-że to jest konstelacyą Lohengrina i ma kształt krzyża na pamiątkę Parsifala? A jednak przyzna pani, że ja i moja *Lira* nie mamy nic wspólnego z Lohengrinem i Parsifalem?

— To prawda, to parabolicznie prawda. Ale nie sposób nigdy spierać się z panem i nauczyć się czegoś.— No, wracajmy zatem napić się herbaty. Ah! à propos. A sens moralny? Zawsze zapominam o sensie moralnym.

— Oto jest:

Dziewczęta, mej powieści sens jest niezawodny.
Nim wzgardzicie biednym potworem,
Pomyślcie dwakroć nad tym utworem,
Gdzie z trojga najszczęśliwszym być — potwór był godny.

PRZEŁ. Marya Komornicka. Juliusz Laforgue.

Lycoperdon Giganteum.

I.

Pewien obywatel wiejski, po obiedzie codziennym, popił czarnej kawy, rozłożył gazetę codzienną i czytał, co następuje:

> ...„Sztuka i literatura niezdrowiem symbolów, chorobliwością ekstaz i nagiem odsłanianiem roznamiętnienia zabójczo działają na duszę, na wyobraźnię i na ideały, jak trucizna. Ojcowie rodzin powinni wziąć się za ręce i zabronić sztuki, która podkopuje wstyd, etykę i rodzinę. Obywatel, zamiast idealnie trawić, truje się tylko“...

— Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę. Nie miej pan o mnie strachu: już ja i tak dobrze trawię. Chcesz, żebym trawił lepiej? — to już nie wiem, coby to było?..

Postawiwszy to zagadnienie, obywatel znów popił kawy, umieścił oko na innej szpalcie i czytał:

> ...„Mury naszego miasta uszczęśliwił arcysympatyczny i miły gość. Jest nim sędziwy autor wielu natchnionych prawdziwem, gorącem ciepłem studyów, który obecnie, jak to nam z jego biurka wiadomo, zajmuje się przygotowywaniem obywatelskiej pracy p. t. „O bezzasadności przeceniania poezyi i artyzmu kosztem wiedzy i nauki“ ...

— Też ma nad czem pracować! — mruknął obywatel. — Ko-

chasz tak, panie, naukę, to zostań uczonym, a nie przeszkadzaj innemu, kto woli poezyę. Czemu nie ma być i poezyi, jeżeli dobra? Nie ja, to żona przeczyta i opowie mi... Coś psują się te gazety...

Dalej obywatel myśleć nie mógł, bo do pokoju wtargnęło jakieś indywiduum z wyuzdanie, trująco nagiemi łydkami i z cynicznym okrzykiem:

— A to Mania tatuńciowi wysypała tytoń!

Po tem zwiastowaniu, zanim obywatel, wiejskim obiadem pokojowo usposobiony, powziąć zdążył jakąkolwiek karzącą uchwałę, — bezpośrednio za posiadaczem nagich łydek, przybiegła i sama winowajczyni, z zabójczo grubemi, jak dwa powrósła pszenne, warkoczami, i zaczęła tatuńciowi po rżysku brody różowemi usteczkami namiętnie, kazirodczo grabić. Wskutek czego, tatuńcio względem stron, tak oskarżającej, jak i oskarżonej, zastosował rygor niezwłocznego wydalenia z granic pokoju, a zmiętoszoną temi wypadkami gazetę rozprostował i czytał:

> ...„Trudno w Europie o społeczeństwo, któreby posiadało taki dar obrzydzać sobie własną — z przeproszeniem — miskę i psuć sobie apetyt do koniecznej strawy codziennej. A jednak w tej misie codziennej bywają często kąski wcale smaczne i pożywne. Nie sądźcie, abym w obronie swojskich zacierek zamiast pasztetu, swojskich perkalików zamiast obcej nam wełny — żebym chciał pozbyć się „wyższego gustu.“ Nie, ale poco zaraz wydziwiać? Ty sobie, grymaśniku, znajdź jaki smaczny i pożywny kąsek, zjedz sobie rosołku, ćwikiełki, flaczków — z przeproszeniem — posil się we własnem korytku, a potem możesz sobie i pomarańczkę kupić i nawet sam po nią pojechać. Ale ty zaraz grymasisz: a gdzieindziej tak, a gdzieindziej owak, a to ja wolę nic nie jeść niż swojskie — z przeproszeniem — paskudztwo — mówisz?.. A fe! A to tylko źle wychowanym dzieciom zachciewa się czegoś innego, lepszego! To wam by się chciało w zimie majowego — z przeproszeniem — słonka, kiedy macie ciepły piecyk? A po co to? a na co to?“..

— O, tak mi, panie, pisz, to rozumiem! Flaki? — dobra rzecz!.. Ćwikła — mój klejnot, symbol zdrowia, z kruchym kawałkiem — pi, pi!.. Dobre i swojskie. O takiej mi sztuce pisz, a nie o jakichś tam faramuszkach...

Tu obywatel pochwałę swojskości narkotykiem cudzoziemskim, ale od czasu wojen krzyżowych unarodowionym, zalawszy, cmoknął i czytał:

> ...„Co się tu dziwić chłopu ciemnemu, skoro nawet inteligencya postępuje z cudzą własnością w sposób barbarzyński. Proszę tylko częściej bywać w gabinetach publicznych i przypatrzeć się lustrom, w których się rżnie brylantami, że do właściwego, obywatelskiego użycia są niezdatne“...

— Pięknie jucha stylizuje — rzekł obywatel: — ale czy lustra, czy gabinety, czy brylanty do użycia niezdatne? I to wyrażenie „obywatelskiego użycia“!.. Tak jakby obywatel już zawsze tylko używał. Jak obrodzi, to czemu nie? Na to człek haruje, żeby sobie mógł czasem pozwolić... A przyjdzie grad, powódź, susza, śnieć, zołzy, motylica, żona, kształcenie dzieci... ładne używanie! O tem byś, psiakość, napisał, że obywatelowi nie już używać, ale żyć nieraz trudno... Patrzcie, jaki mi rygorzysta! Na użycie obywateli będzie wymyślał!.. Rżną brylantami.. proszę — też powód do artykułu! Rżną, to niech rżną, to rzecz gospodarza... Zresztą... samiśmy rżnęli po pijanemu i nikogo o to głowa nie bolała, przeciwnie... Jaki mi Cyceron... te — Katon gabinetowy!.. Cóż tam jeszcze?

> ...„Dbałym o dobro publiczne przypominamy, że za trzy niespełna miesiące przypada dwudziestopięcioletni jubileusz sympatycznego naszego specyalisty od dłubania palcem w nosie ogółu, Amfibiusza Ogółoducha, który przez cały przeciąg swego zasłużonego pasma dni nie kaził prawdy marzeniem, i dorobiwszy się znacznej fortuny, nie przestał jednak jej przymnażać, służąc pod sztandarem ogólnego dobra. Komitet jubileuszowy projektuje, aby“...

W tem miejscu obywatel, oczytany tem wszystkiem i chwiejący się zlekka, wyszedł do ogrodu, dla przemijającej, aczkolwiek użytecznej i — powiedzmy nago — niezbędnej potrzeby. Tam gdy ze zmiętą gazetą za klombem smrodyniowym siedział, spojrzy w bok — aż tu coś okrągłego i bielutkiego wygląda z trawy. — Ki dyabeł?.. Kolano Fra... — nie, to, psiakość, purchawka niezawodnie... Tak. Ale urosła szelma!

Jakoż była to dziwnie, niesłychanie ogromna purchawka. Rozmiary jej uderzały jak sensacyjny wypadek, twardzizna jej pełna

była niewytłómaczonej jakiejś sprężystości wewnętrznej, białą wreszcie, jakby w śmietanie ubabraną i okrągłą wypukłość nadzwyczajnej tej istoty chciało się poprostu nakryć bodajby dłońmi: tak była naga, mimo całej swej niewiedzy grzechu.

Obywatel, jako posiadacz większej własności, poczuwając się do dbania o dobro krajowe tudzież o sławę rzeczy swojskich, którym, jak to świeżo był wyczytał, jacyś nieznani grymaśnicy przyganiają,—natychmiast kazał purchawkę zapakować w otręby, i w wielkiem pudle wysłał ją do redakcyi, z następującym listem:

Fetory Wielkie, d. 15 b. m. 1903 r.

Kochany Redaktorze!

Pamiętasz Redaktor, jak-eśmy to przy obchodzie jubileuszowych latek pewnego, dziś już w ziemi spoczywającego węgrzyna, ubolewali nad kiepskiem jeszcze u nas zamiłowaniem krajowych, powiększających narodową sławę, osobliwości. Choć od lat tylu, gazeta wasza, podnosząc i z obywatelskiego oświetlając stanowiska wszystkie zbrodnie, skandale i rarytety, gorąco w tym kierunku działa, przecie dotychczas nie mamy jeszcze własnego *panopticum*, że aż musi je zastępować sama wasza redakcya, zawalona i tak już innemi sprawami publicznego dobra. Posyłam obecnie purchawkę, urodzoną i wychowaną w mojem dominium, Fetory Wielkie. Urosła szelma, co? Zajmijcie się jej losem, bardzo proszę i polecam. Co można, to się dla kraju robi. Nie idzie mi o reklamę, ale kilka słów ciepłych od siebie możecie wydrukować. Przy sposobności, to tam tego ten... Co się też stało z ową, mającą kształt słonia rzodkwią, o której tyle mówiono w swoim czasie? Co porabia olbrzymi kartofel, który wam przed dwoma laty posłał mój sąsiad z Zafajdanówki? Pewno zniszczało to? A szkoda: jedno z drugiem — byłaby już kolekcyjka.

Rękojeść kochanemu Redaktorowi ściskam.

Sobiesław Ćwikła.

P.S. Nagadaj też tam Redaktor swojemu feljetoniście, który, zamiast o pilniejszych potrzebach krajowych pisać, wymyśla na zepsucie obywatelstwa. Nie wiem, czy ten sam, czy może inny — bo kto was tam po piórze rozpozna, wszyscy jednakowo piszecie — uskarża się, że my jedni w Europie najchętniej plujemy — z przeprosze-

niem — do własnej miski: a to, co on sam — a może to i nie on? — o obywatelstwie publikuje, to jak się nazywa? Nie plucież to?.. Że się nieraz, jak obrodzi, do miasta zajrzy i w gabinecie się butelczynie jednej i drugiej zalakowaną i odrutowaną łebetynę, jak to i sam Redaktor wiesz najlepiej, ukręci, to i cóż? Na to człowiek haruje, żeby sobie dwa - trzy razy do roku w zacnej kompanii wesoło (jak obrodzi) mógł pogadać. Ale to jeszcze nie racya, żeby jakiś tam fe - ljetonista społeczne artykuły z tego robił. Jak się coś podobnego jeszcze trafi, bo pomimo całą moją dla Redaktora przyjaźń, dalibóg przestanę was abonować.

Ćwikła.

II.

Zwykłym, ogólno - dziejowym trybem, po okresie legend, podań, bajek czarodziejskich i tym podobnych niewierutności, nastaje epoka czynów notaryalnych, protokułów historycznych, praw, prawd, zadań, celów i dni codziennych. Wyrosłszy z barbarzyńskich przywidzeń, nieokreślonego wrzenia i nierozsądnych zachcianek, które do dziś nas jeszcze u dzieci tak rażą i które za pośrednictwem urządzeń szkolnych usiłujemy z nich wykorzenić, — ludzkość doszła do zrównoważonego, trzeźwego szczęścia, i każdy, byleby był grzeczny, może je, niby placek, po „smacznym i pożywnym kawałku“ co dzień krajać i zjadać, nie dziwiąc się i od wszelkich nadzwyczajności będąc zabezpieczonym.

W dziedzinie stosunków zwierzęco - roślinnych, o ile te kojarzą się z ludzkiemi, rzecz ma się wprost odwrotnie. Istota zwierzęco - roślinna, skoro tylko przeszła realnie prawdziwy i historycznie wiarogodny czas wylęgu, potem wegetacyi słonecznej, następnie zdecydowaności swych kształtów, co właśnie było dla niej codziennem, powszedniem szczęściem, — wnet ją porywają w kołowrot swój tramwaje, gazety, przyrządy fotograficzne, reporterzy, jubileusze, samochody, rauty i kanały, to jest, wogóle rzeczy niezwykłe i oszołamiająco czarodziejskie.

Tak było i z purchawką. Jeszcze wczoraj, w dziewiczości nietkniętej, leżała na wydzierżawionem sadownikowi łożu z traw,

a dziś, pudrem z otrąb pokalana, zaczęła okres dziejów nadprzyrodzonych i bajecznych.

Gdy pudło z nią przybyło do redakcyi, odpakowaniem go zajął się naczelny *wywiadowca*, czyli wybadywacz tajemnic osobistych gwoli ich publicznemu ogłaszaniu. Z wyrazem ogólnie przyjętej uprzejmości, rozlanej na jego ciepłych licach, *wywiadywacz* otworzył pudełko, dopomógł purchawce wygrzebać się z otrąb, a gdy już okrągła i biała jej postać wyłoniła się w całej swojej nagości wiejskiej, otrzepał ją grzecznie i rzekł:

— Proszę siadać, pani będzie łaskawa... Czem mogę służyć? Może czarnej kawki? Tomasz!..

— Nie, dziękuję — rzekła purchawka z wysiłkiem. — Nieco wody, jeśli łaska, ale przegnojonej.

— Tomasz! — powtórzył sylf — skocz - no do pana Miłoskrobskiego po jutrzejszy feljeton o sztuce.

Woźny wybiegł szybko, ale wrócił powoli, stąpając noga za nogą, ponieważ niósł naczynie pełne feljetonu, który jeśliby rozlał, musiałby czyścić podłogę własnym nakładem.

— Podaj pani — rzekł *wybadywer*.

— A jakże *toto* pani będzie piła? — zagadnął Tomasz.

— Czy ja wiem? — szepnęła purchawka. — Tak daleko odbiegłam od natury... a raczej odwieziono mnie...

— Głupstwo natura! — wykrzyknął szef *zapytowców*. — Tomasz, skocz-no do gabinetu po narzędzie, co to go się używa przy niestrawnościach, wiesz... Zaostrzy się kanka, wkłuje w naskórek i *fertig*. Żywo!

I znów woźny wybiegł szybko, a wrócił powoli, niosąc z pewnem, widocznem uszanowaniem „glizdopompę," jak ją nazywał. Przy pomocy tego hydrauliczno - sanitarnego, lecz od czasu wojen krzyżowych unarodowionego, wynalazku, zaczęto w purchawkę wpompowywać feljeton, i niebawem treść onegoż udzieliła się jej co do litery. We wnętrzu wieśniaczki, niby w fonografie (od czasu wojen krzyżowych unarodowionym), zaczęły bulgotać, warczeć, seplenić jakieś ciepło - brzmiące słowa i wnet ułożyły się w takie myślowe *recitativo:*

> „Oddawna już uprawianie sztuki i poezyi uważane jest, nawet przez ludzi poważnych, za objaw nieszkodliwy. Co do nas, i my nie jesteśmy przeciwnikami tych dwóch niepoślednich bądź co bądź czynników cywilizacyjnych, ale, z naszego społecznego stanowiska rzecz biorąc, mu-

simy tu zrobić pewne i stanowcze poniekąd zastrzeżenie. Tak samo jak nauka nie powinna być nauką dla nauki, lecz dla wyrobienia sobie stanowiska, tak również i sztuka oraz poezya nie mogą być ani sztuką dla sztuki, ani poezyą dla poezyi, lecz jedynie i tylko dla uzyskania, dzięki im, posady społecznej z bujnie rozwiniętym dochodem. Niestety, przedstawiciele nowej, próżniaczej sztuki dla sztuki, są to ludzie niezdolni do żadnych posad, żyjący swem nędznem życiem, bez pożywnych i smacznych kąsków, obracający się w szeregu mar i wizyj, nie reagujący na żadne objawy życia społecznego, jak taniec, karty, rauty, klęski publiczne i operetka, lecz zajmujący się swojemi dekadentystycznościami i pesymizmem, który jest w poezyi do najwyższego stopnia deprymujący i przygnębiający; zamiast sztuki z okolicznościami bieżącemi związanej, zamiast ideałów zdrowych, smacznycb i pożywnych, upędzają się ci wykolejency za czczem, formalnem pięknem wyrazów, zapominając, że nawet żargonem można wyrazić szlachetne idee, zacne serce i prawy charakter. Wobec tego przypominamy ludziom dobrej woli ich obywatelski obowiązek i proponujemy zabronienie poetom używania pesymizmu, wprowadzenie zaś natomiast optymistycznych kierunków. I dopiero wtedy, zamiast nic nie dającej nam i niezrozumiałej sztuki dla sztuki, mielibyśmy sztukę swojską, ciepłą i przyzwoitą, a więc: w malarstwie — serdeczny oleodruk (NB. i tani), w poezyi — wesołą, zagrzewającą do pracy śpiewkę, w muzyce — dziarskiego mazura lub rzewną operę, a w rzeźbie — pełne naturalnego, panoptycznego realizmu postacie wielkich obywateli z wosku."

— Dobrze mi... — rzekła purchawka po zastrzyknięciu jej tych zapatrywań: — tak mi jakoś serce urosło...

— Pani będzie łaskawa się rozgościć — zachęcał *wywiedca*: — może tu na stole, a może na oknie, bardzo proszę... Jutro zdejmiemy z pani fotografijkę, a później może jubileusik?.. Ale co to pani?..

Purchawka nadzwyczajnie zbladła i naskórek jej powlókł się jakiemiś zielonkowatemi żyłkami.

— Gdzie tu u was... — szepnęła — gdzie tu u was zlew, spluwaczka lub... coś podobnego?..

— Co? Słabo pani? Mam nadzieję, że... Tomasz, zaprowadź panią!

I znów Tomasz wybiegł z purchawką bardzo śpiesznie, a wrócił powoli, prowadząc ją noga za nogą, ponieważ była nader osłabiona. Gdy cokolwiek przyszła do siebie, wódz *rozpytywaczów* podjął zawieszony wywiad.

— Cóż, przeszło?.. Więc ten... więc jubileusik?..

— Ach, wątpię — rzekła purchawka głosem cokolwiek raźniejszym: — jestem jeszcze taka młoda... mam dopiero tydzień...

— Głupstwo, proszę drogiej pani. Jutro się napisze, a pojutrze rzecz zrobiona. U mnie warszawiacy ot tu — na końcu pióra, jak żydy...

W tem miejscu właściciel piórnej potęgi obejrzał się starannie naokoło, a choć już nawet woźny wyszedł uprzątać po purchawce feljeton, i byli samowtór, — ostrożnie, na wszelki wypadek dodał:

— Z przeproszeniem, chciałem powiedzieć — kleksy...

— Niech pan nie przeprasza! — zawołała purchawka: — nie lubię żydów.

— Czy podobna? I zkąd pani może znać żydów, nie znając Warszawy?

— Ach, znam... W ogrodzie, na wsi, był sadownik z rodziną... zbierali same owoce, a purchawki gnietli.

— Pani jednak ocalała?

— Bo rosłam w pokrzywach. Żydzi boją się pokrzyw i lubią tylko rzeczy pożywne i zdatne na sprzedaż. A ja... na cóż ja im zdać się mogę?

— Głupstwo, kochana pani. Właśnie. Bo niema rzeczy tak podłych na ziemi, aby nie mogły stać się przydatnemi... to z Szekspira. Ho, ho! A od czegóż reklamka, ogłoszeńka? Cóżbyśmy robili, my, bez ogłoszeń o rzeczach na nic innego, prócz na ogłoszenia, niezdatnych?.. Ciepły artykulik, wzmianka prosta, później rozumowana, serdeczna, i *fertig*. O, druk wiele może! Czy wiesz, dziecko — daruj mi tę poufałość, ale mój wiek, pozycya... — czy wiesz, że, cokolwiek napiszę, wszystko idzie do druku i wszystko się czyta... nawet niektórzy wycinają sobie moje kawałki i chowają! Co?

— Dziwne — rzekła purchawka, nie wiedząc, jak ma się na to zapatrywać.

— Jakto dziwne? Raczej naturalne — krzyknął autor wycinanych kawałków.

— Naturalnie — zgodziła się purchawka, której było wszystko jedno. *Badawista* odczuł ten niedowład zajęcia purchawki i już

miał się zmartwić, gdy nowa fala *badawizmu* podniosła się w nim i zmyła poczynającą się przykrość.

— Tak, naturalnie — rzekł.—Otóż, wracając do rzeczy... o czem to właściwie?.. A jubileusik!.. Tydzień, powiadasz, dziecko, liczysz? Istotnie, to trochę za mało. Ale, możeby dzień jeden przewlec i wycięlibyśmy sobie oktawkę urodzin, hę?.. A propos, czy posiadasz jaki talent — powiedzmy — instrument?

— Nie rozumiem?

— Czy grasz na czemś rzniętem lub dętem?

— Ach, nie, nie gram. Mogę tylko puknąć, gdy mi kto na brzuch nastąpi, a i to nawet niezbyt głośno.

— Szkoda!.. Szkoda!.. Więc może masz jakie zaczęte prace, jakieś swoje notatki, uwagi o czemś, wszystko jedno jakie i o czem, byle to na coś wyglądało?..

— Uwagi?.. Hm, nie wiem... A może?.. Tak... miałabym, i nawet sporo, do powiedzenia o grzybach, liszajach, różnych pasorzytach roślinnych i drzewnych... i o żydach też, wie pan, na tym sadowniku oparte, bo słyszałam, że wszyscy żydzi do siebie podobni, i dość zbadać jednego...

— Purchawko!.. Swoje uwagi o żydach możesz schować, ale co do reszty — wybornie. Zrobimy z tego studyum heraldyczne, da się tytulik, przypuśćmy ten: „O stopniowem zjadaniu tarczy herbowych przez grzybek drzewny i przez liszaje. Próba krytycznego wywiadu.“ Co?

— Tytuł może za szumny?.. Ja tam tak sobie, bezpretensyonalnie, leżąc w pokrzywach... bez wywiadów, bez...

— A któż wie o tem, dziecko ty moje?.. U nas tu w mieście, co się czytelnikowi podda, w to wierzy, bo sam, uważasz, zajęty życiem codziennem, nie ma czasu na sprawdzanie i na ćwiczenie się w jakichś tam samoistnych opiniach... Więc zgoda na tytulik?

— Ostatecznie, wszystko mi jedno.

— *All right!* Jesteś wielka, moja mała. Jutro zaraz przedstawiam cię na zebraniu u baronostwa Joachimostwa Familienszternostwa. Poznasz najsympatyczniejszy salon. Bywa tam trochę arystokracyi, trochę literatury, trochę finansów, trochę ambasady... No, a w oczekiwaniu jutra, spocznij sobie tu na wystawie okiennej. Dla rozrywki, masz tu, oglądaj sobie, szczupłe ale własne muzeum codziennego życia. Oto masz: fotografie różnych obywateli miejscowych i obcych, pojedyńczo i w grupach; oto fotografia z zabawy publicznej, z jednej, z drugiej, z dziesiątej... reszta (pięć ósmych) kłosa-olbrzyma ze wsi Majętnice... fotografia dziewczyny z rybim

ogonem, zmarłej niedawno w Minotauryszkach na Litwie, tomik poezyj sympatycznego autora, którego właśnie popieramy... tabela loteryjna... masz, baw się do jutra.

III.

Noc. Jest już ta pora, o której nieścisłością byłoby rzec: późno, a nie można powiedzieć: wcześnie. Ogół obywateli, po wyczerpaniu zatrudnień gabinetowych, dodom wróciwszy, lubym już oddał się wczasom; już i gabinety nawet pozawierały wrzeciądzy swoich otwartość; już latarnik, z długiem jak włócznia gasidłem, bodąc latarnie i pozbawiając je ognia, przemknął zygzakowato od jednej ku drugiej; już mrok, o sobie zwątpiwszy, ustępował kurzliwemu bielidłu zorzy ulicznej... Tylko w redakcyi, która, wedle warunków prospektu, *światła nie gasić* obowiązana jest, palił się gaz i, aczkolwiek słabo, ale wszechnocnie walczył z ogólną miasta ciemnotą.

W gabinecie, w którym leżała purchawka, dyżurem nocnym zawiadował wywiadowca Ranoskrobski, drzemiąc i kiwając się nad stołem od depesz czyli na drutach robionych wiadomości. Drzemał, ale niekiedy budził się na turkot, zbyt nagle wyrwany z milczenia, lub na zbytni onegoż zastój, — budził się, poprawiał sobie pióro za uchem i znów „liczył żydów,“ którem to wyrażeniem matematycy oznaczają pewien objaw równowagi niestałej, występujący przy rozważaniu liczb nieskończonych. Ale i jego wreszcie zmogły wyziewy codziennej, nieustannej gazetliwości, schylił się do *infimum*, tak, że pióro jego z nad ucha zaczęło kłuć blok od notowania depesz, i z tego mizernego punktu oparcia korzystając, zasnął.

Naonczas, ze wszystkich w gabinecie będących kalendarzy: ściennych, ruchomych, do żdzierania, kalendarzy-premiów, kalendarzy wiecznych, biurkowych, informacyjnych, wywiadowczych, wybadaniowościowych, literackich, artystycznych, leczniczych, nieuleczalnych i innych, — powychodziły dni i zaczęły tańczyć jakiś waryacki, niecodzienny balet.

Purchawka, jako należąca do rzadkiej rodziny nieśpiących, czuwała, bo, chociażby nawet była do snu najpodatliwsza, sensacyjność wszakże dziewicy z rybim ogonem, któraby mogła i nieżywego ze snu otrzeźwić, podniecała ją do gapiostwa. Tak czy owak, pur-

chawka, z otwartemi jak najszerzej oczyma, wpatrywała się w bajeczne dla niej widowisko.

Wszystkie dni, pomimo ciągłych, rannych i wieczornych utarczek redakcyi z indywidualizmem, były odziane w odrębność charakteru, zachowania się i wyglądu zewnętrznego.

Poniedziałki — dni wałkoniowate, ociężałe po niedzielnem nadużyciu, posiniaczone, z powybijanemi zębami, z pooranym nosem, o zapłyniętych trunkiem oczach, i w wysusfalonym przyodziewku roboczym. Gęsto i flegmisto charkały. Niektóre gnębiła czkawka, a jeszcze inne wymiotowały flakami z ćwikłą i z pomarańczą.

— Spadłe z drzewa, gnijące owoce — pomyślała purchawka, odrywając od nich wzrok i gapiąc się dalej.

Wtorki — dni zdecydowanego czynu pożytkowościowego; dźwigały na krzepkich barkach „młot pracy," w tańcu nim groźne czyniąc wywijasy. Naprężone były i naładowane energią do tego stopnia, że niektóre aż pękały z mniejszym lub większym hukiem i fetorkiem. Napięcie to energii było im niezbędne, jako zapas na resztę tygodnia, przy końcu którego znów im ją maszynami rotacyjnemi wtłaczano; maszyny te, ideowcami zwane, prócz energii, jednocześnie, jako podnietę, wstrzykiwały wtorkom zgęszczoną rozkosz w postaci pełnej miski, kilku kobiet uwiedzionych z następstwami, kilku bez następstw, i jednej do założenia rodziny własnej, po nadwyrężeniu cudzych.

— Dziedzice — przemknęło przez myśl wieśniaczki, i na chwilę ogarnęła ją obywatelska wdzięczność ku Ćwikle.

Środy — ciche, średnie pracownice, do środka tygodnia wgniecione, z dwóch boków otłukane, do poniżeń i terań wszelkich przywykłe, pochylone, brzemienne rezygnacyą i włożoną na nie przez społeczeństwo odpowiedzialnością za nierobaczywy stan potomstwa; niektóre wigilijne, z postem, twarz miały chorobliwie mizerną, ale mimo to uśmiechały się, skacząc pod musem batutników.

— Zupełnie jak gruszki, przy owocobraniu otłukane i trzęsione, — rzekła do siebie purchawka.

Czwartki — bezmyślni najmici do ślepego wykonywania rozkazów, nader cenni jako woły robocze, które, prócz orki, jeszcze zmuszone są hodować mięso na ucztę swym najemcom, ale dostają za to podwyżki, sochy nowe i uprząż, a nieraz i klapnięcia pieszczotliwe, na wydajność sił korzystnie wpływające. Tańczyły powoli, pracowicie i bez wdzięku, wtorkom właściwego; pot im przeciekał przez trykoty na zgięciach powypychane i naokoło goleni obwisłe nakształt obwarzanków; łby miały pospuszczane.

— A to znów będą krowy i woły: chodzą tak niemrawo, że tylko patrzeć, jak który nadepnie.

Piątki — dni wstrzemięźliwości rytualnej, suche, brzydkie, chude, rumieniące się na widok mięsa, sztywnie skromne, wstydliwe przesadnie i robiące plotki na sztukę piękną z mięsem nagiem; każdy piątek był zaopatrzony w liść figowy, na znak prześladowania nieprzyzwoitości, w brzytwę do golenia zaobfitych i nieumiarkowanie bujnych włosów, i w nożyce do wycinania miejsc niemoralnych. Tańczyły z rękami skrzyżowanemi na piersiach i ze schowanemi w głąb' nieetycznemi środkami ciała.

— Ależ te piątki są na nic zepsute — znalazła purchawka, gdyż dla niej zepsuć się — znaczyło wyschnąć.

Soboty — przepracowane łachmaniarki, w sukniach wyszarzanych, pomiętych, brudnych, gorączkową nadzieją wypoczęcia i zamożności wstrzymywane od upadku; niektóre, słabsze, znieść pracy tygodniowej niezdolne, w oczekiwaniu jutra niedzielnego, porozpuszczały już włosy, ubiór i obyczajność, i tańczą wściekle, w niedbałych, bezwstydnych pozach, z nieprzytomną biernością ulicznych nierządnic i z jednem, jedynem, czujnem i czynnem pragnieniem zysku.

— Podobne do sadownika i pachciarza: nędzne to, ale chciwie zbiera owoce i nie ceni trawy, ani powabu listka, ani wdzięku purchawek...

Niedziele — kobiety już całkiem rozpustne, do wszelkich mięs rozgrzeszone, społecznym światowościom oddane, do zabaw należące publicznych, prywatnych i ściśle gabinetowych, w dobranem kółku z niewielu, najwyżej dwóch - trzech ogniw złożonem, i przy drzwiach zamkniętych. Postrojone były w jedwabie i koronki, najprzeróżniejszemi woniami skropione i mieniące się od klejnotów. Ich taniec był pozornie bez brykań, bez łamania się w pasach, bez drgawek bioder i bez sięgania sobie paluszkami nóg do czoła; ale postawą, oczyma, ruchem ogółu linij oraz jakiemś takiem milczącem przystaniem na najnieprzystojniejsze zamiary i cele, doprowadzały tancerzów swych do wyłażenia ze skóry czyli z trykotów, i do roztaczania przed niemi najgorętszych mimicznych zakochaności.

— A to znów niby motyle, takie ładne i różnobarwne — szepnęła purchawka, czując w sobie napływ nostalgii za rodzinnym ogrodem... — motyle, gonione przez dziedzicowe dzieci... I niewiadomo, co ładniejsze: czy te motyle do fruwających listków podobne, czy ta dziedzicówna ze słomianemi, kłopotliwie dużemi warkoczami i z bratem o czerwonych, podrapanych łydkach, za nią biegającym. Żeby jeno nie zapędzili się pod kierz i nie zgnietli... Szczęśliwe —

one: sadownikowi nie wolno ich deptać, a pewno i pachciarz ma to zabronione... Czemu sadownicy tak nie lubią purchawek? Pewnie dlatego, że tacy brudni i czarni, a one — białe... Raz, gdy dziedzicównie zdarzyło się upaść tuż przy jej krzaku, widziała białą spódniczkę i bielsze a może tylko żywsze ciało dziewczynki, i porównała je z białością swoją: była bielsza ona, purchawka... Dziedzic, ten na niej umiał się poznać i przysłał do miasta. Czy to lepiej?.. Żal jej wsi, ale tam nie dziś to jutro by ją zdeptali, a tu poznała się z grzecznym panem i wykształconym jakimś... Sławę jej zapowiedział... Cudowności tu można oglądać... A co do owoców... innych, prócz kłosa zniszczonego i dziewczyny z rybim ogonem, nie widać, ale pewno gdzieś być muszą, bo gdzie owoce tam i żydzi, a tych tu pono nie brak, przynajmniej ze słów grzecznego pana to widać... Tylko muszą być dla purchawek lepsi od sadowników: inaczej grzeczny pan nie obiecywałby ich poparcia...

Balet tańczył. Na tle siedmiorakich dni tygodnia odrzynał się kierowniczy sztab dygnitaryatu: baletmistrze, pracobiorcy, tancmajstrzy, batutowcy, dyrygenci, wskaziciele, reżyserzy i obyczajnościowo - pięknościowościowi krytycy.

Role tych najważniejszych w balecie osób odgrywane były przez wszystkie doroczne festyny okolicznościowe, jako to: jubileusze (z mów deklamacyjnością, ze szlachtowaniem stu byków, z ogniem bengalskim, z urostem serc i z notaryalnem uznaniem); składkowe obchody (z truflami, majonezem, „pomarańczami,“ ostrygami i ze złożeniem srebrnej papierośnicy); rocznice (z nawałem powinszowań, całujących warg, opłyniętych dostojeństwem lic, uwłosień posiwiałych pod brzemieniem zasług i gorącego ciepła); imieniny (z laurkami dzieci, z wystawnym obiadem, z dopuszczeniem biednych ciotek, z popisami kuzynków, z win nadużyciem, z tańcami i z potajemnem rzyganiem); oktawy (z tłustemi środkami matron, z prawicami poetów okolicznościowościowych, krytyków społecznościowościowych i wywiadowców pięknościowościowych); kommemoracye czyli przypominki zasług „niezapomnianych“ (z wydaniem dzieł na korzyść wydawców i z fundacyami na chwałę inicyatorów); zebrania kawalerskie (z kawalerkami, z opowiadaniem anegdot nieprawdopodobnie ożywiających, z jałmużniczem potrącaniem historyi oraz literatury, z poezyą pornokryficzną, z pijackiem żądaniem wskazań etycznych i z rzyganiem jawnem); tłumne zbiegowiska (z gnieceniem żeber, z rozdeptywaniem dzieci i nagniotków, z obrywaniem pół i całości, z wyrzucaniem kapeluszy, z puszczaniem i chwytaniem wianków)...

Dni te przewódcze, z dawien dawna zasobnemu i wylewne-

mu poświęcone weselu, ale na trzeźwo pełne godności i uroczystego namaszczenia, teraz, wziąwszy się pod boki, naczelnikowały, każąc dniom codziennym zwijać się i starać, popędzały je, nagliły i stosowały do nich różne imperatywy, do harców i kołowań podniecające.

Muzykę do tego baletu świąteczno - codziennego stanowiło brzęczenie szyb okiennych, turkot uliczny, łomot maszyn rotacyjnych, stukot zegarów i chrapanie dyżur mającego wywiednika, który jednakże budził się czasem i poprawiwszy pióro, z za ucha mu wypadłe, znów brał się do liczenia żydów, ślepy i głuchy na wszelką fantastyczność dziwaczną i niepożywną.

A purchawce, choć purchawki nie sypiają, zdawało się, że śni — tyle to widowisko nocno - ranne miało w sobie stron niewytłómaczonych, ani w porównaniu z cichym bytem wsi, ani nawet przy zestawieniu z życiem miejskiem, przynajmniej z tem, które poznała dotąd, — życiem w takie nadzwyczajności zasobnem, jak dziewica z rybiem przedłużeniem chrząstki ogonowej.

— Rrrrrrrrond! — krzyczeli odświętni wodzirejowie. — *Tour des jours!* — *A demain!* — *Travaillez!* — *Journaillez!* — *Avancez!* — *Saluez vos patrons!* — *Aboyez contre la lune!* — *Taisez - vous!* — *A deux pattes!..*

Brzęczały szyby, turkot dolatywał z ulic, huczały maszyny rotacyjne... A niekiedy wszystko cichło. Wówczas wielki redakcyjny czasomierz z wyrachowaną tendencyą i taktem cykał: tek - tak! tek - tak! tek - tak!

Fantasmagorya ta, ku zachwytowi purchawki, trwała w najlepsze, gdy wtem, z przestrzeni zaokiennej rozległ się donośny, rozkazujący gwizd, jeden, drugi, trzeci... dziesiąty... a w gwiździe tym najwyraźniej słychać było wyraz: s - iiiiii - ła!

I musiało zawierać to gwizdane hasło jakąś potęgę, skoro na wrzask jego ostrego wycia, rozpląsany, rozkołowany balet, nagle, jak gdyby go przekłuto, zamarł, oddał powietrzu redakcyjnemu tchnienie i wrócił do swoich służbowych w kalendarzu przeznaczeń.

Na mieście było już widno. Turkot wzmógł się. Gwizdały fabryki... Purchawka widziała przez okno, jak w zasusfalonych, obwarzankowato zwisających ubraniach szły gromadkami niewyspane, gorączkowo śpieszące się, ze sterczącemi w kieszeniach lub niesionemi blaszankami — czwartki. Szły one w kierunku tkwiących za miastem, jak olbrzymie włócznie, kominów fabrycznych, które dymiły i dymami zagaszały młode, zorzane niebo.

Zbudził się i Ranoskrobski, ziewnął, podszedł do ściany, zdarł z kalendarza *wczoraj* i rzucił je w kosz redakcyjny, jako rzecz na nic już nieprzydatną, prócz chyba na wspominki, oktawy i rocznice.

W miasto wszedł *dzień dzisiejszy*, zastosowany do wszelkich wymagań „społecznej“ sztuki miejskiej. Więc niebo było chwilami całkiem pozbawione pesymizmu, a jeżeli napływały jakie chmurki, to nieliczne i, z najwidoczniejszem zaznaczaniem swych pogodnych dążeń, przybierały układ skromny, bez wyskoków, bez cudacznych symbolów i alegoryj, bez „wypotworniania“ form zwykle używanych, i o kolorycie najbardziej przechodzonym — asfaltowym. Co do słońca — trzymało się ono ściśle wskazań ustopniowanych ciepło - metrów, zdrowych, nie zwyrodniałych jeszcze, z pospolitym, przez wszystkich już przyjętym zasobem rtęci i próżni. Drzewa nawet, gwoli nadaniu im cech uspołecznienia, były przycięte, odrutowane i powleczone szarym kurzem, snadź dla zatarcia barw żywszych, mogących coś wyrażać; natomiast wszystkie były piętnowane, ażeby się im nazawsze odechciało jakichś modernistycznych odświeżań. Takie same piętna powyciskane były na kamienicach, na dniach w kalendarzu i na numerach gazety, a to gwoli trwalszemu urostowi obywatelskich optymizmów.

Takim to dniem porządnym, jakoteż *białością* kawy rannej, ogół, do wielkich, o szerokim oddechu, wzruszeń moralnych usposobiony, czytał:

> ... „*Olbrzymia purchawka.* (Oddech pierwszy, zapowiedni).
> W oknie kantoru *głównego naszego pisma* pomieściliśmy olbrzymich rozmiarów purchawkę — *Lycoperdon giganteum.* (Oddech drugi — budzicielski, trzeci — ciekawościowy, i czwarty — zdumieniowy).
> Wyrosła ona w majętności JW. Ćwikły, Fetory Wielkie. (Oddech piąty—pamięciochłonny, i szósty — swojsko - dumnościowy).
> Purchawka ta wyrosła przed tygodniem w ogrodzie. (Oddech siódmy — genetyczny).
> Tamże można dostać buraków ćwikłowych na ***hurt*** i na *detal.* (Oddech ósmy — oktawa).

Skoro wzmianki tej doniosłość przeniknęła w obywatelstwo — a przeniknęła szybciej, niźli spożyta, łącznie z zakąskami, kawa podniecająco - zdawczy swój odbywa przebieg,—natychmiast ku redakcyj-

nemu oknu zaczęły się pochody z wyrzucaniem czapek, z urywaniem falban i pół, z gnieceniem i chrzęstem całości spódnic, jakoteż z rozdeptywaniem dzieci. Drąg z mosiądzu, aczkolwiek dętego, wszelako dość stanowczą kładł tamę przed naciskiem rzeszy; inaczej obywatelowi, pilniej wglądającemu w bieg wypadków, trudno byłoby ustrzedz się złowróżbnych przewidywań co do niezbitości szyby okiennej, na której i tak już jakiś ulicznik, z ciżby korzystając, wyrżnął brylantem ten zagadkowy i niewiadomo co oznaczać mający dwumian: „Pukawka Warszawska.“

(Dokończenie.) Jan Lemański.

GLOSSY.

Rozstrojowcy i zamętowcy. Niezmiernie leniwo odbywa się u nas przewrót w poglądach na twórczość artystystyczną, na literaturę i sztukę. Wprawdzie już nikt nie zastanawia się nad tem dyabelnie trudnem zagadnieniem, poco istnieje poezya i rychło - li zaniknie zupełnie ten szczątkowy zabytek średniowieczny. Wprawdzie trzeba przyznać, iż Brandes nawet u nas zostałby wyśmiany, gdyby znów wyruszył w pole przeciw powieści historycznej. Lecz, że sztuka jest skarbcem najcenniejszych klejnotów kultury ludzkiej, że istotnie może otwierać nowe dale i ukazywać nieznane tajemnice, że może rozpłomieniać i krzepić mdlejące Życie, że może wyszczytniać i koić dusze ludzkie: — o tem po dziś dzień żadnemu człowiekowi „rozsądnemu i poważnemu" ani się nie śni.

„Stara, dobra szkoła" w dalszym ciągu gorliwie stosuje sztukę do przemysłu, zalewając strugami mdłej wody kolumny tygodników; grassanci felietonowi w rodzaju A. Gruszeckiego lub W. Gąsiorowskiego pracowicie zapełniają nienasycone odcinki pism codziennych; w prasie warszawskiej obchodzono solennie uroczystość setnego przedstawienia „Wicka i Wacka"; ilość „nawróconych," którzy się wyrzekają „dekadentyzmu" i wszystkich spraw jego, wzrasta powoli, lecz statecznie; a wiecznie czujni reporterzy, którzy, jak żórawie, aby nie usnąć, dzierżą kamień w... ręku, nieustannie ostrzegają wiejskie dwory i miejskie zaułki przed „anarchią, oraz rozkładem w życiu i literaturze."

Po stronie przeciwnej, dokoła nielicznej garstki idących samopas twórców-samotników, tłoczy się ciżba pstra i wielce różnorodna. Zda się, jakgdyby starożytny Pan ocknął się ze snu i graniem na swej fletni zniewolił ją do pląsów. Przodem idą ludzie o dużych, niekiedy wprost potężnych talentach, lecz niezawsze świadomi dróg swoich i pewni swoich celów. Za nimi przewala się tabor ciurów, arlekinów, strojnych w cudze piórka, snobów, kabotynów, żądnych rozgłosu za każdą cenę, grafomanów, poławiających „nastroje,“ jak śledzie ciągnące ławą, tudzież erotomanów, którym się zdaje, iż najlepszem przygotowaniem do twórczości jest dokładne wtajemniczenie się we wszystkie *arcana* Venus Vulgivagi. Ścierają się pokątne zawiści i małostkowe ambicyjki; walczy się złośliwostką, a nawet paszkwilem; dziś obwołuje się wodzem swym Wyspiańskiego, jutro przysięga się na imię Kasprowicza, a pojutrze miłuje się Żeromskiego; napełnia się kawiarnie stronniczą wrzawą, od której więdną boskie uszy Pana; wędruje się z „modernistycznemi odczytami o podkładzie wybitnie swojskim“ od miasteczka do miasteczka, a gdy się dusza rozkołysze i roześni, marzy się o idealnych *tingel-tanglach*, w których, ku uciesze, tudzież zbudowaniu P. T. gawiedzi, będzie się dymiło na złotej misie ociekające świeżą krwią serce ludzkości.

Poza tem „tworzy się“ bez wytchnienia, bez miary i końca. „Nowa sztuka“ staje się tak samo przedmiotem handlu, jak wszystko inne. Dla miłego grosza bezcześci się lichemi przekładami arcydzieła obce — (nawet „młodzieńcy z pism codziennych“ powołują się już na Baudelaire'a, nawet nasze „panny Rachele“ czytują już Poe'go) — i pisze się powieści, w których — o, zgrozo! — nawet psi zaglądają ze wstrętem do wilczych dołów swych sumień, skomląc żałośnie z jurności i tęsknoty. W pościgu za jednodniowym rozgłosem kleci się mozolnie rozmaite jasełka i misterye, zawodzi się fałszywie inkantacye do absolutu, wystawia się dramaty, ziejące przejaskrawioną pstrocizną, albo na zmianę niemal nudniejsze od „Kajetana Oruga,“ i wydaje się — wydaje pośpiesznie „zbiorki,“ „tomiki“ i „serye“ — koniecznie z portretem autora.

O skupieniu się, pogłębieniu, oraz tem duchowem dostojeństwie, które szczeremu twórcy każe przedewszystkiem przestrzegać własnej samodzielności i nie sięgać po nieswoje myśli, czy uczucia, niema mowy. Mniej wybredni, a może jeno więcej naiwni czerpią bez skrupułu ze Słowackiego, tudzież polskich poetów współczesnych. Inni, przebieglejsi i więcej oczytani, „zapożyczają się“ do najdrobniejszych szczegółów u mistyków średniowiecznych, u mało u nas znanych poetów romantycznych niemieckich, lub u naj-

nowszych, a więc jeszcze nieznanych, pisarzy francuskich. Nietzsche i Maeterlinck dostarczają pięknych zwrotów, Ibsen wątku do dramatów. W ten sposób w purpurę cudzej chwały przyobleka się własną pustkę i małość.

Do niedawna wyczuwano wszędzie *odeur de la femme*, obecnie nawet nad kuryerkami unosi się *odeur de l'éternité*. Sprośne fauny poufalą się z nieskończonością, baraniogłowe satyry stają na straży świętego Graala i wyciągają plugawe łapy po złote jabłka Hesperyd. Symbole, pełne wielkiej grozy i nieogarnionej tajemnicy, przechodząc z rąk do rąk jarmarcznych przekupniów, wytarły się, jak pieniądz, na którym ongi widniało wyobrażenie Króla - Ducha. Aby osiągnąć pozory oryginalności, rozluźnia się i rozwichrza złotogłowie najszlachetniejszych form poetyckich, mąci się niezdarnie kryształne przezrocza prozy, „wali się pięściami we wrota wieczności," wrzeszczy się, zamiast mówić. Dla „szerszych kół czytelników" ma to do złudzenia naśladować żywiołową bujność, tudzież nieokiełznaną moc twórczego ducha. Atoli przedewszystkiem do twórczości dają się zastosować słowa Goethe'go: *Alles, was unsren Geist befreit, ohne uns Herrschaft über uns selbst zu geben, ist verderblich.*

Co prawda, pewien wybitny pisarz wyświecił niedawno „PANA Wolfganga von Goethe" publicznie z Warszawy i wysłał go na Olimp między „Hofraty." I słusznie mu uczynił. Bowiem ów banita w niepojętem zaślepieniu śmiał „smażyć sobie mózg nad teoryą barw, a swojemi pseudo - klasycznemi, ckliwo - pasterskiemi poglądami na świat Hellady spaczył drogę geniuszu Schillera." (Dziwnie wątły geniusz, skoro dał się innemu spaczyć; lecz to drobnostka). Co gorsza, zuchwale hołdował „tak zwanemu klasycyzmowi, to znaczy: duchowi codziennej powszedniości, praktycznego rozumu, praktycznych ideałów i rzeczywistości," a zgoła nie przeczuł i nie uczcił „nagiej duszy," którą o c z y w i ś c i e wieścił Mickiewicz w *Collège de France*, o której — r z e c z w i a d o m a — marzył Plato, do której n i e w ą t p l i w i e tęsknili Novalis i Słowacki. Zwarty zastęp tych „romantyków" ze wzruszającą gotowością dopomagał owemu pisarzowi do wyświecenia „Hofrata" z murów grodzkich.

Przytoczyliśmy ten zabawny epizod na dowód, jak znikomo objawiają się nieraz dążenia do nieznikomości. Z tołstojowskim fanatyzmem odtrąca się precz naukę i nieoględnie zrywa z wielkiemi tradycyami kultury, zapominając, iż „zabójczą i samobójczą jest literatura, gdy przestanie iść naprzód w jednym rzędzie z wiedzą i filozofią." (Baudelaire).

Dla nas artysta winien być przedewszystkiem duszą „wiecznie

w sobie pracującą," która tworzy z tą samą przedwieczną koniecznością, z jaką wirują po swych koliskach ognie niebieskie. Wszystko inne jest obojętne i nieistotne, nawet „moralność dzieła sztuki", bo *jedes Kunstwerk hat seine Moral, aber diese Moral hängt von dem ab, der sie zieht* (Hegel). Lecz ta dusza sprzeniewierza się sobie samej, gdy dla poklasku, szczęścia, sławy, lub jakichkolwiek innych pobudek zatrzyma się w pędzie, gdy przestanie: *non fumum ex fulgure, sed ex fumo dare lucem.*

Impotenci uwielbienia. Dążenie do doskonałości jest żywiołem cennym — zawsze, nawet gdy nieświadome, zbłąkane, zwichnięte, — nawet w opłakanych parodyach szczątkowości, zwyrodnienia, lub perwersyjności. Oznacza ono bowiem niezmiennie istnienie w gromadzie lub jednostce ŻYCIA, tego źródła wszelkiej możliwości, zatem i *dobra,* — w przeciwieństwie do MARTWOTY, która jest brakiem wszelkiej możliwości, czyli brakiem możliwości dobra, czyli, zatem, zasadniczem *złem.*

Oznacza ono coś więcej jeszcze: poczucie mniej lub więcej głuche czy bystre ideału; posiadanie w stanie mniej lub więcej szczątkowym czy żywotnym, owej *busoli wewnętrznej,* zwróconej ku magnetycznemu biegunowi Ducha, o której wspomina autor głośnej *Trilby* w swym *Marsyaninie,* busoli, która swych pilnych badaczy wiedzie nieomylnie do mądrości, gnuśnym swym posiadaczom zasnąć nie daje wedle życzeń w roskosznym gaju zadowolonego głupstwa, a rozespanych wodzi jak baśniowy chochoł po naprzemian uciesznych i żałosnych wertepach „komedyi pomyłek". — Do tej ostatniej zaliczają się wszystkie niecierpliwe potykania się w ciemności i Grabcowe awantury, wszelkie także blagi, pozy, obłudy (te „hołdy mimowolne przed cnotą"), utajone bezsilne wściekłości i demonstracyjne tony lekceważeń i zamilczeń... wszelkie, jednem słowem, świerzby, kłucia i konwulsye *fałszywej ambicyi.*

Na mocy powyższego, cennem przeto nazwiemy dążenie do doskonałości, ujawniane przez pewną kategoryę „krytyków" i „przodowników" opinii estetycznej...

Wprawdzie zarzucą nam na samym wstępie bujną co do tej w nich dążności imaginacyę... Zarzut odeprzeć łatwo. Wsłuchajcie się tylko bacznie w ducha naszych koncertów krytycznych... leitmotivem ich (po za ubocznemi tematami natury mniej szlachetnej) ukaże się nieodmiennie, żadnemi waryacyami stłumić się nie dająca, zwycięzka melodya *fałszywej ambicyi.*

Ah, zaiste, ambitna jest nasza krytyka, a ta ambicya znajduje swój pełny wyraz — W POZIE KRYTYCYZMU.

Jak wszelka poza, jest i ta niewolniczem naśladownictwem pewnego *szablonu* idealnego, — w przeciwieństwie do szczerej (że użyjemy tu terminologii Peladan'a) „*autodydakcyi*," której przyświeca *autoprototyp* żywy, indywidualny i, w miarę wewnętrznego rozwoju samotwórcy, rozwijający się w piękność, moc, wyrazistość. — Szablon władający wyobraźnią naszych krytyków jest mętną, chaotyczną wizyą *absolutnego ZNAWSTWA*, którą — niechaj im to w braku istotniejszych zasług policzonem będzie za zasługę, — starają się wcielić w siebie, w sobie urzeczywistnić. — Usiłowaniom tym możnaby tylko przyklasnąć, gdyby nie niwecząca ich rdzeń żywotny okoliczność, że skierowane są jedynie ku zdobyciu pozorów onego znawstwa — oraz wiary tłumu w tych ostatnich rzetelność. — Niepomna Sokratesowego na skuteczność blagi przepisu, — a ze znanej maksymy o mozołach sztuki a krótkości życia wyciągnąwszy tylko wniosek cyniczny, — krytyka owa obrała drogę realizacyi w jej mniemaniu najskuteczniejszą, — drogę prostackiego udawania i przejrzystej hypokryzyi. — Zbyt gnuśna, by nawet w przewodniego szablonu spojrzeć głąb' istotną, zanotowała po reportersku jego uchwytne dla niej cechy, — poczem, wedle tego patronu, jak małomiasteczkowy elegant, naśladujący stołecznych bywalców, skroiła sobie swój fason krytyczny...

Chcąc w jednym, górującym rysie streścić ów szyk krytyczny naszej parafii, powiemy, że dostojne to grono żywcem przeniosło do piśmiennictwa modne, podobno, chwianie się na nogach współczesnej „złotej" młodzieży *). — Zowie się to w gwarze przyzwoitości wszechdoświadczeniem, przesytem, zblazowaniem, — *nil admirari.*

PRECZ Z UWIELBIENIEM! — Oto zasadnicze przykazanie, oto najwyższy przepis dobrego tonu, oto kamień węgielny gmachu głupstwa, gwałtu i znieważeń, wznoszonego dzień za dniem przez mniej lub więcej świadome, jadowite i sprawne pióra.

Zkąd to hasło? — Wyrywa się ono głosem dynamicznych stwierdzeń z szeroko w społeczeństwie rozkrzewionego mniemania, że UWIELBIENIE PONIŻA.

Jakim sposobem ta najwyższa, najczystsza, anielska potęga duszy ludzkiej, ta święta strażniczka najtajniejszych przybytków

---

*) Znamienna ta solidarność *stempla duchowego* wśród różnych kół jednoczesnego społeczeństwa otwiera nieprzejrzane perspektywy, w które jednak zapuszczać się tu nie możemy.

Piękna mogła się w oczach otumanionych okryć hańbą? — Szukając przyczyn tego potwornego zjawiska, trafiamy już nie na jedno, ale na cały system źródeł, źródeł mętnych, nędznych, utworzonych przez ogólne już i chroniczne wyziewy i opady zdziczałego, znieprawionego, „ginącego świata.“

Więc naprzód, oto smok PRÓŻNOŚCI, ten zwyrodniały potomek DUMY; próżność, która jest gnuśnem łakomstwem zaszczytów bez zasługi, tryumfów bez mozołu, i która — wobec fatalnego prędzej czy później fiasca wygodniejszych od szczerego trudu intryg, matactw, manewrów protekcyjnych — przegniwa w złożądną, gorzką, nędzną *zawiść* dla zwycięstwa wartości rzetelnej. — Otóż uwielbienie, będące boską roskoszą serc prawych, zamienia się zazdrosnym w rózgę tortury, zdolną tylko rozwścieklać pożerającego ich węża pożądliwości bezsilnej.

Powtóre, oto zbiorowa atmosfera wielu takich indywidualnych, rannych próżności, wrogich sobie w zasadzie, lecz solidaryzujących się z tajemniczą logiką wobec wspólnego niebezpieczeństwa, odczutego w zjawieniu się ISTOTNEJ WARTOŚCI. — Wzajemne wobec niej krzepienie się lekceważeniem, szyderstwem, tanim dowcipem, wytwarzanie kłamnej suggestyi zbiorowej, która się ma przeciwstawić oczywistej prawdzie.

Potrzecie, tych próżności błahe i przekrętne zapatrywania na punkt widzenia i zadanie krytyki. Zupełna niewiedza jej istotnego posłannictwa, którem jest gruntowanie Królestwa Piękna na ziemi, zwiastowanie tłumom Piękna w dziełach zawartego, zaś ich twórcom — nowych tego Piękna ziarn potęgi, wsianych często bezświadomie w miazgę już świadomą. — Ale aby pojąć niesłychaną, jedynie istotną wagę tego wprost świętego wobec ludzkości *obowiązku krytyka*, trzeba go przedewszystkiem zrozumieć względem siebie, trzeba duszę swą uwolnić od wszelkich rop nałogowego myślenia, czucia, pozy, poddać ją pod wielki, ożywczy wicher bezpośrednich wzruszeń, szczerego odczucia, stać się na piękno wrażliwym, oczy otworzyć na bezmierne jego krainy, *wiedzieć, że krainy te istnieją*. A o tem właśnie nie wiedzą owi „krytycy.“

Obowiązek pozytywny jest dla nich martwą literą. — Obowiązek negatywny — augiaszowy — biorą za całość zadania, — i otumanieni złą wolą i lenistwem, przecudacznili go tak nieprawdopodobnie, że oddane im stajnie oczyszczają z koni, a zapełniają uroczyście nawozem...

Rozległość erudycyi, obowiązującą krytyka, przepojęcili w swych gnuśnych, fuszerujących mózgownicach na komunał, że „niemasz

nic nowego pod słońcem;" — *bezstronność wszechwrażliwości, wszechsympatyi* — na tępość zobojętnienia; — bystrość rozróżnienia — na polowanie, łowienie błędów przez nierzetelnego belfra w ćwiczeniu egzaminowanego; — niezbędność szczytnego punktu objęcia — na ganienie, lekceważenie, podeptanie, gramolenie się w jakibądź sposób, choćby na brzuchu i czworakach, na wierzch zmiętego, znieważonego, spotwarzonego dzieła, — by z tej rzekomej wyniosłości opluć je ględzeniem bez związku, lub przebiegle oślinić wężowemi pochwałami, w których Tartuffe z Apellesowym szewcem kojarzą się w istotnie „modernistyczne" monstrum.— W hołdzie przed istotnem dziełem widzą, znieprawieni egoizmem najczarniejszym: egoizmem ducha, — tylko *danie przewagi nad sobą autorowi*... ostatni wyraz prywaty intelektualnej. — W najlepszym razie, uwielbienia broni im obawa pozoru naiwności... Gminność zawsze lęka się prostoty, parweniusz nie ufa swemu *laisser aller,* obłuda, w trwodze przed rewelacyą szczerego ruchu, zamyka się w błędnem kole, które w końcu ścieśnia się aż do obwodu pętlicy...

Goniąc pozory *znawstwa*, przeoczyli, że jest ono nie szukaniem zła, lecz rozróżnianiem dobra, — aby dobytem z nieprawych sąsiedztw, wyosobnionem od lichoty, otoczonem promienną chwałą, — *radować się, napawać*, w uwielbiającej kontemplacyi, w boskim trudzie docierania aż w głąb' jego zachwycającej tajemnicy. — Usiłując *wydać się* krytykami, przyjęli za hasło i warunek to, co jest absolutną negacyą zasadniczego warunku istotnego krytycyzmu; racyą bytu bowiem, duszą krytyki jest właśnie to *uwielbienie,* które w ślepocie swej przeciwstawiają jej *jako naiwność*...

Poczwarte, — na owo hasło: „*Precz z uwielbieniem*" składa się — przed rozstrzygającem zjawiskiem piękna, na wierzch z intelektualnego zaniedbania wypływająca — *niepewność własnego sądu,* głuche poczucie swego barbarzyństwa. Niewiara w siebie samego budzi niewiarę w przedmiot oceny, — życie kłamne, nałóg hypokryzyi, zabarwiają podejrzeniem kłamu rzeczy najistotniejsze. Oto źródło naszego „sceptycyzmu"....

Wreszcie, popiąte, fałszywy krytyk jest naturalnym wrogiem prawdziwego dzieła Sztuki. Rzeczy ni dusz wyosobnionych niema: każdy zjaw i istota, mocą swej złej lub dobrej woli, przywiera do jednej z dwu potęg, między któremi waha się los świata, potęg, które religia symbolizuje w „Świętych Obcowaniu" i „Synagodze Szatana," — do Światła, — lub ciemności. — Fałszywy krytyk, świadomie lub nie, zawarł przymierze z „Potęgą mroków," i odtąd jej wrogowie stają się fatalnie jego wrogami. — Każde istotne dzieło

sztuki, bodaj najdalsze od jego kręgu życiowego, — przez samą moc swego charakteru promienistego, heroicznego, archanielskiego,—rzuca mu groźne, Lohengrinowe wyzwanie; najczystsze jego promienie sprawiają mu najdziksze tortury, na tej samej zasadzie, na której padliny rozkładają się najszybciej pod słońcem południa; woń jego rajska jest mu trucizną; duch dzieła godzi poprostu w podstawy jego domu, zbudowanego z błota na piasku. Czując się zagrożonym w tem, co uważa za swą racyę bytu, a co jest tylko jego bytu gangreną, — broni się przed pogromem... a broń jego jest nikczemna, — gdyż niema szlachetnej broni przeciw szlachetności. — Chce poniżyć to piękno, które mu jest męką, bo wobec niego ujrzał swe poniżenie, a wygasła w nim ta prostota, która wobec objawienia pada twarzą na ziemię w odradzającej pokorze i woła: „Panie, nie jestem godzien! —“ To by przecie było .. naiwne...

* * *

Ale oto — zemsta immanentna rzeczy.

Prawem najwyższej psychologii jest, że SŁOWO STWARZA TO, CO STWIERDZA. — Wola tępości zamienia się w tępość. Ci, co uwielbiać *nie chcieli,* teraz już uwielbiać *nie mogą,* nawet gdy chcą. Bo ich przeszłe, wielokrotne, chroniczne akty złej woli, wewnętrznych pogwałceń i zewnętrznych kłamstw, codzienne ofiary nieczyste na ołtarzu własnej pychy, — wzniosły się stosem, wyprostowały murem zagradzającym przed zapóźnionym ruchem bezpośredniego odczucia, zatarasowały drogę pojmowania. — „To się mści,“ jak mówi Przybyszewski; — cudzołóstwo ducha mści się jak cielesna rozpusta.

Żyjąc w brzydocie przeciwnej naturze, napojeni nią, pogodzeni z nią, brnąc coraz głębiej w pospolitości grubych instynktów i przewrotności mózgowej, duchy te stępiały tak nieuleczalnie na świat istotny drgającego i wciąż nowego piękna, że gdy zeń jaki zapalczywszy promień przedrze się przez ich duchy błotne, wówczas blask ten odczuć są zdolni tylko jako piekące żądło zawiści, lub niepokojem osiego gniazda, lub niechętnem poprostu opędzaniem się przed intruzem, który ich budzi — ich, co chcą „posiadać i spać,“ jak Wagnerowski Fafner.

I nawetby nie wiedzieli (tak zarośli brudem), że to jest blask, promień, i że ich budzi — gdyby nie radosna za ich oknami wrzawa, wrzawa „bezkrytycznych“ ciżb, która nagle pierś im przeszyła intuicyjnym okrzykiem: „Stało się Piękno!“

Wówczas, gniewni jak filister zbudzony w nocy alarmem ulicy, wychodzą na balkony w szlafmycach i szlafrokach i wieszczą tłumowi, śpiewającemu kolędę: „spać! nic się nie stało!“

Ale niekiedy Dobra Nowina ciągnie ulicą świetnie błyszczącym pocztem, fanfarą zagranicznego tryumfu, lub wszelkie zaprzeczenia zwyciężającym majestatem uroczystego Dziwu. Wtedy, chcąc nie chcąc, trzeba przybrać się i wyjść na spotkanie... Nacisk opinii zmusza... Ah, i wówczas dopiero, wobec tej nieuchronności hołdu, ujawnia się w całej opłakanej nędzy wynik długoletniej kultury kłamstwa i duchowego zdziczenia, — zdradza się BEZSILNOŚCIĄ POJĘCIA PIĘKNA, BEZSILNOŚCIĄ UWIELBIENIA, *bo pojąć piękno i uwielbić je — to jedno.*

Wtedy stajemy się świadkami dziwnej komedyi wykrętów, uciekania chyłkiem od obowiązku stwierdzenia cudu. Czytamy „pochlebne wzmianki,“ odsyłacze do przyszłych i nigdy nie zjawiających się „wyczerpujących“ ocen, albo sakramentalne formułki, w rodzaju: „znany całej Europie,“ albo: „jak wiadomo naszym czytelnikom,“ albo: „X. X. z właściwym sobie talentem,“ — poczem „krytyk,“ w mniemaniu swem uczyniwszy zadość sprawiedliwości, idzie spać. — Na tem się kończy ZWIASTOWANIE PIĘKNA.

O wniknięciu w ducha twórcy i dzieła, o zważeniu jego doniosłości, o zgruntowaniu go jako wyniku, siły działającej i przyczyny; o dobyciu na jaw zawartych w nim możliwości; o jego asymilacyi, przez danie lotu myślom, które zdradza, o najszczerszem jego umysłowem i uczuciowem uświadomieniu — niema mowy. I trudno, aby było inaczej. — Piękno — przecie — oddawna dla tych istot jest martwą literą; dzieło sztuki tylko jednym z wielu sposobów karyery... Cudza zaś karyera nigdy sympatycznie nie pobudza służalców fortuny. — Wszechludzka waga sztuki? — Oddawna przestali rozumieć te słowa, co brzmią ich znieprawionym uszom jak frazes giełdowy... Rozkosz estetyczna? — Ah, tak... odczuwają wybornie „subtelność“ cielęciny... *).

Zresztą owa gruba ciemnota oślepia nietylko jednostki złożądne: podlegają jej także istoty poprostu siłą ogólnej suggestyi zaniedbane, obłąkane. W nich także przeszła ze zgniłej atmosfery owa nieuchwytna, a przez Ernesta Hello uświadomiona ***pogarda sztuki***, mszcząca się na nich potem niemocą pojmowania... Ci, z przedstawienia np. na scenie naszej „Walkiryi,“ nie potrafili ze swych głuchych odczuć wyciągnąć ani jednego jasnego słowa analizy, lub

---

*) *Mundus vult decipi* Jana Lemanskiego.

syntetycznego ujęcia, — i zostawiając nietkniętą sprawę samej „Walkiryi,“ „ogólnie znanej“ przecie, — zapełnili szpalty sprawozdań radami tualetowemi pod adresem dam, — a rozbiór gry Bandrowskiego, tego prawie doskonałego odtwórcy typów Wagnerowskich (który w „Lohengrinie“ zwłaszcza dochodzi do szczytnych, prototypowych niemal bliży), — rozbiór gry tak silnie kontrastującej szlachetnością i wysokim, rzetelnym, świadomym artyzmem z kabotynizmami ogromnej większości tenorów i aktorów wogóle, rozbiór, co się narzucał każdemu prawemu krytykowi z siłą imperatywu moralnego wobec haniebnej postawy prasy, — rozbiór ten został zbyty paru błahemi i nicnieznaczące usterki jedynie podkreślającemi uwagami.

Ale to jest już logika rzeczy. Im mniej kto zdolny odczuć mistrzowstwo, tem śmieszniej wygórowane stawia mu wymagania. Cudza wielkość nieotrąbiona przez sławę zostawia go w niewiedzy, — ujawniona zaś — daje mu prawo do wymysłów — w imię tejże wielkości. — I gdybyż nawet temi — niekiedy wprost ordynarnemi — napaściami, kierowało bodaj najgłuchsze przeczucie nieskończonych horyzontów doskonałości, tęsknota za nigdy dla ułomności ludzkiej niedostępnem *absolutnem* Pięknem! — Ale nie. — Oni własną swą tępość transponują, na mocy prawa objektywizacyi, — na niedostateczność artysty. Dziwią się, że woń subtelna nosa im nie ukręca, jak angielska musztarda, i że Piękno nie wali ich obuchem w głowę... I — zaiste — ze „wzruszeń“ to ostatnie chyba byłoby im dostępnem — — —

Tredecim.

POEZYA.

Jan Lemański: *Bajki.* Warszawa. J. Fiszer.

Występując przed półtora wiekiem przeciwko hybrydyczności bajki po-lafontenowskiej, brał Lessing w obronę „rzeczywistą istotę“ (das wirkliche Wesen) ezopowskiego apologu. Dziś wiemy, iż „rodzaj literacki“ nie jest czemś nieruchomem, stałem, na zawsze obowiązującem, lecz, jako rezultat pewnej sumy warunków, pierwiastków i okoliczności życiowych, oraz, jako wytwór indywidualności, jako inkarnacya danego talentu, ulegać może i musi, przy nowych warunkach i pod nowego talentu mocą twórczą, zasadniczym modyfikacyom i przeobrażeniom. To też, zdając sobie sprawę, jak głęboko zmieniły się w ciągu ostatniego zwłaszcza stulecia stany umy-

słowości i wrażliwości człowieczej, nie dziwimy się wcale, iż bajka starego typu, obca im już i chyba przez nawyknienie z dziecinnych, szkolnych czasów znajdująca oddźwięk w duszach, — wyrodniała zwolna, zanikała w literaturze jako dzieło sztuki, i w ostatnich latach pięćdziesięciu stała się już wyłącznie narzędziem bądź pedagogiki, bądź — co gorzej — taniej humorystyki dziennikarskiej. Na istotę dotychczasowej bajki składały się właściwie trzy pierwiastki: mniej lub więcej górująca nad wszystkiem celowość moralizatorska; jak najzwięźlej (u Ezopa) lub też bardziej malowniczo (jak u Lafontaine'a) opowiedziany fakt *czysto zewnętrzny*, w którym ma się uwidocznić dany morał; wreszcie, w bajce zwierzęcej, traktowanie życia zwierzęcego, bądź nader suche również, bądź bardziej malownicze, lecz zawsze w sensie zmyślenia, fikcyi, schematu, znaku umownego. Człowiek dzisiejszy nie ma przedewszystkiem zaufania do nieomylnych, ogólnych reguł codziennej, utylitarnej moralności; wie, że często są one tylko dziełem umowy lub nawyknienia, że wogóle wartość ich zmienia się, stosownie do horyzontów, że ta sama rzecz może nie być jednako moralną z punktu widzenia osobnika, rodziny, narodu, ludzkości i wreszcie jakiejś sprawiedliwości bezwzględnej, *sub specie aeternitatis*. Człowiek dzisiejszy nie zadowala się, dalej, faktem nagim, czysto zewnętrzną sytuacyą czy zdarzeniem, lecz doszukuje się przedewszystkiem motywów tej zewnętrzności, ukrytego dna faktu, jednem słowem, procesów dusznych, które ten fakt wywołały i które jedynie stanowią o jego jakości istotnej. Dusza — oto ku czemu zwróciła się cała dzisiejsza literatura i sztuka. Czy to przez analizę (kierunek psychologiczny), czy też przez odczucie i ewokacyę (symbolizm), artysta dzisiejszy duszę tylko na jaw wydobyć pragnie, odsłonić najtajniejsze jej zakąty, dać wyraz najgłębszym jej zadrgnieniom. Zewnętrzność staje się tylko kanwą do rozsnuwania tych arabesków życia dusznego. — I nie o *ludzką* jedynie chodzi duszę. Człowiek dzisiejszy opuścił zajmowane od tak dawna stanowisko samolubnie wyłącznego antropocentryzmu. Czy to przesiąkły już we wrażliwość jego teorye nauki współczesnej o jedności gatunków, czy też jego sympatya i współczucie dla wszystkich maluczkich, zależnych, uciśnionych, rozszerzyły się aż na nieme stworzenia, — dość, że dzisiaj nie uważa on już życia zwierzęcego za umowny jeno środek do zamaskowania i alegoryzacyi swego własnego, lecz traktuje duszę zwierzęcą jako coś samo w sobie godnego uwagi, zaciekawia się nią niemniej niż ludzką i, co za tem idzie, spostrzega mniej lub więcej ukryty ich paralelizm. Coraz wyraźniejsze ślady tego głębszego odczuwania natury i przeto poszerzenia się samej duszy od-

czuwającej — czerwoną nicią wiją się przez cały wiek XIX. „Stworzenie jest jedno,“ powiada Balzac w *Przedmowie ogólnej* do *Komedyi ludzkiej;* „Stworzyciel uczynił według jednej modły wszystkie twory organiczne... Społeczeństwo nie różni się od natury.“ Wczucie się w duszę zwierzęcą przyniosło Alfredowi de Vigny jeden z najpiękniejszych jego wierszy:

Seul le silence est grand; tout le reste est faiblesse (La mort du loup),

a Zeyerowi pełne niewypowiedzianej rzewności słowa o „skardze niemoty, która sili się, aby módz przemówić“:

Wie istność niema, że słowo — zbawieniem (Kronika o św. Brandanie).

Leconte de Lisle'owi snuły się, w *Poematach barbarzyńskich*, przeczucia wielkiej epopei duszy w naturze, podobnie jak w *Poematach antycznych* zarysowała mu się epopeja duszy ludzkiej w dziejach. Fragmentami tych marzeń są przedziwne ewokacye duszy zwierzęcej w *Marzeniu jaguara, Słoniach, Śnie kondora, Panterze czarnej, Dżunglach, Inkantacyi wilka,* i t. d. Nareszcie, w psychologicznych i symbolicznych opowieściach zwierzęcych Dygasińskiego i Kiplinga, zmartwychwstaje w nowej postaci odwieczna baśń indyjska, której ślady i echa niewyraźnie nas doszły w Mahabharatach i Panczatantrach; baśń z czasów, gdy człowiek stał tak blizko przyrody, iż poniekąd sam siebie jeszcze z niej nie wyróżniał i przeto odczuwał ją niemniej dobrze, niż siebie samego, z czasów, gdy jak mówi Ezop, zwierzęta miały mowę (ὅτε φωνήεντα ἦν τὰ ζῶα); baśń, która nie była jeszcze zoomorficznem zmyśleniem, alegoryą, maską życia człowieczego, lecz rzeczywistym obrazem duszy zwierzęcej, i która zapadła w letarg z chwilą, gdy człowiek, o pierwszych brzaskach kultury, jął oddalać się od przyrody i „samego siebie tylko w stworzeniu poszukiwać, nic poza ten widok nie ważąc sobie.“ Dziś po stuleciach cywilizacyi, inną drogą, znów do natury powraca. Tak oto

...życia koniec szepce do początku:
Nie stargam cię ja — nie! — ja uwydatnię! (C. Norwid).

*

Bajka, o ile miała istnieć nadal jako dzieło sztuki, musiała odrodzić się i przekształcić odpowiednio do całej tej fali nowego ży-

cia duchowego. Kuszono się też w ostatnich latach niejednokrotnie o jej odnowę, wprowadzano ciekawe i niekiedy zasadnicze modyfikacye, zaczęto np. — obok dawnego przyodziewania charakterów i właściwości *ludzkich* w maski *zwierzęce* — chłostać i wyszydzać, w obrazkach z rzeczywistego życia zwierzęcego, *zwierzęce* przywary w naturze *człowieczej*. Wszystkie te próby wszakże, nie wyłączając najlepszych względnie utworów F. W. v. Oestérena, dążyły raczej do przerobienia czy poprawienia starego typu bajki, aniżeli do stworzenia nowego. Istotnym odnowicielem zanikającego rodzaju literackiego stał się dopiero Lemański. W nim pierwszym, wymienione wyżej duchowe pierwiastki epoki w spójną z jego cechami indywidualnemi zlały się całość. On pierwszy w dzisiejszej dobie jął pisać bajki nie jako specyalista zawodowy, nie według ścisłych lub zmodyfikowanych reguł i tradycyj, nie dla takich lub innych celów przemijających, lecz impulsywnie, bezinteresownie, dla tego tylko, że właśnie w bajce ironicznej pewne sfery czy stany jego duchowości jedynie odpowiedni znajdowały dla siebie wyraz. To wprowadzało bajkę z powrotem w dziedzinę sztuki. Tylko bowiem dzieła, powstające w ten nieodzowny sposób, jako uzewnętrznienie duszy autora, nie zaś tworzone *ad hoc,* ze świadomem czy nieświadomem podporządkowaniem tej duszy jakimś wzorom, regułom czy nawyknieniom, na nazwę dzieł sztuki zasługują.

Cechą charakterystyczną talentu Lemańskiego jest, podobne jak u Baudelaire'a, niezwykłe zjawisko jakiejś refrakcyi twórczej w duszy poety. Jak Baudelaire nie był wcale naturalistą ani pornografem i nie lubował się bynajmniej w brzydotach, ohydach, perwersyach i chorobliwościach, acz malował je tak często, — tak Lemański nie jest bynajmniej humorystą z powołania, który dostrzega w życiu jedynie strony komiczne i z zamiłowaniem poniekąd zabawia się odkrytemi śmiesznościami. Proces tu, równie jak tam, zachodzi zupełnie odwrotny. Lemański jest przedewszystkiem głębokim lirykiem, żarliwym entuzyastą piękna, harmonii, eleuterycznych pragnień i wzlotów duszy, wielkiego rytmicznego potoku życia. Ale ten właśnie instynkt piękna, to sprężenie duszy ku sferom doskonałości, to nienasycone pożądanie czegoś wiecznie żywego, wolnego, świadomego, czegoś nieskończenie lotnego, giętkiego, ruchliwego, czyni go, przy zetknięciu z życiem rzeczywistem, czułkowato, boleśnie wrażliwym na wszystkie śmieszności i groteskowości, na bezmyślność, szablon, automatyzm, niedołęztwo, pozę, zarozumiałość, na objawy jarzmiącej duszę przewagi ciała, na zakusy formy, chcącej zapanować nad treścią, na wszystko, jednem słowem, co ducha wol-

nego w mechaniczną zmienia maryonetkę. Dla tych widomych „zniewag względem piękna i harmonii," dla tych dysonansów, dla tych „błędów przeciwko rytmowi i prozodyi bytu" czuje on tak głęboką nienawiść, taki wstręt, taką pogardę, że intensywność tych uczuć wywiera jakby odwrotne działanie: że wszystkie te skazy i niedoskonałości poczynają go fascynować, przyciągać magnetycznie, zasłaniać mu wszystko przed oczyma, póki ich twórczo z siebie nie wyrzuci, póki nie odda całej ich nędzy, póki z nieubłaganą nie wyszydzi ich złośliwością. Oto geneza ironicznych bajek Lemańskiego. Na zbiorku ich słusznie położono juwenalowskie motto: „*facit indignatio versum,*" — bo powstały one z patetycznych, zaiste, pokładów duszy, — i powiedzenie Ernesta Hello: „dans le comique, le pathétique est sous-entendu," nigdzie lepszego, jak tu, znaleźćby nie mogło zastosowania. To już nie dobroduszność (bonhomie) La Fontaine'a, to nie rozumowa i nieco sucha ironia Lessinga, to nie elegancka, figlarna żartobliwość Krasickiego, — to raczej gorzki, posępny sarkazm Swiftowski, to zimna, bezlitosna *zawziętość* prawie. Takim nieprzejednanym wszakże jest Lemański tylko względem objawów bezduszności, która, będąc brakiem wszelkiego polotu, wszelkiej samodzielności i samotwórczości, odbiera osobnikowi, choćby najbardziej nienagannemu z punktu widzenia codziennej etyki utylitarnej, całą istotną wartość. Jest to jedyny kategoryczny postulat moralny autora, unoszący się zazwyczaj, niby widmo starożytnej ananke, na najdalszych widnokręgach jego bajek i rzucający ztamtąd od czasu do czasu niespodziane oświetlenia na bezpośrednie nauki i sensy akcyi pierwszoplanowej. Ztąd często nieoczekiwana chwiejność lub dwuznaczność tych ostatnich, zbijająca z tropu ludzi, nawykłych do biernego posłuszeństwa zdawkowym formułkom. Po za bezdusznością, autor traktuje wszystko inne z pobłażliwym raczej humorem, niekiedy nawet, np. w *Lilii wodnej*, z wyraźną sympatyą. Łagodny jego uśmiech zda się wtedy mówić: „Miejcie jeno duszę! Z nią możecie iść choćby na bezdroża. Bezduszność jedna jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu — i niemasz dla niej przebaczenia!"

Bajka Lemańskiego jest κατ' ἐξοχήν bajką o duszy, nie zaś Lafontaine'owską „komedyą" zdarzeń „w stu różnych aktach." Dla Lafontaine'a świat zdarzeń zmysłowych i najbliżej związanych z cielesnością, powierzchownych reakcyj psychicznych jest rzeczą główną. Nie wyszukuje on wprawdzie „pomysłów" (co Lessing uważał później za *wyłączne* zadanie bajkopisarza), bierze je spokojnie od Ezopów, Fedrów, Awienów czy Pilpayów, ale zajmuje się niemi

przedewszystkiem, rozwija ich szczegóły, układa je w całkowite dramaciki, z ekspozycyą, przejściami i rozwiązaniem. Dla Lemańskiego zewnętrzność jest nieprzebranem morzem symbolów duszy. Wszelkie kombinowanie zdarzeń, wszelkie układanie ich w całości dramatyczne wydaje mu się co najmniej niekoniecznem, bo w najprostszym fakcie, przy głębszem weń zajrzeniu, już duszę odkryć można. Dla tego nietylko nie szuka sam specyalnych zawikłań bajkowych, lecz nawet nie posiłkuje się cudzemi. Zadowala się najprostszem spostrzeżeniem, ujrzaną sytuacyą, luźnem zupełnie sprowadzeniem w gromadę kilku postaci. Zawiązku dramatycznego częstokroć w bajkach jego niemasz wcale, przeważnie nic się w nich nie dzieje, jest tylko dyalog, w ciągu którego zarysowują się jakby jakieś wizyjne, przeświecające z poza zewnętrzności portrety i studya duszy. Lafontaine zwraca przedewszystkiem uwagę na ziemskie, przemijające odmiany i gatunki duszy człowieczej, maluje nam królów, panów, mieszczan, chłopów, uczonych, doktorów, księży, zarozumialców, tchórzów, próżnych, hipokrytów, skąpców, cały szereg zawodów, stanów, powołań, charakterów. Lemańskiemu chodzi o samą duszy istotę, jako pierwiastku eleuterycznego, wolnego, lotnego, świadomego, w przeciwieństwie do pierwiastków cielesnych: bezwładu, musu mechanicznego, ślepoty, które, jarzmiąc ją, są powodem głęboko smutnych w gruncie, lecz od zewnątrz, pod kątem przypadkowości, śmiesznych i cudacznych zjawisk. Dusza to ani ludzka ani zwierzęca, lecz jakaś jedna, przenikająca całą naturę, czasem lepiej uwydatniająca się w cechach ludzkich, czasem w zwierzęcych. Postacie w bajkach Lemańskiego nie są właściwie ani zwierzętami, ani zwierzęcemi maskami ludzi, lecz stworzonemi przezeń porówno z pierwiastków ludzkich i zwierzęcych, nierzeczywistemi właściwie, a jednak dzięki taumaturgicznej mocy talentu głęboko żyjącemi upostaciowaniami duszy. Oto źródło ich kameleonowatości, ich mienienia się w oczach. Przypominają one owe wprost niepokojące rysunki Leonarda, poświęcone zewnętrznym napozór, a właściwie znacznie głębszym analogiom ludzko-zwierzęcym.

Jak widzimy, w bajkach Lemańskiego nic nie jest na dawnem miejscu, zwykłe ustosunkowania straciły wartość, perspektywa zmieniona, horyzonty ku nieznanym rozsunęły się dalom, niewiadomo, gdzie się kończy i gdzie zaczyna rzeczywistość. Jednocześnie wszakże, wszystko ma w nich taką stanowczą *rzeczywistość własną*, tak nieodparcie przekonywającem pulsuje życiem, z taką nieodzownością narzuca się wrażliwości czytelnika, że sama ta potężna ewoka-

cya jużby całego przekształcenia wystarczającem była usprawiedliwieniem. Na magiczną jej moc dwa u najkapitalniejszych jeno twórców w takiej harmonii spotykane składają się pierwiastki: właściwa realistom i zwłaszcza humorystom, a u Lemańskiego znajdująca poniekąd wytłomaczenie we wspomnianej wyżej fascynacyi, zdolność indywidualizowania najdrobniejszych szczegółów, chwytania ich oznak najcharakterystyczniejszych, najkonkretniej wyłącznych,—oraz cechująca liryków syntetyczna wyobraźnia poetycka, wyczuwająca związki ukryte zjawisk i umiejąca jednoczyć wszystko w całość żywą o perspektywach nieskończonych. Pierwiastki te ujawniają się u Lemańskiego odrazu w formie — ścisłej i pierzchliwej zarazem, wyrazistej i falującej. Gwoli owej indywidualizacyi szczegółów, ma on obrazy, porównania, przenośnie, zdolne raz na zawsze wyryć rzecz w pamięci czytelnika, ma niesłychaną nieodzowność wyrażeń (propriéte des termes), ma słowa „wszech kolorów i wszech dostojeństw,“ bądź wydobyte z zapomnienia czy z gwar ludowych, bądź — gdy potrzeba było — stworzone. Mimo ogromnej skali tych środków, sięgającej od najtrywialniejszej rzeczywistości po najwyższe szczyty poezyi, nic się w bajkach Lemańskiego nie kłóci, nic nie razi, najnieoczekiwańsze zwroty, słowa, obrazy, dzięki owej intuicyi syntetycznej, przybierają cechę prostoty, łatwości, naturalności, konieczności, wszystko jest na swojem miejscu, wszystko potęguje jeno wrażenie, wszystko zlewa się w styl energiczny, odrębny, dla którego nie znajduję lepszego przyrównania nad znane Gautier'owskie w studyum o poezyi Baudelaire'a: do owych tkanin wschodnich, kędy nici jedwabiu i złota mieszają się z twardą, krzepką przędzą konopną. — Wiersz Lemańskiego winienby stać się przedmiotem studyów dla młodych poetów, zwłaszcza dla żądnych *vers-libre*'yzmu. Jest to właśnie wiersz wolny *(vers polymorphe)* w najszerszem słowa znaczeniu. Olśniewa w nim poprostu bogactwo, swoboda i dźwięczność rytmów — nieuchwytnych, zmiennych, ruchliwych, podążających wiernie za konturem treści, naginających się do każdego odcienia myśli czy uczucia, ówdzie lapidarnie twardych, gdzieindziej szerokich, organowych, indziej jeszcze miękkich, rozełkanych, lub, naodwrót, figlarnym, tanecznym podbiegających krokiem. W prawdziwą jakąś „nieskończoną“ zlewają się one melodyę.

Poetycka, symboliczna bajka Lemańskiego wyszła zeń, jak jak Atene z głowy Zeusa, w pełnym rynsztunku, i w chronologii rodzaju literackiego nowa od niej znaczyć się winna era. Odtąd niedość już obmyśleć anegdotkę i wyprowadzić z niej sens moralny, albo też wynaleźć „dowcipną“ analogię między człowiekiem i zwie-

rzęciem, — odtąd, aby pisać bajki, trzeba przedewszystkiem być — poetą.

Miriam.

POWIEŚĆ.

Adolf Dygasiński: *Gody Życia.* Warszawa. Fiszer. — Adolf Neuwert-Nowaczynski: *Małpie zwierciadło.* Kraków. Drukarnia Uniw. Jagiell. — Rudyard Kipling: *Kim.* Przekład M. G. Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Van Faron: *Żywot i myśli Barbary Podfilipskiej.* Warszawa. — Wacław Rogowicz: *Zocha.* Warszawa. Borkowski.

Gody życia, przez Adolfa Dygasińskiego. — Wieszczym akordem, wszechśpiewem bezdennej syntezy, gwiaździstym zbiegiem promieni w jedno wielkie ognisko, w jasną otchłań serca, hejnałem wiekuistej harmonii — drga ten łabędzi śpiew poety. Twórczość jego, wzięta w swym procesie rozwojowym, zdumiewa, jak zresztą wszelki pęd żywiołowy, zoryentowany nieuchronnością swego pochodu. Taką jest historya rzek, którym kapryśny pozornie bieg potoków daje życie, a które, rżnąc się przez ściany górskie i zdobywając równiny, dążą ku morzu nurtem tak szerokim, głębokim, silnym, że nawet wpadłszy w nie, nie giną, lecz calemi milami biegną jeszcze wyodrębnione, nim wody swe z jego wodami zmieszają i zatoną. — Takim wielomilowym pędem duchowego ludzkiego nurtu w oceanie Bezkresu, takim żywiołowym, wieszczym wylotem we wszechżycie są „Gody Życia,“ zegar słoneczny Kosmosu, ze wskazówką mysikrólikowego skrzydła, cykl skąpanych w nowem natchnieniu mytów wszechświatowych, świeżością zórz arkadyjskich promienny.—W tym szczytowym rozkwicie twórczości autora, pierwotne właściwości jego talentu, niby powszednie kruszce w tyglu alchemika, pod wpływem siły tajemniczej, wykazały boski swój początek i jedność wszechbytową, swą zdolność transmutacyjną i moc magiczną, i spotęgowały się w niniejszym utworze aż do genialności: spostrzeganie stało się kontemplacyą, humor — poczuciem wszechharmonii, ciekawość — dociekaniem praprzyczyn, wątpienie — głębią myślicielską, litość — miłością. — I ta właśnie ostatnia, ta wszystek Byt ogarniająca *Miłość*, stała się owym ogniem filozoficznym cudownej transmutacyi, wieszczym głosem gęśli rapsodowej, siłą żywą syntezy. — Ona to — zgruchotana w torturowem kole cierpień, strachu, rozpaczy; ona — stratowana przez wszystkie biesy niepewności; ona — zaczarowywana przez syreny wiosny i jędze jesieni, — z wielokrotnych zgonów

i odrodzeń wstaje w łagodnym a potężnym tryumfie, ukazując swe niewymowne oblicze Nadziei — Wiecznie-Młodej, stapiającej w hymn nieśmiertelny Bytu chóry wszystkich Przemian. — Zasadnicze autora *miłosierdzie,* idące żywiołowo ku wszelkiej nędzy, maleństwu, bezobronności, ta ewangieliczna sympatya do maluczkich, spotęgowana tutaj aż do wszechmiłości, każe mu dla swej syntezy szukać symbolu wśród najbiedniejszych z biednych i znajduje atom z sercem — Mysikrólika. — Prawo Jedności jest niezachwiane, wszechświat streszcza się w bryzgu rosy. Mysikrólik stanie się mikrokosmem świata czującego, puszcza nad Prądnikiem zawrze Kosmos, w którym się rozegra wielki dramat Dnia i Nocy, Lata i Zimy, Dobra i Zła, Życia i Śmierci, pod niebem wiekuistości, w którem się poczęły i do którego dążą niepowstrzymanie. — Kompozycya tego jedynego w swym rodzaju Poematu Natury jest w ścisłej z nim harmonii, prostolinijna i skupiona, ogniskująca życie w momentach najwyższych jeno, przełomowych. — Przepysznym jest język dzieła, które już przez to samo staćby się winno jedną z klasycznych krynic naszej literatury; język, jak staropolszczyzna, jędrny, giętki, czarem słów odmłodzonych otwierający całe horyzonty świeżości, wydarty kurhanom, chatom i szumom niw, promienny jak „śpiąca królewna,“ zbudzona z ciernistych, odwiecznych snów przez zwyciężający groby geniusz poety.

Małpie zwierciadło, przez Adolfa Neuwert-Nowaczyńskiego.— Skrystalizowanie pierwotnego tworzywa władz twórczych w świadomą i stałą potęgę zależy całkowicie od *wiedzy* i *woli Ideału* w jednostce utalentowanej. — Brak ich grozi rozprzęgnięciem, w najlepszym zaś razie dośmiertnem trwaniem w stanie chaosu. — Niebezpieczeństwo to zdaje się grozić autorowi niniejszych 10-ciu „satyr,“ posiadaczowi, a mówiąc ściślej, niewolnikowi bujnego i osobliwego talentu. Umysł jego jest ciaśniejszy i słabszy od jego temperamentu twórczego; niezdolny do syntezy dość rozległej, aby rozmach tamtego ogarnąć, zoryentować i spotęgować, zdobywa się przeto na zamaskowaną kapitulacyę anarchii duchowej, oraz na jej ulegalnienie, jako rzekomo koniecznego środowiska twórczości niezależnej. — Wynikiem tego pozornie wolnościowego, arystokratycznego, wyniosłego, — w gruncie zaś niewolniczego, burżuazyjnego, taniego, strychulcowego sceptycyzmu jest *zdziczenie duchowe,* pozwalające autorowi, z jednej strony, na niewyrażalną plugawość płaskiego i przejrzystego paszkwilu, z drugiej — na pojęciowy bezład spędzonych w jedną hordę bóstw i bałwanów, idei i komunałów, relikwij i padlin, i na płynącą ztąd niemoc syntezy i kompozycyi. — Chaotyczność ta,

w „Studyach“ tak dotykalnie widoczna, w „Małpiem Zwierciedle“ przejawia się raczej jako przyczyna pierwsza niedostatku tych rzeczy, z których zaledwie jedna („Histeryczny histryon“), długim tchem swej werwy zjadliwej i zuchwałej, nie pozbawionej nawet pewnej szaleńczej poezyi, zasługuje na miano utworu. — Reszta są to raczej embryony i strzępy, rozwichrzone na wietrze wszelakich suggestyj i kaprysów, tradycyj humorystycznych i ech „modernistycznych“ (np. „Bajka o księżniczce i karle,“ „Szambelan Sar“ i t. d.). — Najlichsze z nich jednak nawet noszą na sobie piętno tego niezwykłego talentu, na który się składają: temperament satyryczny chwilami wprost demoniczny, poczucie ironii rzeczy, docierające niekiedy do tych głębin, gdzie śmiech jest zgrzytem zębów, gdzie z paradoksalnego zetknięcia się wyobrażeń tryska mądrość, gdzie szyderstwo występuje jako jeden z błysków światła na niezbadanem w swej całości tajemniczej obliczu Sfinksa. — Pegazem tego dziwno - kształtnego jeźdźca, pół - klowna, pół - Mefista, jest styl silnie indywidualny, wężowo skrętny, hałaśliwy, drażniący, w którym słowa dźwięczą i migocą ostremi błyskami, zgiełkiem i nieprawdopodobną, żonglerską ruchliwością. Język ten przechodzi niekiedy w majaczenie panoptikowe, w „cyrk amerykański“ jakiegoś umysłowego tingel - tanglu, w rozpasanie nowej wieży Babel, we wściekłą gwarę opętańczą. Chwilami aż zbyt międzynarodowym żargonem staje się ta mowa przejaskrawiona surowemi neologizmami, jak np. „dymensya,“ „fantasterya“ i t. d., i t. d.

Kim, przez Rudyarda Kiplinga; przekład M. G. — Siłą autora jest szczerość i intensywność obserwacyi zewnętrznej, — która pod wpływem podniet potężnych, w odniesieniu do szczegółów wyosobnionych i w utworach krótkich, dochodzi nieraz do niebywałej, ostatecznej mocy ekspresyjnej (np. nowele „Fakt“ i „Mały Tumai od słoni“). Umysłowi jego jednak, mającemu niezniszczalne zagięcie kapralskie, brak zarówno głębi jak syntetyczności ideowej lub artystycznej. — To też „Kim,“ jako dzieło sztuki, jest rzeczą poronioną.— Te szeregi luźnych obrazów, mechanicznie w całość związanych i w psychologii swej aż do śmieszności sztywnych, ciasnych, upaństwowionych, — są jedynie „ciekawe“ jako naiwny w swej dobrej wierze dokument stosunków indo - europejskich i, ubocznie, jako miara pojemności mózgowej angielskiego „pozywisty“ w odniesieniu do niesłychanego świata Indyj Tajemniczych. — Przekład poprawny.

Żywot i myśli Barbary Podfilipskiej, napisał Van Faron. — Poniżej granic ludzkiego pojmowania stojąca ramota, w intencyach absurdowo niezbadana, w treści realizująca kompletną nicość, w języ-

ku z gramatyką niezgodna. Cenna jedynie chyba dla badacza miejscowych odmian kretynizmu.

Zocha, przez Wacława Rogowicza. — Bezkrwisty i nędznie sklecony obrazek studencki, opłakany melodramacik młodości zgrzybiałej w pąku, — z pozą „wytrawności“ autorskiej i życiowej, cechującą „realistyczny“ odłam naszej grafomanii.

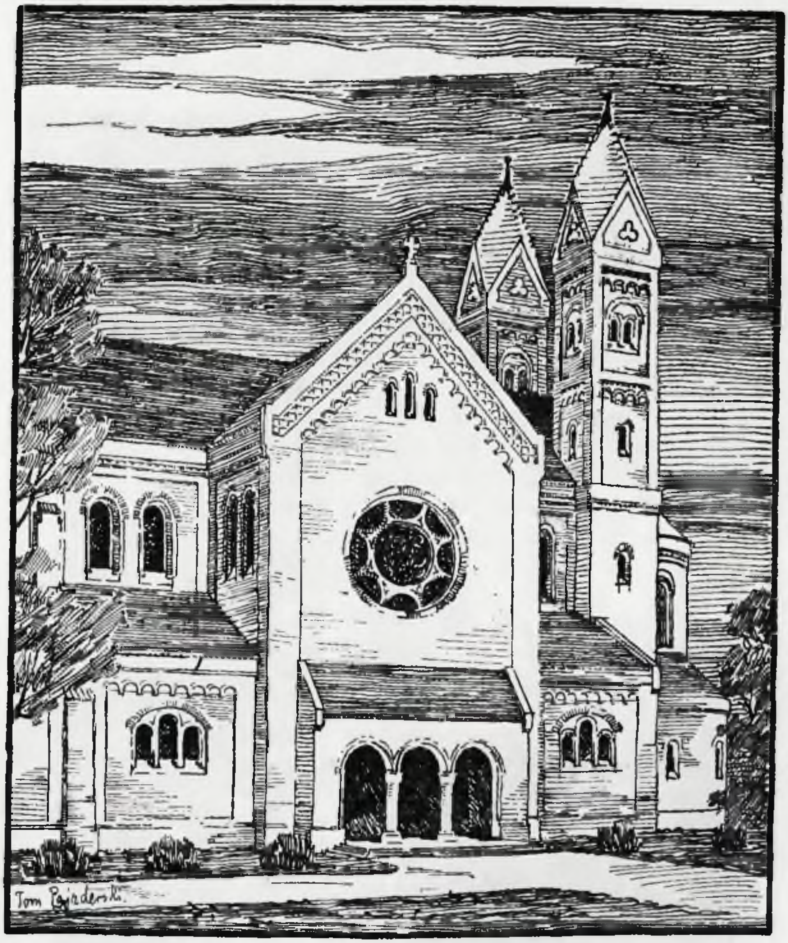
Włast.

SZTUKI PLASTYCZNE.

KOŚCIÓŁ W JUTROSINIE. W dziejach naszej, tak ubogiej dziś, sztuki monumentalnej, jasną kartą będzie ta iście po medycejsku przez ks. Zdzisława Czartoryskiego podjęta i dziś ostatnich już tylko dekoracyj czekająca budowa. Medycejskiemi były tutaj:— gorące i wytrwałe pragnienie wysokiego piękna; — świadczące o wyrobionym smaku zwrócenie się nie do tych artystów, którzy, jak mówi hr. Lanckoroński, „już zwyciężyli w walce o byt,“ lecz do istotnych, kapitalnych talentów; — wreszcie, ufne zawierzenie ich samodzielności twórczej, zamiast zwykłego w takich wypadkach popędu do dyrygowania zamiarami artysty. W ten tylko sposób powstawały i powstawać mogą dzieła rzeczywiście wielkie. Talent i poczucie artystyczne każdego z wykonawców stanowią najlepszą rękojmię, że, nawet przy pracy zbiorowej, żaden dysonans nie zmąci, ogólnej dzieła harmonii.

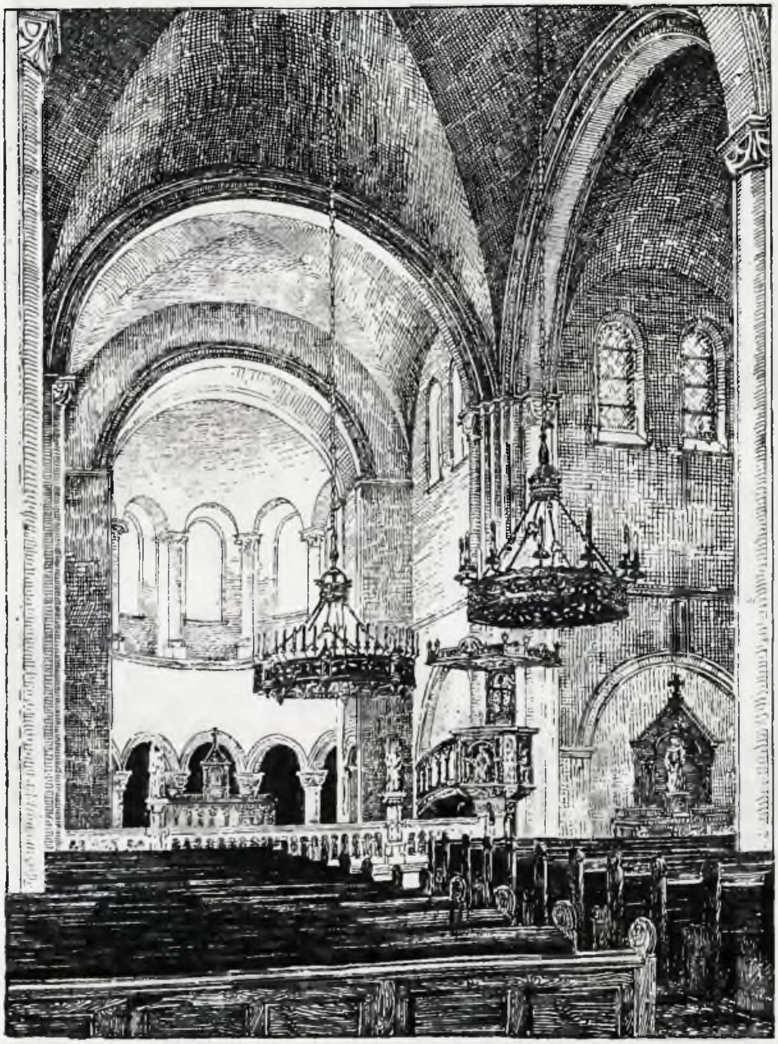


Gdy pojawiły się pierwsze zapowiedzi tej wspaniałej realizacyi monumentalnego piękna, najmniej może, pośród świetnego grona zaproszonych do uczestnictwa w niej artystów, mówiło nazwisko nieznanego u nas jeszcze podówczas, młodego architekta z Charlotten-



burga (dziś już z Warszawy), p. Tomasza Pajzderskiego. Tak dawno już architektura straciła u nas wszelki kontakt z artyzmem i zmieniła się w prostą technikę, tak haniebnie przedstawiały się, bez wyjątku prawie, jej ostatnie pseudo - artystyczne urzeczywistnienia (kilka najnowszych kościołów warszawskich, gmach filharmonii, teatr lwowski i t. d.), taki uderzał w nich brak poczucia masy, linii, stylu, takie wstrętne raziło upodobanie do tanich, bazarowych ozdó-

bek, — że, wyznamy otwarcie, z powątpiewaniem raczej myśleliśmy, jaką też w jutrosińskiem przedsięwzięciu będzie ta podstawa wszystkiego, ta oprawa czy podłoże dla witraży i fresków Mehoffera, Wy-



spiańskiego, Wyczółkowskiego i innych, ta budowa dziewicza, którą wymienieni artyści drogocennemi klejnotami swej twórczości przystroić mieli? Powątpiewanie radosną skończyło się niespodzianką. W p. Pajzderskim pozyskaliśmy nakoniec architekta - *artystę*, a w kościele jutrosińskim pierwsze może od jakich lat pięćdziesięciu, prawdziwe *dzieło sztuki* monumentalnej. Z dołączonych trzech rysunków, każdy czytelnik, nawet najbardziej znieprawiony dzisiejszemi naszemi łataninami stylów i orgiami gipsatur, przekonać się może naocznie, jak troskliwie twórca budowy unika zdawkowych „upiększeń,“ jak wielką ufność pokłada w mocy i szlachetności linij, jak głęboko czuje te ostatnie — i jak wspaniałe, za ich jedynie pomocą, osiąga rezultaty. Stosunkowo niewielka świątynia robi, dzięki prostocie planów ogólnych, należytemu podporządkowaniu im szczegółów, oraz pełnej życia twórczego jednolitości stylowej, imponujące wprost wrażenie. Zdecydowawszy się na styl romański, p. Pajzderski sięgnął do samej jego istoty, wydobył z pod różnych partykularyzmów i przypadkowych naleciałości zasadnicze jego rysy — i na tem niepokalanem tle jął dopiero tworzyć z niezłomną logiką artystyczną. Co do strony zewnętrznej kościoła, wzorował się niewątpliwie po części na przedziwnym tumie w Spirze, tym najpiękniejszym zabytku romańszczyzny w Niemczech, podniósł wszakże niesłychanie wrażenie jedności i mocy przez usunięcie wszelkich kopuł, nad presbiteryum między wieżami czy na przecięciu krzyża, i przez dodanie natomiast, u wejścia głównego, gigantycznej, wysoko nad całym kościołem górującej dzwonnicy. Wewnątrz, uprościł jeszcze i wypotężnił wspaniałe linie łuków sklepiennych i arkad, nie zatrzymując oka po drodze żadnemi szczegółami, lecz oryentując je wprost ku świetlnemu półkolu absydy. Całość straciła przez to trochę na malowniczości, ale zato nabrała cech wielkiej, surowej powagi. — Z drobniejszych szczegółów podnieść musimy: — nader szlachetnie skomponowane, piękniejsze od spirskich w proporcyach i układzie, hełmy wieżowe; — ogromną, a pełną smaku i logiki twórczej, rozmaitość kształtów okiennych; — wreszcie, mniej subtelną może, ale wybornie przystosowaną do surowego raczej piękna świątyni, formę okien kolistych w ścianie czelnej i w szczytach transeptu. Mniej szczęśliwym wydaje nam się nie prostopadły, lecz ukośny układ fryzów okrągło - łukowych na frontonach obu naw, głównej i poprzecznej. — W rysunku wnętrza, zwracamy specyalną znawców uwagę na szczegóły dodatkowe, w harmonizowaniu których z całością budowy p. Pajzderski prawdziwym jest mistrzem. Przepiękne są zwłaszcza oba żyrandole.

Świątynia jutrosińska jest stanowczo najwybitniejszem dziełem w architekturze naszej z ostatniego półwiecza, a i w dziejach stylu romańskiego odrębne, poczesne należy jej się miejsce. Gdy w oknach jej zatęczują przepyszne witraże Mehofferowskie, gdy freski najlepszych przedstawicieli dzisiejszej sztuki polskiej, całego, jak mówi hr. Lanckoroński, „lewego (?) jej skrzydła," rozświecą harmonijnie ścian płaszczyzny, — jedynym w swoim rodzaju chlubić się będziemy mogli klejnotem.

Z. P.

VARIA.

„SKRZYPEK NIEPOTRZEBNY (le Musicien inutile), nastrajający swoje skrzypki w karczmie, — ale cała ta karczma, już najżarliwiej tańczy bez muzyki, wywróciwszy świece." Taką „legendą" opatrzył akwafortę, którą w odtworzeniu światłodrukowem do niniejszego dodajemy N-ru, sam Cypryan Norwid, w autobiografii, ogłoszonej w lat 26 po jej napisaniu, a w 14 po śmierci autora, i jeszcze roku pańskiego 1897 uznawanej za dokument „bałamutny i pełny chwalby próżnej zarozumiałego człowieka oraz chorobliwego umysłu" *(Wiad. Numizm.-Archeolog.*, Kraków, 1897, № 4).— Nie sam-że on był tym „skrzypkiem niepotrzebnym"? I nie miał-że prawa, mówiąc w tejże autobiografii o swojem urodzeniu „czasu, kiedy w Grecyi umierał Noel Byron," wyrazić się melancholijnie, iż „z tych dwóch spółczesnych zdarzeń, nie wie dotąd, które jest smętniejszem"? Poeta ogromny, rysownik i akwaforcista znakomity i za granicą należycie uznany, dla swego społeczeństwa przeszedł bez śladu, jako „istota chorobliwa i pełna dziwactw," „jako ofiara czasu, temperamentu, szkoły, nie wiem" — powiada J. I. Kraszewski, jako dekadent lub „paralityk duchowy" — powiedzieliby smaczniej ci lub tamci panowie dzisiejsi... Dookoła niego życie, lub raczej to, co wulgarni zwą życiem trybuni, „najżarliwiej tańczyło bez muzyki, wywróciwszy świece."

Znany nam jest jedyny egzemplarz tej o Goyowskim rozmachu akwaforty: w krakowskiem Muzeum Czartoryskich. Płyta została uszkodzona i zniszczona.

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.
22, rue Nouveau Monde, Varsovie.
Sommaire du N-ro 17. — Novembre 1902.

TEXTE: L. Staff—*Sous le soleil;* J. Zeyer—*la Maison „à l'étoile submergée";* Fr. Mistral—*Lis Isclo d'or;* A. Dygasiński—*les Chênes;* Ed. Porębowicz — *l'Enfant de cire (ballade populaire de Bretagne);* Fr. Nietzsche — *Fragments sur la psychologie de l'art;* Ed. Leszczyński — *le Juif Errant;* J. Wroczyński — *la Veille hallucinée;* A. Graf— *Sonnet;* J. Laforgue — *Persée et Andromède;* J. Lemański — *Lycoperdon Giganteum.* — Revue du mois: *Glosses, les Poèmes, les Romans, Art plastique, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: Cyprien Norwid — *„le Musicien inutile".* Réproduction phototypique d'après l'eau-forte originale.

DESSINS DANS LE TEXTE: — de S. Botticelli, Hokusaï, Korin, St. Turbia-Krzyształowicz, Ed. Okuń, N. S., M. Wawrzeniecki, Fr. Wojtala.

COUVERTURE — de Ed. Okuń.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTE PUBLICATION (LIVRE, REVUE, MUSIQUE, GRAVURE, OBJET D'ART, etc.) ADRESSÉE A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy-Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457.

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

PRZEDPŁATA za r. 1902 przyjmuje się **na wydanie zwykłe:** tylko

	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
półroczna (od lipca do stycznia)	**5** rb.	— **6** rb. **50** k.	— **20** fr. **15** mar. **18** kor.
lub kwartalna	**3** rb.	— **3** rb. **50** k.	— **11** fr. **8** mar. **10** kor.;

na **wydanie wytworne,** tylko półroczna: w Warszawie **15** rb., z przesyłką pocztową **17** rb. **50** kop., za granicą **50** fr., **40** mar., **45** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

ROCZNIK PIERWSZY CHIMERY zawiera:

W DZIALE POEZYI: UTWORY ORYGINALNE — St. Barącza, St. Brzozowskiego ***(wybór)***, Campanelli, J. Jedlicza, Jana Kasprowicza ***(Moja pieśń wieczorna, Salve Regina, Hymn św. Franciszka z Assyżu, Judasz)***, M. Komornickiej, J. Krobickiego, J. Lemańskiego ***(Sonety i Bajki)***, B. Leśmiana, E. Leszczyńskiego, K. Lubeckiego, M. Markowskiej, T. Micińskiego, Wł. Nawrockiego, Cypryana Norwida ***(List do Walentego Pomiana Z.)***, H. Ochenkowskiego, Br. Ostrowskiej, Wł. Perzyńskiego, J. Ruffera, Juliusza Słowackiego ***(Niewydane waryanty do Króla Ducha)***, L. Staffa, W. Sterlinga, M. Wikszemskiego, K. Wroczyńskiego, St. Wyrzykowskiego, K. Zawistowskiej, H. Zbierzchowskiego, M. Zbrowskiego — oraz *PRZEKŁADY:* ze starych ballad ludowych skandynawskich, angielskich i szkockich (tłom. E. Porębowicz), z T. de Banville'a — ***(wybór***, tłóm. Miriam), z Campoamora ***(Licencyat Torralba***, tłóm. A. Lange), z Coleridge'a ***(Pieśn o starym żeglarzu***, tłóm. J. Kasprowicz), z A. Giraud'a ***(Rondele fantastyczne***, tłóm. Miriam), z J. Keats'a ***(Hyperion***, tłóm. J. Kasprowicz), z J. Rodenbacha (***wybór***, tłóm. El-ka), z J. Zeyera ***(Na Synai***, tłóm. Miriam);

W DZIALE DRAMATU: C. Norwida — ***Wanda***; hr. de Villiers de l'Isle Adam'a — *Axel*; Chr. D. Grabbego — ***Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie***; A. Gide'a — ***Filoktet***;

W DZIALE PROZY EPICKIEJ: UTWORY ORYGINALNE — W. Berenta (***Próchno***), Z. B. Bytkowskiego, Z. Dębickiego, M. Komornickiej, T. Micińskiego, C. Norwida (***Ad leones***), St. Przybyszewskiego ***(Fragmenty z „Synów ziemi")***, W. Reymonta ***(Komurasaki)***, St. Wyrzykowskiego, M. Zawiejskiej; oraz ***PRZEKŁADY*** — z Andersena, J. Eekhouda ***(Chwała Lutterathu)***, Wł. Garszyna ***(Attalea Princeps)***, A. Gide'a ***(Prometeusz źle spętany)***, J. Schlafa ***(Pieśń)***, M. Schwoba ***(Krucyata dziecięca)***, W. Stefanyka;

W DZIALE PROZY MYŚLOWEJ — rozprawy i studya: O. Brzeziny (***Tajemnicze w sztuce***) A. Böcklina ***(Wyznania)***, Fr. Nietzschego ***(Dusza dostojna*** i ***Fragmenty z Zaratustry)***, Z. Przesmyckiego ***(Los geniuszów, Walka ze sztuką, Drzeworyt japoński, J. A. Rimbaud)***; wreszcie stałą ***KRONIKĘ MIESIĘCZNĄ***, omawiającą objawy w literaturze, sztukach plastycznych, teatrze i muzyce;

W DZIALE SZTUKI PLASTYCZNEJ:

PLANSZE OSOBNE — Aubrey Beardsley ***(Tannhäuser wracający na Venusberg)***, Fr. Bilek ***(głowa Zeyera)***, A. Dürer (***dwa rysunki z „Apokalipsy")***, A. Gierymski ***(Plac przed teatrem w Monachium)***, Kuniyoshi ***(Gra o stawkę)***, G. Moreau ***(Chimera)***, F. Rops (***Wielka lira)***, J. Stanisławski (litogr. kolorowe — ***Kościół św. Marka, Villa d'Este, Topole)***, Utamaro ***(Kobieta z lusterkiem)***, St. Wyspiański ***(Apollo)***;

RYSUNKI OKŁADKOWE — St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, E. Okunia (dwa), M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego; oraz

OZDOBY I RYSUNKI W TEKŚCIE — J. Auchentallera, St. Dębickiego, A. Donnay'a, Hiroshige'a, Hokusai'a, G. Klimta, G. Khnopffa, Korina, St. Krzyształowicza, Kuniyoshi'ego, J. Mehoffera, A. Mosera, T. Noskowskiego, E. Okunia, J. Pieńkowskiego, F. Ropsa, Shiokoku, Fr. Siedleckiego, J. Stanisławskiego, Utamaro, F. Vallotona, M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego, Yosai'a.

Tomy poprzednie miesięcznika (I do V) **nabywać można po** rb. **3,** z przesyłką pocztową po rb. **3** kop. **50;**

tom I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym;

zeszyty pojedyncze — tylko 3, 4/5, 6, 7/8, 9, 10/11/12, 13, 14, 15 i 16 — po cenie oznaczonej na każdym.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.